

# DOTYK ZŁA

DOMINIKA BUDZIŃSKA



**Dominika Budzińska**

**Dotyk zła**

*Ból i poczucie krzywdy mieszkają we mnie.*

*Płyną wraz z krwią wypełniając pulsujące żyły,*

*docierając do komórek.*

*Są nierozdzielną częścią.*

*Ból to ja.*

Miałam jedenaście lat, kiedy świat beztroskiego dzieciństwa przestał istnieć. W domu od dawna brakowało szczęścia. Z jego resztek została połowa. Mama odeszła cztery lata wcześniej. Powiedzieli, że wyjechała. Wierzyłam tylko przez rok, a potem zrozumiałam. Rok tęsknoty i morze łez to sporo. Zdążyłam się przyzwyczaić, że jej nie ma, choć nigdy nie przestało boleć.

Ojca kochałam jeszcze tylko przez trzy następne lata. Najmocniej na świecie, w którym był wszystkim. Później pojawiła się Claire i z połowy miłości została tylko ćwiartka. Ćwiartka dla mnie, trzy czwarte dla Claire. Wtedy po raz pierwszy poczułam ukłucie w sercu. W prezencie na gwiazdkę otrzymałam namiastkę bólu, jaką daje zraniona miłość. Ja dostałam ogromny karton drogich prezentów, a Claire dostała tatę.

Bolało. Jak nigdy. O wiele bardziej niż upadek na rowerze, wylanie wrzątku na dłoń, ugryzienie psa, długa angina z powikłaniami czy wstyd przed klasą, kiedy Mark przy wszystkich ściągnął mi spódnice. Bolało nawet bardziej niż odejście mamy. Bolało inaczej.

Po roku Claire znalazła szkołę z internatem. Jak najdalej od domu, od taty i specjalnie dla mnie.

Nie broniłam się. Byłam zbyt słaba by walczyć, zbyt niedojrzała by zrozumieć. Żal wkradł się w moje wnętrze i zamieszkał na stałe. Czułam się winna.

Po latach pojęłam wszystko. Umiejętność manipulacji opanowałam do perfekcji, podobnie jak Claire. Nauczyłam się być kobietą taką jak ona. Nie była dobrym wzorcem do naśladowania, ale była wzorcem dla ojca. Miała to, czego nie miałam ja. Dlatego dostała trzy czwarte jego miłości, a potem, kiedy wyjechałam, dostała wszystko.

Lata szkoły były koszmarem, który chciałabym wymazać z pamięci, ale niestety się nie da. Wspomnienia wracają i ranią tak mocno jak wtedy, a czasami nawet bardziej. Boję się małych ciemnych pomieszczeń, charakterystycznego trzasku zamykających się drzwi. Nie mogę spać. Miewam przewlekłe stany lękowe, stany depresji, hysterii, agresji. Czasem próbuję się leczyć, chodzę na terapię, ale zazwyczaj trwa to tylko chwilę. Może źle trafiam, mam pecha. Terapeuci to przeważnie osobniki rodzaju męskiego, do którego żywię mieszane uczucia, z przewagą niechęci, odrazy i często nienawiści.

Zostałam zgwałcona w wieku trzynastu lat. Wtedy po raz pierwszy poczułam ohydnie gorzki smak miłości fizycznej. Była daleka od moich wyobrażeń. Bardzo daleka od chwil uniesień opisanych w książkach, ogromnie daleka od wizji pięknych scen oglądanych na ekranie. Tak odległa, że niemal nierealna. A jednak była. Pozostawiła ślad, głęboką bliznę, z której do dzisiaj sączy się krew. Wiem jedno. Miłość boli okrutnie. I to nie tylko ta fizyczna. Nie ma w niej szeptu, ciszy, delikatności. Nie ma euforii przepełnionej szczęściem, łez rozkoszy, cienia wzruszeń i śpiewu radości. Jest tylko krzyk, przeraźliwy jęk duszy, brutalność, głęboki smutek przepełniony bólem, łzy cierpienia, poczucie żalu, łkanie rozpacz, wrzask zduszony we wnętrzu. A potem jest pustka. I obojętność. Niepełna definicja miłości. Można by jeszcze coś dodać, ale żadne ze słów nie miałyby pozytywnego oddźwięku. Nie miałyby nic wspólnego z tym, czym karmiły mnie dziecięce bajki, z tym, co czułam, kiedy przytulała mnie mama.

Zostałam oszukana. Perfidnie okłamana. Życie nie dało mi wyboru. Pozbawiło wszystkiego, na co zasługuje człowiek. Odarło ze złudzeń, godności, czystości. Od tamtej chwili, wokół istnieje tylko ciemność, czasami z odrobiną grafitu. Oto moje życie.

Pomimo wszystko, udało mi się skończyć studia, nie byle jakie. Dziennikarstwo na Columbia University. Tatuś i jego słodka Claire przybyli na rozdanie dyplomów. Byli niewidzialni. Dla mnie. Nie istnieli od dawna. Wymazałam ojca dwa lata po opuszczeniu domu. Wykreśliłam na zawsze. Ukaralam za ślepą bezmyślność. Za los na jaki mnie skazał, za ból i lata cierpienia, za utraczone dzieciństwo i utraconą miłość. Za wszystko.

Nowy Jork stał się domem niezwykłym, takim, którego potrzebowałam, pełnym odgłosów syren, strzałów, czarnego rapu, obskurnych przedmieść, korków w kolorze yellow, tłumów mknących po Manhattanie, mieszących się z przeraźliwie psychopatycznym śpiewem obdartego kloszarda. Miejsce, w którym po zmierzchu stajesz się potencjalną ofiarą zła czającego się w ciemnych, wąskich zaułkach. Poczulałam się jak mrówka w mrowisku goniącym za powietrzem pośród ulic ukrytych w wysokich szklanych wieżach. Miasto wchłono mnie bez reszty. Przesiąkłam tutejszym smrodem spalin, brudem metra, pośpiechem i chaosem. Rozpoczęłam nowojorski bieg do mety. W dzikim tłumie, który nie wie, po co żyje. Podobnie jak ja.

Codziennosc nie jest najgorsza. Czasami pozwala zapomniec. Rutyna z pewnością mnie nie zabije. Jestem twarda jak skala uderzana latami przez sztormowe fale, wielokrotnie rażona burzowym piorunem, chłostana po twarzy silnym wiatrem. Życie tutaj wzmaga moją wielką moc. Coraz bardziej hartuje ducha, szlifuje charakter. Ginę pośród mas, tocząc bój o przetrwanie. Każdego dnia od nowa.



## EPIZOD I

Na rogu szóstej i pięćdziesiątej trzeciej, w szklanej wieży na dwudziestym drugim piętrze mieści się mała redakcja. Pierwsza robota po studiach. Odbywałam tutaj staż i tak już zostało. Dobrze płacą, doceniają wkład twórczy i nie wnikają w prywatność. Czego chcieć więcej? Lokalna gazeta o średnim nakładzie i szumnej nazwie „GreenGarden” nawet dobrze się sprzedaje. Zaczynałam od działu rozrywki i kultury, od roku bawię się w detektywa wężącego sensacją, a tej w tym mieście nie brakuje. Każdy kolejny wschód słońca obnaża krwawe pozostałości nocy. Idę za głosem policyjnych syren i świateł ambulansu. Moja trasa po tygodniową wypłatę. Jeden „news” na jeden dzień, relacja z wczoraj prosto do śniadania. W wyborze kryminalnych wątków kieruję się intuicją, która niezwykle rzadko mnie zawodzi. Mam też swojego informatora. Za kilkadziesiąt doliców na działkę śpiewa prawie jak skowronek. Szef nie wnika, byleby temat był gorący, równie gorąco opisany. Koniec dziennikarskich aspiracji. Nie walczyłam o więcej. Mojej poukładanej od rana po następny ranek egzystencji tyle wystarczy. Stać mnie na wynajęcie dwupokojowego mieszkania i w miarę spokojną wegetację.

Z ojcem nie utrzymuję kontaktu. Nie widziałam go od ukończenia studiów. Pozostali członkowie rodziny też nie są mi potrzebni do szczęścia. Odciełam się od tamtego świata, zamknęłam rozdział. Szkoda tylko, że nie można zresetować pamięci, że nie ma skutecznego środka na wymazanie wspomnień. Mam ich sporo i chyba ani jedno nie jest piękne.

Za brooklyńskim mostem, przy trzynastej, niecałe dwieście pięćdziesiąt metrów od siedemdziesiątej pierwszej, w lekko zakurzone okno mieszkania na trzecim piętrze bez windy, zagląda ranek. Stara kamienica w odcieniu rdzy budzi się do życia. Alarm w komórce nastawiam na szóstą trzydzieści. Tyle wystarczy, by o dziewiątej siedzieć przy biurku na Manhattanie. Czasem się zdarza, że zanim wjadę na dwudzieste drugie piętro, mam gotowy materiał. W drodze do pracy wiele się dzieje. Można zobaczyć i usłyszeć to i owo. Kiedy temat jest ciekawy, dzwonię do szefa z informacją, że się spóźnię. Staram się dotrzeć na miejsce zbrodni. Bezpośrednio uczestniczyć w sprzątaniu po wydarzeniach nocy. Kilka razy miałam dużo szczęścia, załapałam się na pakowanie jeszcze ciepłych zwłok do czarnego worka. Zrobiłam fotki. Z telefonu bywają całkiem dobre. Wszystko zależy od tego, co mieści się w kadrze. Im większa i bardziej naszpikowana realizmem sensacja, tym większe uznanie i sprzedaż. Tygodniówka z procentem. Temat i zdjęcie dajemy na pierwszą stronę. Staram się jak mogę.

Nie przeraża mnie widok krwi, zmasakrowane ludzkie szczątki, wymiociny obok stygnącego denata. Nie uciekam przed odgłosem strzałów, szarpaniną w

ciemnej ulicy, bójką prostytutek, bandą ćpunów, złodziejem pędzącym z nożem w rękę, wyciem policyjnych syren. Nie ma we mnie strachu. Idę w stronę zła. Wyciągam do niego ręce. Nie boję się niczego i nigdy. Poza tymi zamkniętymi drzwiami. Nic nie mam do stracenia. Poruszam się po ryzykownej krawędzi życia. Stąпам po cienkiej linii, z której łatwo można spaść. Prowokuję śmierć, igrzm z nią zupełnie świadomie i czasami mam nieodparte wrażenie, że zostawiła mnie sobie na deser. Sama pcham się w jej ramiona, ale ona na razie mnie nie chce.

Jestem dobrą dziennikarką. Oddaję w ręce czytelnika świetnie zredagowany materiał. Wykonuję swoją pracę rzetelnie i z ogromnym oddaniem, które nic mnie nie kosztuje. Traktuję życie dokładnie tak, jak ono potraktowało mnie. Pół na pół poważnie. Zakpiło ze mnie, potraktowało jako nic nieznaczący żart, bez odrobiny szacunku. Zatem nie oczekuję nic więcej, ponad to, co mam teraz.

Słońce nieśmiało przedziera się przez ulice okryte cieniem wieżowców. Dziś będzie piękny dzień. Przestało padać. Deszcz wypłukał ostatnie krople krwi, którymi nasiąkło miasto. Znowu jest czysto, jakby nic się nie stało. Za chwilę czas napisze kolejny horror. Dzisiejsza noc była wyjątkowo spokojna. Błogą ciszę przerywały jedynie krople z hukiem uderzające o szyby. Ich głośny dźwięk zagłuszył odgłosy zbrodni.

Nie ma przecieku od informatora. Telefon milczy. Niespiesznie zbieram się do wyjścia. Może po drodze napotkam temat do jutrzejszego wydania. Może coś dopiero się wydarzy.

Kawę kupię na dole, jak zwykle. Gorzką z odrobiną mleka. Z papierowym kubkiem w dłoni pobiegnę do metra. Długa podróż z dwiema przesiadkami, a potem siedem minut szybkim krokiem prosto do wejścia budynku. Szklane drzwi, przepustka, winda. Dwudzieste drugie piętro. Druga kawa, jeszcze mocniejsza i bez mleka. Fotel, biurko, komputer i start. Nie mam tematu. Taka sytuacja rzadko się zdarza. Nie martwię się, mam czas. Gotowy materiał muszę oddać do szesnastej. Potem jest chwila na ostatnie szlify przed składem. Jeśli za godzinę wciąż będzie cisza, idę w teren. W obskurnych zaułkach na obrzeżach poszukam weny. Na pewno coś się znajdzie. W końcu to Nowy Jork. Miasto ośmiu i prawie pół miliona mieszkańców. Miasto, w którym człowiek rodzi się i umiera ze statystycznie zbliżoną częstotliwością.

Trzecia kawa i nic. Wciąż cisza i pustka w głowie. Nie bazuję na wymaginowanych detalach. Nie ma miejsca na fantazję i urojone historie. Liczą się fakty. Tego pragną żadne krwi, uliczne tłumy, wyciągające kilka papierowych stron za dolara z za przeszklonych skrzynek.

Głośny dźwięk SMS-a rozbudza nadzieję, powoduje wstępne uczucie ulgi. Charakterystyczny wrzask pawiana brzmi niczym syrena wyjąca na alarm, jak ostrzeżenie przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Czuję drobny dreszcz ekscytacji. Wiadomość od informatora. Szyfr. „69A, 184S, Q.” Cholera, tylko



namiary. Queens, daleko. Nie wiem, czy jest sens się spieszyć, nie napisał, o co chodzi. Cisza. Brak kolejnej wiadomości. Jeszcze jeden głęboki łyk czarnej jak smoła i mocnej. Jeszcze chwila oczekiwania i uporządkowania myśli. Nie odpisuję, nie podtrzymuję elektronicznej konwersacji. Tak jest bezpieczniej. Trudno, lepsze to niż nic. Zabieram obdartą torbę bezwładnie wiszącą na oparciu fotela, dopijam ohydłą, zimną kawę i w drogę. Podróż zajmie jakieś półtorej godziny. Może okazać się, że nie było warto. Dwadzieścia dwa piętra w dół. Dużo czasu na analizę. Jestem wściekła. Nie toleruję braku profesjonalizmu. Nie tak się umawialiśmy. Informacja ma być dokładna, ściśle sprecyzowana pod każdym możliwym względem. Odejmę mu z premii. Jeśli okaże się, że jechałam na darmo, chyba pozbawię go męskości. Tylko raz wykręcił taki numer. Miał szczęście, że materiał chwycił. Napisałam treściwe sprawozdanie udokumentowane krwistą fotką i uwieńczone sukcesem. Pan Czarny Jack. Taką ma ksywkę, wyliniały ćpun.

Duszę się. Zakorkowane miasto. Czasami mam wrażenie, że nawet wagony metra utknęły w gigantycznym korku. Wszędzie chaos, pośpiech i wszystkie symptomy przeludnienia wraz z ubocznymi skutkami. Życie kotłuje się i wrze niczym zupa w bulgoczącym garze. Słyszę huk, a potem wycie alarmu, któremu wtórują policyjne syreny. Przeszywający dźwięk nie dochodzi z daleka. Może kilka przecznic. Krótka piłka. Iść czy podążać szlakiem szyfru? Schody do metra. Ułamek sekundy. Szybkim krokiem zbiegam na dół. Pisk hamulców. Jestem w środku. Już nie ma odwrotu. Odgłos wiadomości niosącej nieprecyzyjny kod brzmiał ciekawiej niż hałas za rogiem? Miałam temat na wyciągnięcie dłoni. Za niepełną godzinę wybije południe. Lubię ryzyko. Nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie SMS, ale jego mało oczywista treść intryguje sto razy bardziej. Wabi niewiadomą. Strzał w dziesiątkę bądź wielka porażka. Zawsze tak jest kiedy przychodzi nam dokonać wyboru. Przecucie najczęściej mnie nie myli. Co mogło się stać kilka przecznic dalej, niemal w sercu Manhattanu? Może bomba? Rodzaj huku istotnie był zbliżony odgłosem do wybuchu. Takie akcje świetnie się sprzedają. Nowy Jork bezustannie zagrożony terrorem, który cuchnie zwęglonymi kawałkami ludzkiego ciała, rozdartego odłamkiem na strzępy. Mogę wrócić, ale czy warto? Może komuś strzeliła opona, albo zrobił się żółty karambol. Właściwie teraz nie ma to już znaczenia. Jadę na Queens, szykując się do kolejnej przesiadki. W podążającym labiryntem ciemnych tuneli wagonie nie ma szansy na temat. Zza przybrudzonych szyb widać jedynie ciemność. Wokół cisną się przylegające do siebie jednostki rodzaju ludzkiego, upchane niczym sardynki w metalowej puszcze, otumanione nowojorskim odorem, umęczone tutejszym tempem, bezmyślnie wpatrzone w świecące ekraniki telefonów. Większość i tak mruży oczy, przysypia, wykorzystując równomierny stukot na upragnioną chwilę odpoczynku. Miasto nie śpi nigdy, mimo że mieszkańcy potrzebują odrobiny wyciszenia, czasu na doładowanie akumulatorów do dalszej drapieżnej walki o byt.

W pełnej niepotrzebnych rupieci i wypchanej po brzegi stertą rachunków torbie, w której od ponad roku nie robiłam porządku, wibruje natarczywie telefon. Wrzask pawiana staje się coraz bardziej uciążliwy. Kilka wiadomości nadesłanych jedna po drugiej. Przeszywa mnie bolesny skurcz, a myśl krążąca po głowie przyprawia o mdłości. Odwołanie akcji. Niespiesznie zaglądam do środka, próbując nie uderzyć łokciem starszej pani z trudem utrzymującej równowagę. Powoli zanurzam dłoń. Trzy SMS-y tej samej treści. Albo jest już na finiszu albo wciąż na głodzie. „W ciągu godziny załapiesz się na soczysty befszyk pełnokrwisty.” Ulżyło mi. Mam godzinę. Zdażę. Czyli Pan Czarny Jack wciąż na miejscu. Musi być naprawdę interesująco.

Czuję przypływ adrenaliny, dobrze mi znane mrowienie w żyłach, w których buzuje krew. Ucisk w żołądku. Byle zdażyć, nasycić wzrok, utrwalić obrazy, zapisać myśli, w których zgrabnie wkradną się zdania. Dostarczyć materiał na czas. Jeszcze kilka stacji. Wokół coraz większy tłok. Starsza pani ma zamknięte oczy. Jej biała pergaminowa twarz pokryta siateczką drobnych zmarszczek wygląda jakby zastygła w bezruchu. Mam wrażenie, że nie oddycha. W eleganckim, jasnobezowym płaszczu i lakierowanych czółenkach wygląda niczym figura woskowa z Muzeum Madame Tussaud. Niska, szczupła postać pognieciona jak zmięta kartka, sponiewierana życiem, ofiara czasu, który pozostawił rysy.

Nie mogę oderwać oczu. Twarz piękna niczym powieść drobnym maczkiem zapisana przez życie. Każda zmarszczka to kilka kolejnych rozdziałów. Na chwilę otwiera oczy, które już dawno straciły wyrazisty kolor i blask. Jest w nich obojętność i smutek. Spogląda na cienki złoty zegarek zaciśnięty na prawym nadgarstku, z trudem próbując dojrzeć godzinę. Nagle powoli unosi głowę i kieruje wzrok w moją stronę. Posyła pobłażliwy uśmiech, jakby od początku wiedziała, że ją obserwuję. Trochę zmieszana, odwzajemniam grymas. Kobieta wysiada na następnej stacji. Na jej miejsce wciska się niezbyt szczupły mężczyzna. Krople potu ciekną mu po skroniach. Co jakiś czas ociera je przybrudzonym rękawem marynarki. Osobnik zdecydowanie mniej intrygujący od swojej poprzedniczki. Odwracam się do niego tyłem, ściskając z przodu torbę. W przeludnionym wagonie tylko starsza pani wzbudzała moje zaufanie.

Jeszcze dwa przystanki, potem przesiadka. Zaczynam się denerwować. Czas dłuży się w nieskończoność. Mam wrażenie, że już kilka godzin stoję przytwierdzona do metalowej poręczy. Ludzie wchodzą i wychodzą. Różni. Mieszanka ras i charakterów. Super mix. Nie wiem, dlaczego, ale zaczyna mnie to bawić. Po raz kolejny widzę bezsens marnej człowieczej egzystencji.

Drzwi wagonu otwierają się ze zgrzytem. Oddycham z ulgą, próbując złapać chłodne peronowe powietrze. Schody na górę, wciąż w pędzącym tłoku, ale przynajmniej w innej aurze i bliżej celu. Już niedaleko. Zerkam na uruchomiony wcześniej program nawigacyjny w telefonie. Mam do niego zaufanie, zazwyczaj

potrafi prowadzić bez zarzutu, bezbłędnie wskazać obraną drogę. Zostały zaledwie cztery przecznice. Czuję dziwny niepokój, którego nie potrafię wytłumaczyć. Nieczęsto tak się zdarza. Tylko w wyjątkowych przypadkach. Zatem ten można do takich zaliczyć. Zżera mnie dziennikarska ciekawość. Im bliżej, tym silniejsze doznania. Przyśpieszam kroku. Jeszcze tylko dwieście metrów.

Odruchowo sprawdzam godzinę. Prawie trzydzieści minut opóźnienia po planowanym czasie. Nie lada wyzwanie. Nie mam pojęcia, jak tego dokonam, ale muszę zdążyć z materiałem do czwartej popołudniu. W wyjątkowych sytuacjach można ubłagać naczelnego o dodatkowy kwadrans. Muszę się uporać, chociaż skurcz żołądka przypomina o nadchodzącym stresie. Wiem, że nie będzie łatwo.

Stąd widać już uliczne zamieszanie. Jest nieźle. Kilka ambulansów i sporo policji. Wokół kłębią się tłumy gapiów nieskutecznie proszonych o opuszczenie terenu. Na horyzoncie brak Pana Czarnego Jacka. Może schował się gdzieś w bocznym zaułku w obawie przed podejrzliwymi spojrzeniami glin. Pewnie stamtąd śledzi przebieg akcji albo już się ulotnił po wysłaniu SMS-ów. Jest i prasa, konkurencja nie śpi. Nawet kilku reporterów. Jeden wóz transmisyjny właśnie próbuje znaleźć miejsce w pobliżu. Krew zaczyna wrzeć mi w żyłach. Już wiem, że temat będzie dobry, że nie na darmo mam to cholerne opóźnienie. Staram się podejść jak najbliżej. Z trudem przedzieram się przez grupę lamentujących kobiet. Jest taki chaos, że ciężko cokolwiek zobaczyć, cokolwiek wywnioskować. Wciąż nie wiem, co się stało.

Nagle zamieram. Zastygam w bezruchu. Na dłuższą chwilę odbiera mi oddech, możliwość wydobycia głosu i zebrania myśli. Obraz paraliżuje zmysły, powoduje przerażenie i szok, wydaje się nierealny, absurdalny, niewiarygodny. Przez moment zastanawiam się, czy to przypadkiem nie żart. Wydarzenie przybiera postać groteski. Czy ja śnię? Czy to, co widzę dzieje się naprawdę? Po raz pierwszy mam wrażenie, że jestem uczestnikiem skrupulatnie zaplanowanej farsy, pomijając oczywiście pojawienie się Claire.

Służby ratunkowe wraz z policją błędzą jak we mgle. Kilku mundurowych bezradnie stoi w miejscu, patrząc przed siebie. Najstarszy z nich drapie się po głowie, szepcząc pod nosem. Wygląda na to, że wciąż nie ma decyzji. Jak zabezpieczyć dowody tego, co się wydarzyło? Czy istnieje inne określenie niż zbrodnia? Wracają mi funkcje ciała łącznie z myśleniem. Co to jest, jeśli nie scenografia mrocznego horroru? Powolnym ruchem wyciągam z kieszeni telefon. Włożyłam go tam po drodze. Obraz utrwalony na zdjęciu budzi silne emocje.

Krótko przystrzyżony trawnik zaczyna zmieniać odcień. Z każdą minutą coraz bardziej przypomina purpurowy dywan. Krew sączy się z nieba niczym wiosenny kapuśniaczek. Nasiąka nią ziemia. Wokół niewielkiego ogródka przed domem wiszą sznury rozwieszane równo w kwadracie, jakby wyznaczały granice posesji. Na nich przypięte grubymi klamrami, kołyszają się strzępy ludzkiego mięsa,

poszarpane kawałki kończyn, zwoje jelit, resztki rozłupanych kości, nerki, wątroba, chyba płuca i serce. Wisi nawet coś, co kształtem przypomina mózg. Nie mogę znaleźć czaszki ani głowy. Jedno jest pewne. Narządy należą do kobiety. W rogu, tuż przy zardzewiałej rynnie, do której przywiązany jest sznur, na wietrze tańczą długie kosmyki pozlepianych czarnych włosów. Nawet z daleka widoczne są pozostałości jasnej skóry.

Jest mi niedobrze, a myślałam, że już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć, że widziałam, przeżyłam i wycierpiałam tak wiele, by móc uodpornić się na bezmiar okrucieństwa. Na to chyba nie można się uodpornić. Staram się zapanować nad mdłościami. Nie jestem tutaj przypadkowym obserwatorem. Muszę zrobić, co do mnie należy. Nikt nie zwraca uwagi na wysunięty ku górze telefon. Szkoda, że nie mam profesjonalnego sprzętu. Nie byłam przygotowana na tak wyjątkowy materiał. SMS-owe określenie Pana Czarnego Jacka – „befsztyk pełnokrwisty” – nawet w jednej setnej nie określa skali tutejszego horroru. Zaczyna się robić zamieszanie. Z każdą chwilą przybywa ludzi, reporterów żądnych sensacji, zerujących jak sępy, służb, wciąż sprawiających wrażenie bezsilnych. Coraz tłoczniej. Coraz większy chaos. Czas się zwijać. Po drodze zredaguję tekst, jeśli uda mi się ochłonąć. Nie na co dzień ogląda się prawdziwą rzeź, nie codziennie ktoś ma ochotę wypatroszyć kobietę jak prosiaka w masarni. Nawet tutaj, w Nowym Jorku.

## EPIZOD II

Mam jedno wspomnienie z dzieciństwa, inne niż wszystkie. Trudno powiedzieć, czy można nazwać je pięknym, ale jako jedyne wzbudza pozytywne emocje. Miałam może cztery, może pięć lat. Pojechaliśmy nad morze. Mama, tata i ja. Chłodna bryza nieprzyjemnie chłostała nam twarze, kłuła w policzki, rozwiewała włosy. Siedziałam wtulona pomiędzy rodzicami na miękkim, wilgotnym piasku, obserwując zachodzące słońce. Mama miała na sobie ciepły wełniany sweter. Nie lubiłam go, bo włókna były szorstkie i gryzły, ale lubiłam jego zapach. Ten zapach kojarzy mi się z domem, który tak szybko straciłam, z miłością, której miałam zaledwie odrobinę. Zdecydowanie za mało, by uczynić mnie szczęśliwym człowiekiem. Jeszcze wtedy mama się śmiała. Miała ciepły, perlisty śmiech i radosne błyszczące oczy. Potem zgasły, a dom wypełniła cisza. Tata powiedział, że nie będzie jej tylko chwilę, że niedługo wróci. Nie zdążyłam się pożegnać.

Obskurny bar osiem przecznic od mojego mieszkania świeci pustkami. Przychodzę tu czasem, kiedy muszę odreagować. Kilka szklaneczek mocnego burbona gasi pragnienie i żal. Wczoraj poszedł materiał. Wydanie specjalne, horror na Long Island. Wszystkie media trąbią o tym bezustannie, dwadzieścia cztery na dobę. Nie ma świadków, nie ma sprawcy, jest dzieło dokonane przez moce nieczyste. Oto, czym żyje teraz cała Ameryka.

Szef był zadowolony, obiecał symboliczną premię. Nie narzekam na brak kasy, ale nadprogramowy dolar zawsze się przyda. Jeszcze muszę odpalić działkę informatorowi. Czarny Jack spisał się na medal, ale od tamtej pory podejrzenie się nie odezwał. To nie w jego stylu. Wciąż zbiera na towar.

Niska, szeroka szklanka ze śladem beżowego błyszczyka i odrobiną bursztynowej cieczy na dnie, delikatnie przesuwają się po drewnianym blacie. Bar zaczyna drgać rytmicznie. Stukot uderzających o siebie kieliszków i butelek, sunących po podłodze krzeseł, hałas zagłuszający dźwięki czarnego bluesa, dochodzące z chrypiących głośników. Kolejny pociąg wjeżdżający na most. Na szczęście o tej porze nie jeżdżą zbyt często. Zdążyłam się przyzwyczaić, podobnie jak reszta stałych bywalców. Poza naszą garstką, rzadko ktoś tu zagląda.

Przy stoliku facet przysypia nad kolejnym piwem. Kojarzę go z widzenia. Chyba przychodzi tu codziennie, topi smutki w pełnych kuflach z pianką goryczki. Kiedyś musiał być przystojny. Na ogorzałej od alkoholu i papierosów twarzy zachowały się regularne, ciekawe rysy. Zawsze kończy tak samo. Z opuchniętym, bordowym nosem wciśniętym w klejącą ceratę. Po północy barman próbuje go ocucić z pijackiego letargu. Zazwyczaj bez skutku, więc pozwala mu się przespać.

Długa drzemka wystarczy, by nad ranem opuścić lokal o własnych siłach.

Zdarza mi się zabawić tu do końca. Około trzeciej towarzystwo zaczyna się ewakuować. Niby bar funkcjonuje z opcją „do ostatniego klienta”, ale zazwyczaj ostatni klient dopija drinka na wyraźny rozkaz gburowatego właściciela. Mark Germond pojawia się około drugiej, dokonuje skrupulatnych oględzin interesu, wygłasza wytyczne na następny dzień, udaje, że liczy towar, sprawdza zawartość, ocenia czystość, choć sam nie grzeszy higieną, potem zamyka się na godzinę w kanciapie za barem. Przed trzecią, zaspany, lekko chwiejnym krokiem wytacza się z ponurej nory i niezbyt grzecznie wyprasza gości. To standard, na który już nikt nie zwraca uwagi. Wystarczy po prostu opróżnić szkło, uregulować rachunek i wyjść.

Dochodzi jedenasta. Bezmyślnie spoglądam w dno pustej szklanki, obracając ją w dłoni. Resetuję obrazy, chociaż te ostatnie utrwaliły się chyba na wieki. Jeszcze jedna kolejka. Ivo wyciąga prawie pełną butelkę spod baru, nalewa do połowy. Potem odstawia na miejsce, posyłając mi pobłażliwy uśmiezek. Znamy się od lat, jeszcze z czasów, kiedy pracował na Manhattanie. Przytulna knajpka w sercu miasta. Wpadałam tam czasem po pracy, kiedy nie chciało mi się wracać do pustego mieszkania. Można było coś zjeść i przy okazji się napić. Kilka razy mnie zagadnął i tak się zaczęło. Do dziś uwielbia pikantne kawałki prosto z redakcji. Nie zawsze mam ochotę gadać, tak jak dzisiaj. Ivo rozumie, wtedy właśnie uśmiecha się w ten specyficzny sposób. Lubię go. Ma chorwackie pochodzenie, ale urodził się już tutaj, w Stanach, a dokładnie na jakimś zadupiu w Północnej Karolinie. Przyjechał tu na studia, pełen entuzjazmu i ambitnych planów. Po roku musiał zrezygnować, nie dostał stypendium, zawałił egzaminy, nieszczęśliwie ulokował uczucia i popadł w długi. W knajpie na Manhattanie zmienił się właściciel i cała kadra. Świat mu się zawałił. Dał sobie miesiąc na znalezienie czegokolwiek, tak trafił tutaj, do speluny na obrzeżach Brooklynu. Nie chciał wracać do domu, a może nie mógł. Nie wnिकam. Rodzinne układy to zazwyczaj drażliwy temat.

– Postawić ci drinka?

– Dzięki, ale jeszcze mnie stać – burczę, odwracając głowę.

Szpakowaty gość w kaszmirowej marynarce pokazuje palcem na butelkę martini.

– Z oliwką poproszę – mówi, wyjmując z kieszeni telefon.

Nawet nie zauważyłam, kiedy się przysiadł. Nigdy wcześniej go tu nie widziałam. Nie pasuje do tego miejsca. Dobrze ubrany, pachnący drogą wodą toaletową, wygląda jakby spadł z księżycy, prosto w brooklyński śmietnik. Do tego martini z oliwką. Zauważa mój drwiący uśmiezek.

– Nie lubię burbona – odzywa się nagle, odgadując moje myśli.

Biorę głębokiego łyka.

– Dobrze przyrządzone martini ma szlachetny smak – próbuje nawiązać

rozmowę.

– Przepraszam, nie mam ochoty na towarzystwo.

– Szkoda.

Przechyla do ust wysoki kieliszek, po czym odstawia. Zaczyna bawić się wykałaczką, na którą Ivo nabił trzy zielone oliwki. Nagle zjada jedną, resztę z powrotem zanurza w drinku, powoli mieszając. Kątem oka obserwuję go rozbawiona. Czy on mnie kokietuje? Parskam śmiechem. Nie mogę się powstrzymać.

– Rozumiem, że nie ma wyboru. – Rozglądam się po barze. – Ale to zbyt ciężki trud.

– Jeszcze jedno – zamawia, zupełnie mnie ignorując.

– Dobra, spadam – zwracam się w stronę Iva, kładąc pieniądze. – Wpadnę niebawem, miłej nocy – rzucam już w drzwiach.

Nie wiem, dlaczego mnie zirytował. Obcy facet w moim barze. Przecież zawsze to robią. Samotni mężczyźni idą samotnie do baru, by przestać wreszcie narzekać na samotność. Mam z tym problem. Lubię Iva, kilku kolegów z pracy i psa sąsiadki. Krótka lista samców, których da się tolerować. Moje dwa niezbyt długie związki nie należały do udanych ani wartych zapamiętania na dłużej.

Na trzecim roku studiów pojawił się Michael, wykładowca nauk politycznych na gościnnych występach, oddelegowany z uczelni w Chicago. Miał gęste kręcone włosy do ramion i był wysoki. Nie pamiętam, jak to się zaczęło. Chyba po jakiejś imprezie. Obudziłam się w hotelowym pokoju, a on spał obok. Przyjechał na rok, a nasza znajomość przetrwała zaledwie cztery miesiące. Bez alkoholu nie umiałam go kochać. Ze wspólnego seksu pamiętałam jedynie poranki na kacu. To nie mogło się udać. Odeszłam, próbując wreszcie wytrzeźwieć. Nie piłam przez osiem miesięcy, a potem poznałam Davida i się zaczęło. Po sześciu tygodniach poszłam na terapię. Przekonał mnie. Do dzisiaj nie mogę uwierzyć, że byłam z nim aż tak szczerą. Podczas pierwszej nocy bez drinka dostałam ataku paniki. Był nadzwyczaj wyrozumiały i cierpliwy. Wytrzymał ze mną jeszcze prawie pół roku bez dziewięciu dni. Przetrwał czas cholernej walki i szarpaniny, czas bez znieczulenia, ale i bez miłości. Czystość w dosłownym tego słowa znaczeniu. Pod koniec nie mógł mnie nawet dotknąć, nie pozwoliłam, a taki był z niego fajny facet. Fizycznie trochę mniej w moim typie niż Michael, ale inteligentny i dobry do bólu. Nie dałam rady. Kolejna porażka uświadomiła mi, jak bardzo zostałam skrzywdzona.

– Może jednak pogadamy?

Czuję znajomy zapach męskiej wody. Szpakowaty gość z baru staje przede mną niczym zjawą. Po raz kolejny mnie zaskakuje. Zazwyczaj jestem wyczulona na odgłosy kroków, zwłaszcza w nocy. Zdążyłam odejść zaledwie cztery przecznice. Dokładnie połowę drogi. Kiedy wychodziłam, zamawiał trzeciego

drinka. Musiał wyjść chwilę po mnie. Spoglądałam na eleganckie męskie buty. Jak mogłam nie słyszeć?

– Już mówiłam, raz nie wystarczy? – Jestem zdenerwowana.

– Czuję, że znaleźlibyśmy wspólny język – nie daje za wygraną.

– Chryste – jęczę pod nosem – zawsze to samo. – Kiwam głową, posyłając pogardliwe spojrzenie. – Śpieszę się.

Szybkim krokiem ruszam przed siebie, słysząc jego głośny oddech. Kroczy tuż za mną. Nie odczepi się, może powinnam zadzwonić na policję? Właściwie nie czuję strachu, przecież nie raz byłam w podobnej sytuacji. Zbliża się północ na Brooklynie. Jest ciemno i jesteśmy w Nowym Jorku. Po ostatnich atrakcjach powinnam być przygotowana na wszystko. Na szczęście gaz łzawiący mam zawsze ze sobą. Na wszelki wypadek upewniam się, że jest.

– Zaczekaj, proszę.

– Człowieku, daj mi spokój – krzyczę, nie odwracając głowy.

Nagle czuję, jak szarpie mnie za ramię. Odruchowo wyciągam gaz. Facet przytrzymuje moją dłoń. Jest silny i szybki. Ścisną mnie, stojąc tyłem. Czuję, że zaczyna brakować mi powietrza.

– Puszczaj!

– Tylko, jeśli się uspokoisz. Nic ci nie zrobię. Chcę pogadać.

Nie wiem, dlaczego tam poszłam. Nagle przestałam kojarzyć. Pamiętam taksówkę, zadbaną kamienicę, drzwi z żeliwnymi okuciami, wysokie schody pokryte kolorową wykładziną, potem przestronny salon, sypialnię za przeszkloną ścianą, wielkie, zasłane atłasem łóżko i nowoczesną komodę zastawioną rupieciami.

Zaproponował drinka. Nie miałam ochoty. Kilka kolejek w barze wystarczyło. Nalał sobie martini, pełną szklankę. Dorzucił trzy kostki lodu. Bez smukłego kieliszka, oliwek i całej tej oprawy z tak zwanym wstrząśnięciem, jego szlachetny trunek stracił swoją świetność.

Usiadłam na brzegu łóżka, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego jesteśmy w sypialni. Po chwili się przysiadł. Wziął kilka sporych łyków. Zaczął bełkotać coś o straconej nadziei, o złudzeniach i niejakej Rose, która wbiła mu nóż w serce. To było żałosne. Udając, że słucham myślałam tylko o jednym. Jak stamtąd uciec, bezpiecznie znaleźć się w domu? Dlaczego ja? Idiotyczny przypadek napotkany w pierwszym lepszym barze. Tak właśnie rodzą się kolejne ofiary. Miałam gdzieś faceta narzekającego na smutny los, poranioną duszę i przebite serce. Nie interesowała mnie jego naszpikowana intymnymi szczegółami historia. Za kilka godzin musiałam być w pracy przy biurku na dwudziestym drugim.

Wstałam i podeszłam do komody. Oparłam się o nią tyłem. Wtedy odłożył puste już szkło na podłogę. Podeszedł do mnie powoli, świdrując bezmyślnym



wzrokiem. Stał naprzeciw. Mogłam uciec, ale tkwiłam tam jak sparaliżowana. Przywarł do moich warg. Poczułam ziołowy, słodkawy smak. Próbowałam go odepchnąć, ale się zaparł. Z całych sił mnie przycisnął. Kanciasta krawędź szuflady wbiła mi się w plecy. Na chwilę przestał. Jego przymglone oczy wyrażały już nie tylko pożądanie, ale i pogardę. Ulżyło mi. Pomyślałam, że chyba stracił ochotę, że właśnie daje mi przyzwolenie by odejść. I nagle, kiedy już miałam zabrać torbę i wyjść, ponownie przystąpił do ataku. Oparłam dłonie na szklanej powierzchni komody, próbując znaleźć miejsce między tandetnymi figurkami z porcelany. Nowoczesne eleganckie wnętrze pełne mało gustownej chińszczyzny. Pewnie pozostałość po Rose. W sumie nie powinien żałować. Nie pasowali do siebie. Niestety ja też nie pasowałam do tego miejsca, do komody, łoża i szpakowatego, cuchnącego dobrą wodą i martini, mężczyzny. Skąd mógł wiedzieć, że nie może zniecka wpychać spoconej łapy w moje majtki.

Pośród porcelanowych figurek stała szklana kula. Nic szczególnego, ze Świętym Mikołajem i chatką w śniegu, jak zwykle na święta. Pewnie stała tak od lat, bo do świąt jeszcze sporo czasu. Odkryłam to dopiero w domu, kiedy strumień gorącej wody spływał po błyszczącym szkłe, zmywając pozostałości krwi.

Nie pamiętam jak dotarłam na Brooklyn, jak znalazłam się w mieszkaniu i dlaczego zakrwawiony przedmiot leżał w mojej torebce.

Od tamtej nocy minęły cztery dni. Dziś, przez przypadek dowiedziałam się o pewnym adwokacie. Sprzątaczką znalazła go w sypialni. Drzwi apartamentu były otwarte. Leżał martwy w atlasowym łożu.

Dlaczego tam poszłam? Ze strachu, czy dla świętego spokoju? A może powód był zupełnie inny? Nie wiem co się wydarzyło po moim wyjściu, wtedy jeszcze żył. Jednak coś kazało mi zatrzeć ślady. Chusteczką do higieny intymnej, którą zawsze noszę w torbie, starannie wytarłam szklany blat komody, próbując nie przestawić żadnej z drogocennych figurek. Podobnie potraktowałam klamkę drzwi wejściowych, zostawiając je później otwarte. Nie zarejestrowałam tylko momentu, w którym zakrwawiona kula trafiła w sam środek śmietnika damskiej torebki. Może jednak nie ja go zabiłam? Może tej koszmarnej nocy wydarzyło się coś jeszcze?

Dżdżysty wieczór ciemnym wilgotnym szalem otula moją dzielnicę. Jak co dzień zapada zmrok nad rdzawymi dachami ponurych kamienic. Z oddali dobiega równomierny stukot przejeżdżającego pociągu. O tej porze słyhać go wyraźniej. Nadchodząca noc ponownie wywabia mnie ze swojej bezpiecznej kryjówki. Dzisiejszą wiadomość należy niezwłocznie zdusić kilkoma głębszymi. Ivo na pewno się ucieszy. Bywały tygodnie, kiedy odwiedzałam go codziennie. Ostatnio mam mniej ochoty na nocne eskapady. Robię kilkudniowe, czasem nieco dłuższe

przerwy.

Słyszę dźwięki bluesa, dochodzące zza obdrapanych drzwi. Jeszcze tylko charakterystyczne dzwonki na powitanie, alarm na znak kolejnego gościa.

– Dawno cię nie było.

Nawet nie patrzy. Nie musi. Chyba rozpoznaje mnie po krokach, a może po zapachu. Odwrócony tyłem szykuje drinka. Pewnie dla mnie, wie, co lubię.

– Dzięki – wypijam potężnego łyka. – Raptem kilka dni, pogoda pod psem, w pracy kupa roboty, nie mam siły zaglądać tu codziennie.

– Szkoda, bo ostatnio jest nawet ciekawie – robi zagadkową minę, unosząc wysoko brew.

– Pewnie czekasz, aż podekscytowana pociągnę cię za język – uśmiecham się, a potem wypijam do dna. – Jeszcze raz to samo, cokolwiek to było – przesuwam szkło w jego stronę.

Ivo nachyla się tajemniczo.

– Pamiętasz tego gościa? – mówi szeptem. – Tego, co próbował cię wyrwać, no wiesz, ostatnio.

– Jak przez mgłę.

– Chyba narozrabiał. Gliny tu węższą. Dzisiaj byli już dwa razy.

Nic nie czuję, nawet nie ściska mnie w gardle. Przecież doskonale wiem, o czym mówi.

– Rób tego drina.

– Dobra, dobra, jaka spragniona! Ciebie już nic nie rusza, w sumie to zrozumiałe, w robocie masz to na co dzień, ale ja wiesz, siedzę na tym zadupiu, za zapyziałym barem, słucham nudnej, wciąż tej samej muzy i tych pijackich bzdetów kilku niedopitych gości. Takie akcje jak na lekarstwo, przynajmniej coś się dzieje. Ciekawe, skąd się tu wziął? Widziałas jego zegarek?

Stawia przede mną pełne szkło.

– Nie byłam zainteresowana, ani nim, ani zegarkiem.

– Wiem, wiem, też o tobie nie wspomniałem. Jeszcze niepotrzebnie by gnębili – uśmiechnął się półgębkiem. – Wystarczy, że mi zrobili pranie mózgu. Z nimi – spojrzał na dwóch pijaczków pod oknem – nawet nie było sensu gadać. Pewnie następnym razem poproszą o nagranie. W sumie dziwne, że tego nie zrobili. Może wystarczyły moje szczegółowe zeznania.

– Pewnie tak – oznajmiam niewzruszona, sącząc powoli.

– Dzisiaj nie będzie szefa, zamykam bar. Coś mu wypadło nagle, był wściekły bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie wiedziałam, że można bardziej – parskam pod nosem.

– Chyba wyjdę trochę wcześniej. Nie zapowiada się na tłum.

– O co właściwie pytali? – rzucam mimochodem.

– Widzę, że jednak dziennikarska ciekawość okazuje się silniejsza, pewnie

chcesz skrobnąć jakiś materiał, co?

– Niekoniecznie, zależy, co powiesz.

– Podpuszczasz mnie, cwaniaro, jak zwykle – cedzi z zaciśniętymi zębami, kiwając głową.

– Nie do wiary! Znasz mnie jak zły szeląg!

Oboje wybuchamy głośnym śmiechem. Nikogo to nie dziwi. Nikt nie patrzy, nie jest zainteresowany. Dwóch pijaczków właśnie toczy się w kierunku wyjścia. Bar pustoszeje. Oprócz nas słyhać tylko dźwięki bluesa i czasami hałaśliwe wibracje w rytm przejeżdżającego pociągu. Ivo wyłącza płytę. Nastaje długa cisza, nie pasująca do tego miejsca, drażniąca i trochę kłopotliwa. Bar bez chrypiącego dźwięku całkowicie traci swój osobliwy klimat.

– Podać jeszcze jednego? – stuka palcem w prawie pustą butelkę.

– Chcesz już zamykać?

Kiwa przecząco.

– Napij się ze mną – proponuję, podstawiając szkło.

– Właściwie, czemu nie?

Zwinnym ruchem zgarnia z zawieszanej wysoko półki kwadratową niską szklanekę, wrzuca kilka kostek lodu i zalewa wódką.

– Co to było?

– Co? – spogląda zdziwiony.

– Tutaj – kładę dłoń na blacie obok pustego szkła.

– Moja nowa oferta zimowa, smakowało?

– Może być.

– Nie podglądaj, jak się dowiesz, co jest w składzie, istnieje ryzyko, że przestaniesz mnie odwiedzać.

– Daj spokój, jak mogłabym? – robię głupią minę, delikatnie zsuwam się z wysokiego krzesła i kieruję w stronę toalety.

Jest tylko jedna, tak zwana koedukacyjna, obskurna, wiecznie cuchnąca moczem, z rozbitym lustrem i tysiącem graffiti na niewielkim kawałku nierównej ściany. Nigdy nie ma mydła i papieru i chyba nigdy tu nikt nie sprząta. Ostateczność, z której należy skorzystać w sytuacji jedynie awaryjnej. Niestety i mi się taka czasami zdarza.

– Ma inny kolor. Dosypałeś czegoś? – Puszczam oko, z powrotem siadając przy barze. – Jeśli to jakiś rozweselacz, to daruj sobie, wystarczy wysoka zawartość procentów. Poza tym, raczej trudno wykrzesać ze mnie pokłady radości, przecież wiesz. Ciężki przypadek. Bez szans na uleczenie.

– Kolejna z zimowych propozycji. Spróbuj.

– Do zimy jeszcze daleko, masz coś na ponurą nowojorską jesień? – przekomarzam się.

– Co ty dzisiaj taka wybredna?

– Bez zmian.

– Akurat! Coś w pracy? Wyrzucić, to ci ulży – mruga porozumiewawczo, przechylając kwadratową niską szklankę do ust.

– Też bez zmian. Próbujesz zmienić temat, czy mi się tylko wydaje?

Bierze kolejnego łyka.

– A co mogłem niby im powiedzieć, ponad to, że zjawił się dość późno, wypił cztery martini, a potem zniknął równie szybko jak się pojawił. Był tu chyba po raz pierwszy, przynajmniej odkąd ja tutaj pracuję, chyba wdepnął przypadkiem. Gliny tylko pytały, jak zwykle, im wszystko, oni tobie nic. W sumie, ciekawe, co taki gość mógł przeszkrobać? Masz pomysł?

Kiwam przecząco głową, wpatrując się w resztkę bursztynowej cieczy.

– Pytali, czy był sam, czy z kimś się tutaj spotkał, albo z kimś opuścił lokal. To interesowało ich najbardziej. Dziwne. Nie wzięli tego nagrania. Uwierzyli mi na słowo? Pewnie wróca.

– Pewnie tak – bąkam pod nosem zamyślona.

Nie chcę o tym myśleć, zagłębiać się, analizować, szukać odpowiedzi. Nie mam na to siły ani ochoty. Nie obchodzi mnie. Kompletnie. Nic a nic. Prawda jest taka, że wszystko mi jedno. Wciąż igram z życiem i losem, więc czemu miałabym nagle przestać? Może zabawa dopiero się zaczyna? Właściwie, dlaczego nie zaryzykować? Jeśli pójdę na policję, wszystko zepsuję. Dobiorą mi się do tyłka i szybko zamkną śledztwo. Dam im czas. Niech w końcu coś z siebie dadzą, niech popracują te ich wiecznie węszące makówki w czapkach. Wreszcie mogę sprawdzić ich skuteczność. Przekonać się na własnej skórze. Dosłownie. To może być nawet interesujący eksperyment. Co mam do stracenia? W tej sytuacji chyba już nic. Poza tym, skąd mam wiedzieć, że facet wyzionął ducha? Kiedy wychodziłam, jeszcze mamrotał. Próbowałam tylko się bronić. Odruch naturalny. W razie czego, posprzątałam, tak na wszelki wypadek. Tak, jakby nic się nie stało, jakby mnie tam nie było. Podobnie jak kiedyś. W ciemnym pokoju za zamkniętymi drzwiami.

– Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowna. Chyba już nikt nie przyjdzie. Zamknę ten burdel. Przynajmniej się wyśpię. – Ivo wypija do dna, odkłada szkło do niewielkiego zlewu ukrytego pod barem.

– Masz rację. Na mnie już czas. Dzięki. Wpadnę niebawem! – wsuwam dwudziestodolarówkę pod niedopitego drinka, zabieram torbę. – Trzymaj się! – rzucam już w drzwiach.

Noce są coraz chłodniejsze. Szybki krok powinien mnie rozgrzać, skoro nie

zdołały tego uczynić magiczne zimowe mikstury Iva. Przyspieszam, starając się prawie biec. Czuję pustkę. Jakby moje ciało funkcjonowało bez pomocy mózgu. Bezmyślnie mijam kolejne przecznice. Odruchowo wyciągam telefon z kieszeni kurtki. Kilka minut po północy. Owijam się mocniej szalem. Jeszcze parę metrów. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek pokonała ten dystans w takim tempie.

Elegancka klatka schodowa kamienicy w centrum, uchylone zdobione drzwi z błyszczącą, złotą klamką. Obrazy wracają. Zaczynają nawiedzać niczym nieproszone duchy. Muszę je powstrzymać, przecież nie mam wyrzutów sumienia. Każdy dostaje to, na co zasłużył. Co prawda, nie mam pojęcia, czym zapracowałam na okupione nadludzkim cierpieniem i okrutnym bólem, pozbawionym odrobiny ciepła, choćby garstki miłości, dzieciństwo. Nie wiem, dlaczego los skazał właśnie mnie. Ale zarówno ja, jak inne ofiary ludzkiego bestialstwa, nie znają odpowiedzi na to pytanie. Nikt nie zna, a wiara w pechowy przypadek nie pomaga. Skrzywdzone ciało się nie liczy. Te rany goją się zazwyczaj szybko. Gorzej z tymi, które pozostają głęboko. Kryją się w zakamarkach myśli. Uśpione zaledwie na krótką chwilę, wracają zniecka niczym rozpędzony bumerang, uderzając zazwyczaj ze zdwojoną siłą. Bolesne wspomnienia ranią o wiele bardziej niż zadawane ciosy. Nie da się od nich uciec. Nigdy.

Ból i poczucie krzywdy mieszkają we mnie. Płyną wraz z krwią wypełniając pulsujące żyły, docierając do komórek. Są nierozdzielalną częścią. Ból to ja. Czasami błagam siebie o ulgę. Chcę odejść, przekonana, że nigdy nie zaznam szczęścia, nie dowiem się jakie jest naprawdę. Nie mam odwagi. Wierzę, że życie bądź łaskawy los, same się ze mną rozprawią. Ktoś lub coś załatwi to za mnie, zdecyduje.

Odkąd zamknęły się drzwi ciemnego pokoju, wiem, że na pewne sprawy nie mam już wpływu. Nie mogę nic zrobić. Czasami po prostu trzeba się poddać, chociaż ze złem nie warto wchodzić w przymierze. Jest dobre na krótką metę.

### EPIZOD III

Zbłąkany pająk krąży niepewnie po szarawej powierzchni sufitu. Obserwuję go od kilku minut, zamiast zająć się czymś konstruktywnym. Właściwie, co mogłabym robić w deszczowy jesienny wieczór tuż po pracy? Znudziło mi się nocne przesiadywanie w barze. Materiał na jutro znajdzie się jutro. Nie muszę szukać na siłę. Nie będę sprzątać, gotować, piec, myć szyb, po których od dwóch dni bezustannie płyną krople deszczu. Nawet nie włączę pralki, są w niej tylko dwie koszulki, bielizna i kilka par skarpetek.

Lubię nieład. Jest przeciwieństwem poukładanego świata. Tego świata zza zamkniętych drzwi internatowego pokoju. Tam zawsze musiał być porządek i błysk. Nieskazitelne miejsce. Pozory czystości i ładu, namiastka idealnego życia w niewielkim pomieszczeniu, w którym brudy nocy znikwały jak za dotknięciem różdżki, zaraz po przetarciu zwilżoną ścierką.

Bałagan pozwala zapomnieć. Nie myśleć permanentnie. Daje złudne poczucie bezpieczeństwa, chociaż wcale go nie potrzebuję.

Pająk zniknął w rogu ściany. Pewnie wcisnął się w maleńką szparę pomiędzy zaschniętymi warstwami niechlujnie położonej farby. Kryjówka przed rażącym światłem na suficie. Może faktycznie poczuł się zagrożony, widząc śledzącą każdy jego ruch, parę ludzkich oczu.

Mój wzrok przyciąga szklana kula. Dlaczego wciąż tu stoi? Minęły ponad dwa tygodnie. Nikt mnie nie szuka, nikt nie pyta. A ja? Gdyby nie kula, zapomniałabym dawno o tamtej nocy. To tylko sen, jeden z gorszych. Nie czuję się winna. Ciekawe, czy wzięli to nagranie z baru? Jeśli tak, dotrą tu prędzej czy później. Jestem przygotowana, zarówno na spotkanie z glinami, jak na wyrok śmierci, niezależnie od sytuacji. Wszystko jedno. Chociaż spotkanie przy barze o niczym nie świadczy, jak i fakt posiadania dowodu zbrodni, z którego już dawno usunięto ślady. Zaczyna mnie to bawić.

Pisałam dzisiaj o pożarze w kamienicy na trzydziestej szóstej. Dwóch czarnoskórych smarkaczy wymyśliło rozrywkę na nudne listopadowe popołudnie. Spłonęli żywcem. Ogień pochłonął część mieszkania i klatkę, na której zapragnęli zdetonować samodzielnie skonstruowaną bombę. O ironio. Od razu kara za grzechy i to w największym wymiarze, ku przestrodze na przyszłość. Żal było słuchać przeraźliwego lamentu jednej z matek, kiedy strażacy po kolei wynosili zwęglone zwłoki. Dobrze, że w mieszkaniu nie było właścicielki. Starsza pani akurat wyprowadzała pieska. Los obszedł się z nią łaskawiej. Dał jeszcze czas. Dla tych dwojga nieszczęśników go zabrakło.

Wciąż nic nie wiadomo o potworze z Long Island, który tak sprawnie i z rozmysłem posiekał czarnowłosą kobietę. Niewiarygodne, że policja nie wpadła na

żaden trop. W mediach ciągle głośno. Liczą na cud, ale w Nowym Jorku ślady zbrodni znikają wraz z deszczem.

Powinam rozbić świąteczną kulę na drobne kawałki, potem wciągnąć odkurzaczem drobinki szkła i czym prędzej pozbyć się worka. Na co czekam? Może na grudzień. W końcu za chwilę święta. Kula stoi na parapecie przy oknie niczym trofeum po wygranej walce. Nie wiem, dlaczego, ale lubię na nią patrzeć.

Dochodzi dziewiąta. Wskazówki ściennego zegara płynnie przesuwiają się po białej tarczy, wydając równomierny dźwięk. Przestało padać. Może jednak wybiorę się na spacer do baru. Osiem przecznic pokonanych w pośpiechu wystarczy, by dotlenić mózg i spalić trochę kalorii przed kolejnym drinkiem.

Zrywam się z łóżka. Zarzucam ciepły wełniany płaszcz i owijam szerokim kolorowym szalem. Na stopy wsuwam brązowe zamszowe botki. Niezbyt rozsądny wybór obuwia na przechadzkę po kałużach, ale nie zdążyłam zaopatrzyć się w inne. Zakupy wymagają poświęcenia, którego ostatnio mi brak. Na ramię torba ze śmieciami. Od ponad roku ta sama.

Zbiegam po schodach, słysząc huk zamykających się drzwi. W kieszeni brzęczy telefon, wprawiając mnie w lekkie rozdrażnienie. Nie odbieram, jeśli nie z pracy. Sara, koleżanka z działu reklamy, właściwie dobra znajoma, z którą czasem pijam kawę.

– Co tam? – pytam, nie ukrywając irytacji.

– Awaria! Błagam, chodź na drinka! Już nie mogę wytrzymać z tym palantem! – Sara wydziera się płaczliwym głosem. – Musiałam wyjść! Tak mnie wkurza! Gdzie jesteś? Może podjadę? – pyta nieco spokojniej, pociągając nosem.

Chwila namysłu.

– Dobra – rzucam, a niech tam, i tak przecież wyszłam ze swojej nory. – Umówmy się na szesnastce przy promach, będę za pół godziny.

– Super! Dzięki wielkie! Do zobaczenia! – w jej głosie słychać ulgę.

Zmieniam kierunek. Stacja metra za jakieś dwieście metrów. Potem przez most. Na nabrzeżu z drugiej strony, prawie przy samej Wall Street jest kilka fajnych knajp i klimat. Lubię tam czasem pobycć w weekendy, popatrzeć na płynące promy i helikoptery unoszące się nad wodą. Pozory złudnej odskoczni od codziennej szarości. To wciąż to samo miasto, z tą samą, niezmienną perspektywą, widokiem na przyszłość, blichтром i brudem w jednym, sztucznym uśmiechem na sztucznie skonstruowanej twarzy, bólem wpisanym w karty chorobliwej egzystencji, pośpiechem w walce o czas, który z każdą kolejną sekundą wysysa z nas siły. To wciąż Nowy Jork. Po drugiej stronie brooklyńskiego mostu wcale nie jest inny. Tylko my chcemy czasami widzieć coś inaczej.

Wsiadam do zatłoczonego wagonu metra. Jest zbyt wcześnie, by można było liczyć na odrobinę przestrzeni. Chociaż, kiedy już zrobi się trochę luźniej, nie warto tu zaglądać. Podróż w pustym przedziale może okazać się ostatnią. Przed

mną jednolita, rozmyta masa ludzkich twarzy. Nie mam ochoty się przyglądać. Nie dziś. Męcą mnie historie namalowane na kolorowych tęczęwkach, ukryte wśród zmarszczek, popękanych naczynek, nierówności schowanych pod warstwę makijażu. Słowa, wypowiedane z setek ust jednocześnie. Mój mózg zaczyna bronić się przed chaosem. Powinien odpocząć po dniu wyętej pracy. Po co zgodziłam się na to spotkanie? Impuls wbrew sobie. Jakże często się zdarza. Okazuje się, że i mnie stać na wykrzesanie resztek człowieczeństwa.

Jedna przesiadka, droga przez most, potem niedługi spacer. Jest jakoś cieplej, może akurat tutaj, przy wodzie, choć na logikę, powinno być odwrotnie.

Z daleka widzę znajomą sylwetkę. Idzie szybkim krokiem, tak jakby bała się, że zaraz jej ucieknę. Rozbraja mnie uśmiechem. Jest promienny i szczery. Tak jak ona, cała Sara. Właściwie nie wiem, czy ją lubię. Rozmawiamy dość często. Pomimo tego, nie wie o mnie zbyt wiele, za to ja o niej chyba wszystko. Spędzanie czasu z osobami, którym nie zamyka się buzia bywa komfortowe. Cenię takie towarzystwo. Nie muszę za wiele mówić, słuchać też nie, wystarczy, że jestem obok. Pewnego rodzaju obopólna forma terapii.

– Dzięki! – krzyczy, podchodząc i całuje mnie w policzek. – Super, że znalazłaś chwilę!

– Spoko, i tak miałam gdzieś wyskoczyć.

– Fajnie tu, dawno nie byłam, może przejdziemy się kawalek, zanim całkiem zmarzną nam tyłki. Przynajmniej będzie pretekst do rozgrzewki.

Uśmiecham się na znak zgody. Ruszamy powoli promenadą wzdłuż rzeki. Sara chwytą mnie mocno pod ramię. Zaczyna mówić. Po kilku minutach jej ton jest coraz bardziej podniosły, a słowa coraz szybciej wydobywają się z umalowanych różem warg. Zawsze tak robi jak zaczyna się rozkręcać. Nie rejestruję wszystkiego. Mam pewną strategię. Działam wybiórczo. Wystarczy pojąć sens, a przy tym nie obciążać niepotrzebnie szarych komórek. W końcu one też potrzebują regeneracji.

Znam sytuację od podszewki i ze szczegółami. Niemal codziennie, za wyjątkiem weekendów i dni wolnych od pracy, jestem bombardowana detalami z jej życia. Problem zawsze jest ten sam. Mąż Sary to palant wysokiej klasy, z rodzaju najgorszych, dupek kwalifikujący się do ubicia ze skutkiem natychmiastowym i śmiertelnym. Sara niestety jest ofiarą zniewoloną przez oprawcę, którego kocha nad życie, szczególnie swoje.

Nie uznaję beznadziejnych przypadków, zwłaszcza tego typu. Nie mam wpływu na ludzkie wybory i trwanie w nich nawet kiedy okazuje się, że są błędne. Godziłam się na ból i zło, bo nie rozumiałam, bo byłam dzieckiem, ale ona nim nie jest. Jest dorosła i ponosi konsekwencje swoich przemyślanych decyzji.

Rick, bo tak ma na imię jej ślubny oprawca, to kolekcjoner. Zalicza panienki, jakby brał udział w zawodach na czas. Potem skrupulatnie tworzy listę w telefonie, dołączając oczywiście zdjęcia, kolejne trofea, niczym dowody wiecznej



przydatności do użycia, bezterminowe świadectwo na męskość. Do tego lubi wypić, a dwa miesiące temu stracił pracę. Szuka nowej, szkoda tylko, że zazwyczaj w nocy. Sara od dawna woli udawać, że wierzy w kłamstwa, którymi karmi ją bezustannie. Żyje nadzieją, że kiedyś wszystko się zmieni, że otrzyma nagrodę za wytrwałość. A ja nie mogę uwierzyć w jej naiwność, nie potrafię pojąć chorobliwego uzależnienia, poddania. Jest jak pies, wierna i bezgranicznie oddana swemu panu i władcy. Chore i żalodne. Nawet nie jest mi jej żal.

– Znasz moje zdanie – mówię po chwili, kiedy nastaje dłuższa cisza, znak, że na moment skończyła i czeka na odpowiedź. – W sumie, to nawet cię podziwiam. Nie boisz się, że znowu oberwiesz jak wrócisz? Przecież masz zakaz opuszczania terytorium bez zgody pana – wiem, że brzmię sarkastycznie, ale wkurza mnie zarówno ona, jak i fakt, że nie mogę nic zrobić, nie potrafię do niej dotrzeć.

Sara milczy. Nie jest głupia. Doskonale zdaje sobie sprawę z sytuacji, w której się znajduje. Po prostu nie dojrzała do zmian. Boi się. Ta myśl dopiero w niej kiełkuje. Trzeba czasu, by podjąć drastyczne kroki, odwagi, by zmierzyć się ze złem. Widocznie jeszcze nie sięgnęła dna. Może jest bardziej wytrwała i silna, niż myślę.

– Pewnie wydaje ci się, że to takie proste.

Robię głupią minę, unosząc wysoko brwi.

– Nie jest – Sara staje, pochyla głowę, zasłaniając twarz burzą ciemnych loków. – Nie jest – powtarza po dłuższej chwili i wbija we mnie wzrok.

Dopiero teraz to widzę. Chorobliwą, kompletnie bezwarunkową, pozbawioną rozsądku, ślepą miłość w jej zażawionych brązowych oczach. Boże, jakże upośledzony jest człowiek, który tak kocha.

– Daj spokój, zmieńmy temat, to twoje życie, twoje sprawy – mówię nieco zgaszonym głosem, próbując ukryć zażenowanie. Jest mi głupio, ale nie mam ochoty, by to odkryła. – Tutaj niedaleko jest taka przyjemna mała knajpka, można coś przekąsić, a przede wszystkim wypić – uśmiecham się – wystarczy na dzisiaj.

– Chyba wiem, o jakiej mówisz – Sara się ożywia – byłam tam w zeszłym roku z mamą, kiedy wpadła na Święto Dziękczynienia. Kilka obdrapanych stolików i wielki okręt zawieszony nad barem, ale rybne burgery z warzywami boskie. Nawet mam ochotę.

– Nie jadłam, ale to dokładnie to miejsce.

Siadamy przy jedynym wolnym stoliku niedaleko wąskiego korytarza prowadzącego na zaplecze. Zdane na ciągłą obserwację krzątającego się kelnera, otwieramy menu. Wokół roznosi się przyjemny zapach grillowanego mięsa i czosnku. Wybór z karty nie jest zbyt szeroki, ale jedzenie świeże. Obie zamawiamy rybnego burgera, zgodnie z sugestią Sary, do tego porcję frytek i dwa pękate kufle tutejszego piwa. Sara milczy, wpatrując się w komplet sztuców, które kelner

położył jeszcze zanim zdążyliśmy zamówić. Zawsze tak robią. Wiedzą, że nawet najbardziej opornego klienta skuszą odgłosy skwierczących przysmaków i towarzysząca im niepowtarzalna woń.

Przez dłuższy czas przyglądam się starszej parze, siedzącej przy samym wejściu. Wyglądają na turystów. On, ze znacznie zaznaczoną siwizną na skroniach i wielkich okularach, co rusz zsuwających się z nosa, w skupieniu przegląda mapę, sącząc białe wino. Na talerzu leżą resztki niedojedzonej ryby i ogonki krewetek. Pokażny brzuch ledwie mieści się w niewielkiej przestrzeni, przyciśnięty blatem kwadratowego stolika.

Ona, drobna i bardzo szczupła, z niedbałą fryzurą i zbyt ostrym makijażem, wydaje się nieobecna. Pusty kieliszek bezmyślnie obraca w dłoni, patrząc przez okno. Drugą dłonią, w której wciąż trzyma widelec, delikatnie stuka w dno głębokiego talerza, nieudolnie próbując nabić kawałek sałaty, pewnie pozostałość po śródziemnomorskiej sałatce. Tylko taką można znaleźć w menu.

Ciekawe, ile lat musi upłynąć, by całkowicie przestać odczuwać potrzebę rozmowy? By wymiana myśli stała się niepożądana. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem, że nie spotka mnie podobny los, nie będę zmuszona, jak tych dwoje, do obcowania z kimś, kto już dawno przestał być bliski, mimo że wciąż jest obok, przy małym stoliku.

- Myślałaś kiedyś, że mogło być inaczej? – rzucam nagle, wrywając Sarę z błędnego letargu – że gdybyś podjęła inną decyzję...

- Nie – przerywa mi w pół zdania. – Nigdy.

Nie wiem, co powiedzieć. Patrzą na nią i nie dowierzam. Krótko, konkretnie i nie ma tematu. A więc jest pewna na sto procent, całkowicie przekonana o słuszności swego wyboru, pełna wiary w miłość, którą zesłał jej łaskawy los, którą zaakceptowała bezspornie, wraz z wszystkimi skutkami ubocznymi. Sara bez wątplenia jest typem gotowym do wielkich poświęceń kosztem siebie. Miłość to przecież ból, a ona doświadcza go ze zwiellokrotnioną siłą.

- Z warzywami bez cebuli? – Kelner pochyla się nad stolikiem z dwoma talerzami w dłoni.

- Dla mnie. – Robię miejsce, przesuwając kufel.

- I z cebulą dla pani – stawia talerz, uśmiechając się zalotnie do Sary.

Jest ładna, wzbudza zainteresowanie, bez problemu mogłaby wszystko zmienić, gdyby tylko chciała.

Burger rybny z dużą ilością grillowanych warzyw rzeczywiście smakuje wyśmienicie. Ryba jest świeża i soczysta, a wyrazisty sos dodaje daniu pikanterii. Na talerzu Sary, zeszlona cebulka oprószona przyprawami jest idealnie wkomponowana w zawartość puszystej, chrupiącej buły.

Jemy bez słowa. Zresztą dzisiaj rozmowa jakoś niespecjalnie się klei. Nie tak jak zawsze, w pracy, w przerwie na kawę lub lunch. Może wystarcza wspólne

towarzystwo, delikatnie zaakcentowana obecność bez zbędnych słów. A więc tak właśnie jest z tymi pod oknem? Może nic nie wygasło wraz z upływem czasu. Może czasami po prostu wystarczy cisza.

Wracam do domu syta i przygnębiona. Świadomość poddańczej i niemal niewolniczej postawy Sary wywołuje skrajne emocje. Z jednej strony próbuję ją zrozumieć, z drugiej rośnie we mnie coraz większy sprzeciw wobec ludzkiej krzywdy na własne życzenie.

## **EPIZOD IV**

Grudzień, pełen kolorowych ozdób, błyskających lampek, fałszywych pseudo Świątych Mikołajów myszkuje po całym mieście z pękatymi workami pełnymi zdobycz, uginających się od przepychu wystaw sklepowych, otumanionych ludzi trwających w pośpiechu i pod presją misji tak zwanej świątecznej, to jeden z najbardziej nienawidzonych przeze mnie miesięcy. Może dlatego, że prawdziwe rodzinne święta skończyły się kiedy przy stole zabrakło mamy. Potem był już tylko perlisty i nieprzyzwoicie radosny śmiech Claire, który dźwięczał w uszach równie mocno jak dzwony bijące na alarm.

Nie mogłam spać. Wyobrażałam sobie, że jak zamknę oczy, w snach przyjdzie do mnie mama, a potem bałam się zasnąć w obawie, że jednak tak się nie stanie. Rano pod olbrzymią kolorową choinką była góra prezentów, a ja błagałam w myślach Boga, by je zabrał, spakował Claire do jednej z paczek i zamiast tego wszystkiego, zwrócił mi mamę. W święta zawsze tęskniłam najbardziej, nawet wiele lat po jej odejściu.

Pada śnieg. Wielkie białe płatki majestatycznie unoszą się w powietrzu, tańcząc wraz z podmuchami wiatru. Przez przybrudzoną szybę widzę, jak miękko opadają na parapet.

Nagle mój wzrok przykuwa szklana kula. Wciąż tam stoi. Dlaczego nikt mnie nie szuka? Czyżbym profesjonalnie zatarła wszystkie ślady? Miała na tyle szczęścia, że nie było świadków? Dawno nie odwiedzałam Iva. Może policja nie wróciła po nagranie, może dawno zamknęli sprawę. Wspomnienie tamtej nocy zaczyna się zacierać. Nadal nic nie czuję, szklana kula nie budzi żadnych emocji. Jest idealna na święta. W końcu się doczekała, ciekawe, które to już z rzędu. Tylko tyle. Tylko takie myśli przychodzą mi do głowy, kiedy na nią patrzę. Może wcale nie przyczyniłam się do jego śmierci, może dlatego jest taka cisza. Zresztą, nie muszę szukać usprawiedliwienia, uspokajając sumienia i siebie. Nie muszę, bo wcale nie czuję się winna.

Chyba jednak pójdę do baru. Ivo pewnie się obraził. Dotychczas nie zdarzały się tak długie przerwy. Dobrze mi zrobi nocny spacer i kilka drinków na dobranoc.

Ostatnio nie było pająka. Nie widziałam go od ponad tygodnia. To dziwne, zważywszy, że kryjówka w rogu sufitu wydawała się bezpieczna, w sam raz, by zamieszkać w niej na dłużej. Szkoda, przyzwyczaiałam się. Lubiłam obserwować jego codzienne wędrówki wśród zakamarków nierównej ściany, a potem, kiedy znużony dniem, bezpiecznie chował się w szparze. To dziwne, ale zaczyna mi tego brakować. Niegroźny i bezkonfliktowy pająk to idealny współlokator.

Z trudem zwlekam się z łóżka. Jest piątek. Nie mam planów na weekend. Zresztą nigdy ich nie mam. Najczęściej spędzam ten czas w domu, odsypiam, czytam, czasami chodzę do kina lub na długi spacer nabrzeżem po drugiej stronie mostu. Leniwie i głównie bezmyślnie spędzone chwile. W przyszłym roku skończę trzydzieści jeden lat. Najwyższy czas na męża, którego nie szukam i potomstwo, którego nie planuję. Nie umiałabym ich uszczęśliwić, skoro sama siebie nie potrafię. Demony przeszłości. Ciągłe wracają. Nigdy nie pozwolą o sobie zapomnieć. Pobyt za zamkniętymi drzwiami boleśnie i trwale odcisnął swoje piętno, pozbawił nadziei na normalne życie, na zawsze.

Nie zdążyłam kupić butów. Zamszowe kozaki wykończyła jesienna plucha. Stoją w przedpokoju, nadając się już chyba tylko na śmietnik. Ostatni raz. Przecież nie pójdę w trampkach. Jutro się z nimi rozprawię i może w końcu pójdę na zakupy, których tak nienawidzę. Oto plan na sobotę.

Z trudem pokonuję kolejne przecznice. Śnieg prószy w oczy, utrudniając widoczność. Co jakiś czas gdzieś przemyka szara postać wśród białej zamieci. Zimą trudniej zmyć ślady krwi. O tej porze roku czerwień ma wyrazistszy odcień.

Ivo posyła mi obojętne spojrzenie. Jest źle. Będę musiała jakoś to załatwić.

– Cześć przystojniaku! – rzucam, usadawiając się na wysokim krześle przy barze. – Naprawdę nie mogłam – staram się tłumaczyć, nie widząc żadnej reakcji. – Serio!

Nadal nic. Stoi odwrócony tyłem, udając zajętego. Trochę mnie to bawi. Mały obrażony chłopiec. Miło, że aż tak mu na mnie zależy.

– Daj spokój, wiem, że powinnam była się odezwać, ale czasami po prostu tak bywa. No już, przestań się dąsać jak dziecko, bo jeszcze gotowa jestem pomyśleć...

– Że co? – przerywa nagle, stawiając przede mną kieliszek czerwonego wina.

– Jezu, wiesz, że nie piję tego gówna, nalej coś mocniejszego.

– Spróbuj – na jego twarzy maluje się delikatny uśmiech, nie umie długo się gniewać.

– W życiu!

– Dawaj! No już! W ramach przeprosin.

– OK – mruczę, wykrzywiając twarz.

Ostrożnie przechylam szkło, biorąc niewielkiego łyżka.

- Matko, co to jest?!
- Cicho – Ivo przykłada palec do ust. – Bo wszyscy zaraz będą chcieli.

Faktycznie w barze jest trochę ludzi. Więcej niż zazwyczaj. Może z powodu piątku, a może pogody, albo wszystkiego razem.

- Moja własna – mówi z dumą – według przepisu babci.
- Mocne jak diabli.
- Na prawdziwym spirytusie.
- Człowieku, to Nowy Jork, nie sybirski wieś, kto dzisiaj robi takie rzeczy?
- Chciałaś coś mocniejszego, to masz! – parska śmiechem. – Wypij do dna, a dopiero poczujesz moc.
- Kolor jest niezły. Z wiśni?
- Kupiłem w sklepie z żywnością ekologiczną.
- A babcia nie mogła przysłać? – pytam rozbawiona.
- Spójrz za okno. Mamy zimę, jakbyś przegapiła. Mieli tylko mrożone.
- Niezła. Naprawdę.
- Idealna na tę porę roku. Zaraz się rozgrzejesz.
- Co tu dzisiaj tak tłoczno?
- Jakoś tak ostatnio. Nowi, stali klienci. Chyba niedawno się sprowadzili.
- W końcu nie jestem osamotniona. – Wskazuję na blondynkę przy stoliku.
- Od zeszłej niedzieli, są już trzeci raz. Dużo piją, dobrze płacą, wychodzą jak trzeba i nie rozrabiają. Mam nadzieję, że przycupną na dłużej.
- Klienci na wagę złota.
- Coś w tym rodzaju. Szef też zadowolony. Obiecał mi jakiś bonus na święta.
- A jemu co? Zakochał się, czy przepoczwarza w człowieka?
- Chyba jedno i drugie.
- Same zmiany, a nie było mnie tylko chwilę. – Kiwam głową, udając niedowierzanie.
- Trzy tygodnie.
- Ups, rzeczywiście, przegięcie, obiecuję poprawę – uśmiecham się zalotnie.
- Jednak umiesz.
- Co? – marszczę czoło.
- Uwodzić.
- Proszę cię.
- Poważnie, nieźle ci to wychodzi, powinnaś spróbować.
- Chcesz mnie swatać?
- Ciebie? W życiu! Nie będę nikogo wystawiał na minę!
- Świnia.
- Dobra, dokończ nalewkę i zdanie.

– Nalewkę chętnie – sączę ostatniego łyżka – poproszę jeszcze – co do zdania, chyba procenty uderzyły mi do głowy, nic nie pamiętam – wzruszam ramionami.

Blondynka wstaje od stolika i siada obok. Jest już nieźle wstawiona. Z zaciekawieniem przyglądam się jej długim, różowym paznokciom. Na każdym inny wzorek z kolorowych, błyszczących kryształków.

– No cóż... – cedzę pod nosem, widząc porozumiewawcze spojrzenie Iva.

– Jeszcio raz to samo, adna butelka – odzywa się bełkocząc ze wschodnim akcentem. – A koleżanka sama? – Nagle zwraca się w moją stronę, wbijając we mnie mętny wzrok. – Niech do nas przysiądzie.

– Dziękuję, mam sprawę. – Kiwam głową, wskazując na Iva, który właśnie stawia na barze zmrożoną butelkę wódki.

– A, to przepraszam. – Powolnym ruchem zgarnia butelkę, po czym chwiejnym krokiem wraca do stolika.

– No i wszystko jasne – parskam śmiechem – takich klientów nie można stracić.

– Może przyjedzie ich więcej?

– Taa, poproś, żeby ściągnęli znajomych, Rosjanin grzeczny i z kasą zawsze mile widziany.

Drugi kieliszek wypijam prawie duszkiem. Zaczynam odczuwać działanie nalewki. Jest smaczna, mocna i niezbyt słodka, z cierpką nutą goryczki. Muszę zdjąć sweter, bo zaczyna być naprawdę gorąco. Ivo zerka na mnie z uśmiechem. Fajnie, że jest i że gniewa się tylko przez chwilę.

– Następnym razem dam ci butelkę do domu.

– A ile tego stworzyłeś?

– Wystarczy na całą zimę.

– To chyba wykupiłeś cały zapas ekologicznych wiśni?

– Trochę zostało. Na później.

– Policja wróciła po nagranie? – nie mam pojęcia, czemu nagle o to pytam, paplę bez sensu, co ślina na język przyniesie, może jednak coś we mnie siedzi.

– Nie, już się nie pojawili. Sam się zdziwiłem. Może sprawa dawno się wyjaśniła. Nagranie nie było im potrzebne. Zresztą, teraz już pozamiatane, szef trzyma pliki tylko dwa tygodnie. Zapchałoby mu komputer. Nie jesteś ciekawa, co koleś przeskrobał?

– Jakoś nie bardzo.

– Napij się jeszcze, bo coś słabiesz – Ivo ponownie napełnia szkło.

Dwóch gości reguluje rachunek i opuszcza knajpę. Do pomieszczenia wkrada się podmuch mroźnego powietrza. Mam ochotę wyjść na zewnątrz w samym podkoszulku. W moje wnętrze wkrada się prawdziwy ogień. Czuję jak jego płomień robią się coraz większe, po kolei docierając do każdej komórki.

Ivo krząta się za barem. Obserwuję jego zwinne ruchy i zgrabne pośladki. Jest wysoki, umięśniony. Chyba przystojny. Co jakiś czas zerka na mnie ukradkiem, jakby chciał się upewnić, czy wszystko w porządku, czy jeszcze nie spadłam ze stołka. Rytmicznie porusza głową w takt muzyki, potrząsając gęstą ciemną czupryną. Zastanawiam się, dlaczego jest sam? Taki okaz jak on nie powinien narzekać na brak zainteresowania. Wręcz przeciwnie.

- Ile ty masz właściwie lat? – pytam, kiedy na chwilę się odwraca.
- A co? – mierzy mnie wzrokiem.
- Może najwyższy czas znaleźć ci żonę?
- Dobrze – cedzi, wymuszając śmiech.
- Bez przesady – bełkoczę pod nosem – ile można leczyć złamane serce?
- Nie masz o tym pojęcia.
- Dzięki Bogu, ale naprawdę jeszcze ci nie przeszło? Minęło już tyle czasu.

Milczy, udając, że robi drinka. Znowu stoi odwrócony tyłem ze zwieszoną głową. Chyba go zabolalo. Nie powinnam poruszać drażliwych tematów, przecież doskonale znam tę łzawą historię. Wciąż nie wierzę, że takie się zdarzają, szczególnie w męskim wydaniu. Przypadek Sary uznałabym za osobliwy, choć pewnie się mylę, ale Ivo? Kawał faceta z krwi i kości, niestety o wyrażnie zbyt miękkim sercu. Czy istnieje coś gorszego od źle ulokowanego uczucia? Nie w tych dwóch, znanych mi przypadkach. Zakochał się od razu, kilka dni po przyjeździe. Nowojorska, studencka, wielka miłość spadła na niego jak grom z lekko pochmurnego nieba. Trwała tyle, ile jego pobyt na uczelni. Za barem na Manhattanie stracił swoją wartość bezpowrotnie. Długonoga Dakota gustowała jedynie w studentach, tylko z opcją wykształcenia na świetlaną przyszłość. Ivo poszedł w odstawkę z dnia na dzień, niczym stary, nikomu niepotrzebny przedmiot, któremu nagle skończył się termin przydatności do użycia. Jakoś pozbierał się za tym barem, chociaż pamiętam chwile, kiedy myślałam, że się z tego nie podniesie.

Poznaliśmy się świeżo po rozstaniu, niedługo po tym, jak rozpoczął tam pracę. Minęło kilka lat, a on wciąż po niej wzdycha. Nigdy nie zrozumiem, że to w ogóle możliwe. Bajka jego i Sary, to dla mnie kompletna abstrakcja.

- Masz jeszcze siły? – pyta, zmieniając temat i pokazując na butelkę. Kiwam przecząco głową.
- Będę lecieć – oznajmiam niewyraźnie.
- Coś słabo dzisiaj – patrzy na mnie z pobłażaniem.
- Jasne, trzeba było zrobić roztwór stuprocentowy.
- To nalewka, musi być mocna, i wcale nie trzeba łykać jej jak kompot.
- Cenna uwaga. Postaram się zapamiętać.
- Wpadnij jutro, będzie muzyka na żywo, nowy wymysł odmienionego szefa. Nie powinna cię boleć głowa po ekologicznych wiśniach – wybucha głośnym śmiechem. -- W końcu to tylko trzy lampki.

– O pojemności jedyne pięćset mililitrów – czuję, jak płacze mi się język.  
Naciągam na siebie gruby, wełniany sweter, potem płaszcz i szeroki szal.  
– Ile się należy?  
– Na koszt firmy – puszcza mi oko. – Tylko przyjdź jutro.  
– Pa. I bez urazy – rzucam na do widzenia, puszcżając oko, a potem znikam za drzwiami.

Wszystko wokół wiruje niczym rozpedzona karuzela. Rzadki objaw. Zazwyczaj mam mocną głowę. Najwyraźniej tym razem trunek okazał się nie do pokonania. Przyjemny chłodny wiatr muska rozpaloną twarz. Brodę po kostki w śniegu, który tego wieczoru zasypał ulice. Moje zamszowe kozaki tego nie przetrwają. Równie dobrze koniec trasy mogłabym pokonać boso. Idę, próbując liczyć przecznice. Co za noc, dziś nawet w rachunkach się gubię. Dawno nie byłam na takim rauszu. Jest mi błogo. Płomienie trochę osłabły, teraz czuję jedynie przyjemne ciepło, które rozchodzi się powoli w okolicach brzucha. Znajomy skwer, czerwona ciężarówka jednego z mieszkańców, zawsze stoi tu w weekendy. Już niedaleko. Znowu zaczyna sypać. Mam na rozgrzanych policzkach płatki. Rozpuszczają się od razu, spływając aż na szyję. Nie czuję chłodu. Pewnie tak umierają bezdomni alkoholicy, zasypiają pod pierzyną śniegu, myśląc, że są na rajskiej wyspie. Dwie przecznice, a w domu czeka szklana kula z uwięzionym wewnątrz Świętym Mikołajem. Tam też prószy śnieg. Wystarczy tylko wstrząsnąć.

Ale się wygłupiłam. Dlaczego zapytałam Iva. O miłość i o gliny. Na szczęście nic nie zauważył, nie łączy mnie ze sprawą, w przeciwieństwie do mnie. A myślałam, że obrazy tamtej nocy zostały wymazane. Wracają, niestety. Coraz intensywniej. Nie powinnam pić. Procenty uwalniają wspomnienia. Zupełnie niepotrzebnie.

Otwieram stare skrzypiące drzwi klatki schodowej. Ciężko je przesunąć pod naporem śniegu. Trzy piętra w górę. Powoli. Już nie tylko język, ale i nogi mi się płaczą. Resztką sił, w kompletnie przemoczonych kozakach docieram do celu. Niezgrabnie szukam w kieszeni kluczy. Próbuję trafić w dziurkę.

– Mieszasz jej w głowie, kurwo! – słyszę za sobą ochrypy głos. – Odpierdol się od nas, albo pożałujesz!

Powoli odwracam głowę. Za mną stoi rozjuszony Rick. Ledwie trzyma się na nogach. Wygląda koszmarnie, jakby pił od tygodnia. Mokre włosy opadają mu na twarz, zasłaniając oczy.

– Słyszysz?!

– Idź do domu, Rick – staram się go uspokoić.

– Słyszałaś, kurwo, co mówię?! – wrzeszczy, śliniąc się.

– Słyszałam.

Odwracam się i ponownie próbuję włożyć klucz do zamka. Niedobrze,



zaczynam widzieć podwójnie.

– Ignorujesz mnie?! – bełkocze, nie dając za wygraną. – Ignorujesz, pieprzona dziwko?!

Zaczyna mnie szarpać. W pośpiechu szukam w kieszeni gazu. Z całych sił naciskam na dozownik, kierując go prosto w jego twarz.

– Zabiję cię! – wrzeszczy jak oszalały, zakrywając oczy dłońmi. – Zabiję!

Wreszcie udaje mi się otworzyć drzwi. Zaczynają śwędzić mnie oczy, czuję mdłości. Rick wije się na podłodze, drąc wniebogłosy. Już mam wejść do mieszkania, kiedy nagle się zrywa i chwyta mnie za ramię. Dopiero teraz dostrzegam nóż. Macha nim na oślep, próbując mnie dźgnąć. Coraz gorzej widzę. Nie mogę oddychać. Czuję, że jeszcze chwila, a osunę się na ziemię, nie zdołam obronić przed ciosami. Jest jak rozwścieczona bestia, coraz silniejszy i bardziej agresywny.

Nie pamiętam, jak udało mi się wyrwać mu nóż i jakim cudem znalazł się w jego tętnicy szyjnej. Potem działałam chyba w amoku. Prawie nie widząc wbiegłam do mieszkania, zdążyłam nalać sobie szklankę burbona i wypić ją haustem, w lewej ręce miałam nóż precyzyjnie usunięty z tętnicy. Umyłam go dokładnie, osuszyłam i schowałam w boksie z brudną bielizną. Kilka głębszych oddechów, zamknęłam mieszkanie i w rozpadających się kozakach ruszyłam na nocny spacer, starając się omijać ślady krwi, które były wszędzie, także na moich drzwiach. Rick padł chwilę po tym jak wyciągnęłam nóż z jego szyi. Bezwładne ciało runęło jak kłoda, pokonując pół pietra.

Przestało sypać. Ruszam ponownie w stronę baru. W sumie jestem spokojna, tak przynajmniej się czuję, albo tylko mi się wydaje. Trzęsę się w środku. Cała dygoczę, ale może tylko z zimna. Co się właściwie stało? Jeszcze nie wiem. Muszę ochłonać. Może powinnam po raz kolejny odwiedzić bar, tak po prostu wstąpić na drinka, jakby nic się nie stało. To byłoby doskonałe alibi, może nikt nie zauważył chwilowego zniknięcia.

Dźwięk syreny radiowozu, a potem karetki, mieszają się, tworząc niezbyt zgrany duet. Już ktoś zadzwonił. Oby tylko nie sąsiedzi z mieszkania naprzeciwko. Często wyjeżdżają. Para studentów, chociaż właściwie znacznie odbiegają od stereotypu. Może wcale nie studiują, ciągle ciągną za sobą wielkie walizki, że też wcześniej nie wzbudziło to moich podejrzeń.

Świeże mroźne powietrze łagodzi podrażnione oczy. Zaczynam normalnie oddychać. Chyba nie zostawiłam śladów. Staralam się zwinnie ominąć kałuże krwi i denata. To byłby numer. Dowody zbrodni. Moje podeszwy w kolorze purpury.

Dlaczego jestem taka spokojna? Właśnie przed chwilą zabiłam człowieka i to nie pierwszy raz, prawdopodobnie. To chyba jakiś zły sen. Właściwie koszmar.

Może za moment się obudzę. Zwykły pech, przypadek? Czy raczej coś innego? A może to właśnie mnie przyjdzie posprzątać to ohydne miasto, zdominowane przez pozbawione wartości i zasad, ludzkie gnidy. Zrzucam na poczet dobrych uczynków, chociaż sama nie wierzę, że tak myślę. Czyżby nadszedł czas wyrównania rachunków?

Wracam. Muszę się z tym zmierzyć, niezależnie od efektu finalnego. Odeszłam tylko trzy przecznice. Zdążę. Może uda mi się pstryknąć kilka fotek. Będzie w sam raz na jutrzejszy materiał. Morderstwo na Brooklynie i to w mojej kamienicy, na moim piętrze i prawie w drzwiach. Cóż za wyróżnienie.

Z daleka widzę migoczące światła. Pięknie odbijają się w śniegu, rozświetlając ulicę. Pomimo późnej godziny, zbiera się tłum gapiów. Tych nigdy nie brakuje. Pojawiają się zawsze tam, gdzie coś się dzieje. Wyrastają nagle spod ziemi.

Odruchowo wyciągam telefon. Kciukiem ustawiam funkcję aparatu. Kilka niewyraźnych fotek. W nocy nie wychodzą zbyt dobrze. Za dużo światła.

– Pani tu mieszka? – Policjant zagradza mi drogę, kiedy próbuję wejść do budynku.

– Tak. Co się stało?

– Na którym piętrze? – ignoruje moje pytanie.

– Na trzecim.

– A dokładnie?

– Pod siódmką.

Widzę charakterystyczny błysk w oku, a potem delikatne przymrużenie powieki. Przygotowanie do ataku.

– Dokumenty proszę.

– Zostawiłam w mieszkaniu.

Nie jest dobrze, kto wychodzi z domu bez torebki, ale ze mnie idiotka.

– Skąd pani wraca? – świdruje mnie wzrokiem.

– Z baru. Osiem przecznic stąd. Chuchnąć? – nie wiem, po co go prowokuję.

– Proszę poczekać.

Oddała się w kierunku radiowozu. Gada z kimś przez radio, potem krótka wymiana zdań z kolegą. Wraca. Spoglądam na dół, czując przemoczone stopy. Zaczynam marznąć. Nagle mój wzrok przykuwa mała czerwona plama na czubku buta. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć? Powoli przesuwam nogę w tył, próbując ukryć nieszczęsny czubek kozaka za drugą piętą.

– Ile czasu pani nie było?

– Nie mam pojęcia – wciąż płacze mi się język, pomimo że trochę wytrzeźwiałam.

- Ktoś może to potwierdzić?
- Oczywiście, barman, znajomy. Jestem o coś podejrzana? – udaję głupią.
- Rick Goldman, mówi coś pani to nazwisko?

Cholera, co mam powiedzieć, jeśli powiem, że tak, dobiorą mi się do dupy. Z drugiej strony, przyznanie poświadczy moją wiarygodność. Przecież nie mam nic do ukrycia, a może uda mi się z tego wywinąć, skoro i tak nie czuję wyrzutów sumienia.

– Nie.

– Leży martwy prawie pod pani drzwiami, sąsiedzi słyszeli kłótnię, w której uczestniczyła kobieta.

– Przykro mi.

Znowu mruży oczy, próbując mnie nimi zabić. Nie wierzy mi, to jasne. Ciekawe, co jeszcze słyszeli sąsiedzi, a może, co gorsze, coś widzieli?

– To wszystko? Mogę wrócić do domu? – moja bezczelność nie zna granic.

– Jeszcze nie. Musimy poczekać, aż śledczy skończą czynności i oczyszczą teren.

– Może chociaż poczekam na klatce, przemarzłam.

– Proszę wejść do radiowozu. Przy okazji zostawi pani koledze jakieś namiary, gdybyśmy mieli jeszcze pytania.

– Już mówiłam, nie było mnie tutaj.

Z budynku wychodzą ludzie. Dwóch ratowników medycznych z trudem dźwiga nosze. Kawał chłopa z tego denata. Piękne czarne foliowe wdzianko ma teraz niegrzeczny Rick.

– Przepraszam, mogę zrobić zdjęcie? Jestem dziennikarką – zadziwia mnie mój tupet, ale właściwie co mam do stracenia?

Policjant macha ręką i odchodzi. Wyciągam ponownie telefon z kieszeni. Jedno nawet ostre, w ostatniej sekundzie przed zamknięciem drzwi ambulansu. Nie pytając o zgodę, wchodzę do kamienicy. Po drodze na górę mijam kolejnych członków policyjnej ekipy. Nie zwracają na mnie uwagi. Do pokonania ostatnie piętro. Wszędzie krew. Mam nadzieję, że szybko ktoś to posprząta. Zatrzymuję się na moment przed drzwiami. Ślady walki utworzyły niemal dzieło sztuki, na miarę Picassa. Jeszcze jedna fotka. Wchodzę do mieszkania. Tym razem bez trudu udaje mi się je otworzyć.

– Kto wychodzi z domu bez dokumentów? – słyszę za sobą znajomy głos.

Odwracam się. Policjant zerka nieufnie, chyba groźniej niż poprzednio. Staram się ukryć czubek buta, tak by nie zauważył.

– Zapomniałam, zdarza mi się, kiedy nie biorę ze sobą torebki – łzę jak pies.

– Zresztą, wie pan, czasami lepiej nic przy sobie nie mieć, to w końcu Nowy Jork – wzruszam ramionami, posyłając mu kretyński uśmiech.

On też się uśmiecha. Chyba wyczuwa, że próbuję zrobić z niego wała, a może to ja zaczynam czuć się winna?

– Ale torebka jest w domu?

No tak, wiedziałam. Cwany pies, przejrzał mnie prawie na wylot. Kiwam posłusznie głową i kieruję się w stronę salonu. Torba leży na krześle, wyswiechtana i przybrudzona gdzieś tam krwią. Robi mi się słabo. W pośpiechu wyciągam dokumenty z wewnętrznej kieszonki.

– Proszę – pojawia się przed nim jak zjawą.

– Coś się stało? – węszy bezbłędnie.

– Nie, trochę źle się czuję, chyba za dużo wypiałam.

Wnikliwie obserwuje dokument, po czym wkłada mi go z powrotem w dłoń. Dziwne metody. Rajcuje go kontakt fizyczny, czy co?

– Zapiszę sobie pani numer. Niewykluczone, że będzie musiała pani nas odwiedzić. Jutro zeznają świadkowie z góry.

– Co się właściwie stało? – udaję opanowanie, ale świadkowie z góry nie brzmią zbyt dobrze, starsza wścibska kobieta potrafi być wyjątkowo uciążliwa.

Dyktuję numer, nie licząc na odpowiedź. Żegna się chłodno i zbiega po schodach, starając się omijać krew.

Padam na łóżko w sypialni. Na nogach wciąż mam mokre kozaki z czerwoną plamą na czubku. Nie czuję stóp, ale gorsze jest to, że nie czuję serca. Jak spojrzę Sarze w oczy? Co jej powiem? Muszę pozbyć się noża, butów i torby. Zadanie jeszcze na dziś. Albo nie, jeszcze ktoś zobaczy, na przykład czujna sąsiadka z góry. Jutro nie będę rzucać się w oczy, chyba że policja zrobi nalot nad ranem. Wtedy koniec.

Jestem zmęczona. Od dwóch godzin mamy sobotę. Cudownie zapowiadający się weekend. A miało być tak spokojnie, jak zawsze.

Nóż mogę wrzucić do rzeki, torbę i buty powinnam spalić. Szkoda, że nie mam kominka.

Może jednak nie warto zacierać śladów, przecież wciąż prowokuję los. Co ma być, to będzie. Przecież działałam w obronie własnej. Ale co z Sarą? Wiem, że zrobiłam dobry uczynek, uwolniłam ją zupełnie przypadkiem, ale czy ona to zrozumie? Nie sądzę. Zresztą, teraz i tak nie ma to znaczenia. Rick odszedł w zaświaty. Mam nadzieję, że nic i nikt go nie wskrzesi. Ja tymczasem nie przyznałam się policji, więc już nie mam co liczyć na okoliczności łagodzące, na wiarę w moją obronę własną. Za późno, nikt nie uwierzy.

Resztką sił zdejmuję przemoczone buty. Z szuflady w szafce obok kosza na śmieci, wyciągam czarny plastikowy worek. Torbę pozbawiam zawartości, zaśmiecając pół pokoju. Zdejmuję z siebie wszystkie ciuchy łącznie z bielizną. Wszystko upycham starannie i ukrywam w szafie. Umyty nóż wciąż spokojnie spoczywa na dnie kosza z rzeczami do prania. Odkręcam kurek na ścianie w

kabinie prysznic. Silny gorący strumień z hukiem uderza o wyłożoną gresem podłogę. Delikatnie wstawiam stopę, zmniejszam temperaturę i chowam się cała w kabinie, próbując zmyć z siebie resztki śladów, jakie pozostawił niefortunny wieczór.

Zasypiam nad ranem, spokojnie, jakby nic się nie stało.

## EPIZOD V

Sary nie ma w pracy od tygodnia. Nie odbiera moich telefonów. Nic nie wiem, nawet, czy był pogrzeb. W redakcji plotkują, ale mało konkretnie. Widocznie ich też nie wzięła pod uwagę.

Wczoraj składałam zeznania. Jednak po mnie zadzwonił. Upierdliwy glina. Byłam tak opanowana, że przez moment liczyłam nawet na Oscara. Nie wiem, czy ktoś zagrałby to lepiej. Może minęłam się z powołaniem. Spisywał skrupulatnie, wałąc w klawiaturę komputera i co rusz wbijając we mnie świdrujące źrenice. Nie drgnęłam, nawet kącikiem ust. Scena na komisariacie odegrana z wyjątkową perfekcją.

Z workiem pełnym dowodów, póki co, też mi się udało. Po prostu po niego nie przyszli. Wciąż leży wciśnięty w górę ciuchów w sypialnianej szafie. Tylko noża zdążyłam się pozbyć, zaraz po tym, jak kupiłam nowe buty. Czarne skórzane Martensy z miłym futerkiem w środku, wygodne, idealne na nowojorską zimę. Założyłam jeszcze w sklepie. Potem wybrałam się na spacer wzdłuż nabrzeża. Dobrze, że wcześniej robi się ciemno. Nachyliłam się, udając, że chcę podnieść zgubioną monetę. W tym czasie wyjęłam nóż z kieszeni kurtki i upuściłam go prosto do wody. Nawet nie było słyhać, kiedy do niej wpadł. Mam nadzieję, że osiadł głęboko, na zmaconym dnie mętnej rzeki. Szkoda, że nie mogłam go zostawić. Mógłby leżeć na parapecie obok kuli jako dodatek specjalny do mrocznej kolekcji. Ale był charakterystyczny. Wygrawerowane inicjały dostrzegłam od razu, kiedy spłynęła z nich krew.

Tamtej soboty długo spałam. Obudziłam się dopiero popołudniu. Wypiłam potrójnie mocną kawę i w szlafroku poszłam myć drzwi. Nikt nie mówił, że mam z tym poczekać. Pewnie zdążyli pobrać próbki. Schody wciąż były upaprane. Zaschnięte plamy przybrały brunatny odcień. Zrobiłam jeszcze jedno zdjęcie. Na zimno, bez żadnych emocji, jak przystało na zawodowca, który ma sporządzić sprawozdanie z miejsca zbrodni.

Całe popołudnie bezmyślnie gapiłam się w ekran telewizora. Jedyne, co zapamiętałam, to istotna informacja podana w trakcie wieczornych wiadomości. Podobno mają podejrzanego w sprawie rzezi na Long Island. Podali, że jest postęp w śledztwie, co właśnie oznacza, że albo zlinczują kozła ofiarnego, albo rzeczywiście coś się ruszyło, w co szczerze wątpię.

Nie poszłam do baru na obiecany koncert. Znowu będę musiała błagać Iva o przebaczenie. Po północy wypiłam haustem pełną szklankę burbona i poszłam spać, a w niedzielę musiałam zaopatrzyć się w buty. Głupio byłoby brnąć w śniegu do pracy w podartych trampkach. No i pozbyłam się balastu. Przynajmniej jednego, bo pełen worek ukryty w szafie wciąż na mnie ciąży. Z nim będzie odrobinę

trudniej, o ile oczywiście zdążę. Ale zgodnie z zasadami gry, nie powinnam się zbyt stresować.

Wrócił pajak. Przedwczoraj, jakby nigdy nic, zrobił kilka szybkich rundek dokoła sufitu, zanim znowu schował się w szparze w rogu ściany. Poczulałam się zdecydowanie lepiej. Widać brakowało mi go bardziej, niż myślałam.

Martwię się o Sarę. Zniknęła bez słowa. Po tamtym weekendzie już nie pojawiła się w pracy. Cisza. Z jednej strony, mam czas by odpowiednio przygotować się do konfrontacji, z drugiej, aż strach myśleć, co mogło jej wpaść do głowy. Życie zna różne beznadziejne przypadki. A na chorą miłość nie wynaleziono lekarstwa. Podobnie jak na zranioną i taką, która należy się bezwarunkowo. Braku tej, też nie można wyleczyć.

Siedzę przy biurku. Wokół piętrzą się tony papierów, wycinki z gazet, zdjęcia, dokumenty i wydrukowane kawałki nieskończonych tekstów. Dzień jak co dzień. Pracuję nad materiałem do składu. Dzisiejszy mroźny poranek przywitał mnie samobójstwem w metrze. Dziewczyna rzuciła się pod pędzący pociąg prawie na moich oczach. Nie załapałam się tylko na początek spektaklu. Nie zdążyłam zatrzymać w kadrze. Potem przeraźliwy pisk hamulców, wrzask dezorientowanego tłumu, kilku śmiazków, którzy chcieli ratować to, co zostało, mieszanka przepychających się gapiów i tych mniej zainteresowanych, śpieszących do pracy, w pośpiechu opuszczających peron. Mogłam poczekać, miałam przecież czas, na świeży gorący materiał prosto z miejsca wypadku. Krótki telefon do szefa i zielone światło. Czasami żałuję, że nasz dziennik ma poślizg, zwłaszcza wtedy, gdy materiał jest na już, media są w lepszej sytuacji, oni nadają bezpośrednio, a i tempo pracy inne, większa adrenalina. Momentami zżera mnie zazdrość, ale jestem zbyt leniwa by cokolwiek zmieniać. Zresztą, to specyfika pracy w gazecie. Redakcja działa jak piekarnia. Niczym chleb powszedni, gorące wieści wypiekane w nocy na obszernych kartach szorstkiego papieru. Lubię swoją pracę. Nieprędko zamienię ją na inną, chyba że los mnie zmusi.

Na ekranie komputera zdjęcia skopiowane z telefonu. Niewiele z niej zostało. Pociąg dopiero zaczynał hamować, nie miała szans. Ludzkie zmiażdżone szczątki przyklepione jak kolorowe ozdoby z przodu i boków wagonu. Rozdarty na strzępy kawałek czerwonej spódnicy i leżące na szynach, skórzane botki. Dlaczego ludzie zawsze gubią buty? Zostawiają je na znak, że odeszli? Ładne, najnowszy trend i modny w tym sezonie kolor. Jest jeszcze torebka. Wystaje spod żelaznego koła, chyba od Michaela Korsy, nie widać za dobrze. Muszę wybrać kilka fotek, nie powinny być zbyt drastyczne, nie każdy ma nerwy ze stali. To ma być interesujący dowód, a nie szokujący obraz, po którym połowa czytelników będzie zmuszona poddać się terapii u psychiatry. Są jeszcze dzieci. Nawet te małe czasami trudno upilnować. Bywa i tak, że zamazane fragmenty zdjęcia są o wiele bardziej

wymowne niż niejeden krwawy kawałek.

Szokujący może być artykuł. Ma nie tylko być opisem faktów, ale i barwną opowieścią ubraną w mozaikę słów. Mam pole do popisu i czasami faktycznie puszczam wodze fantazji, jednak wszystko z wycuciem.

Z rozmyślań wyrывa mnie dźwięk dzwonka telefonu. Ivo. Dziwne, nie zdarzyło się, żeby dzwonił o tej porze.

– Jestem w pracy – syczę z wyrzutem.

– Wiem, sorry, ale psy tu węszyły, jak tylko otworzyłem knajpę, czekali pod drzwiami. Co narozrabiałaś? – mówi na jednym wydechu, słysząc, że jest zdenerwowany.

– Ups, no to będziesz mnie odwiedzał w pierdlu – próbuję żartować. – A poważnie, niby w mojej sprawie?

– Niestety. Mogłaś uprzedzić, nawet nie wiem, czy nie dałem dupy – wzdycha zmartwiony.

– Daj spokój. O co pytali?

– O piątek.

– I?

– No byłaś.

– Owszem, a co powiedziałeś?

– Prawdę – cedzi niepewnie.

– To w czy problem?

– Nie wiem, może... – przerywa w pół zdania.

– Ivo, wszystko gra, nie przejmuj się. Fajnie, że nie gniewasz się za sobotni koncert. Nie mogłam.

– Nie ma sprawy.

– Słuchaj, muszę kończyć, ślęczę nad materiałem.

– Wpadniesz po pracy? Pogadamy.

– Zobaczą – rzucam zamyślona, próbując napisać kolejne zdanie.

– Dobra. Pa. – Ivo się rozłącza.

Muszę się skupić. Artykuł idzie mi jak krew z nosa. Jestem dzisiaj rozkojarzona. Nie sądzę, żeby powodem był widok o poranku, takie obrazy mnie nie ruszają, za dużo widziałam, napatrzyłam się na wielki zapas. Nagły telefon od troskliwego Iva też nie wzbudza we mnie specjalnych emocji. Tylko tyle, że żal mi chłopaka. Wiem, ile go to kosztowało. Nie chciałby mi zaszkodzić.

Zza szklanej ściany biura widzę Martina, kolegę z redakcji. Palcem stuka w zegarek na rękę i śmiesznie unosi ramiona, wbijając natarczywie wzrok. Mało czasu. Jeśli za pół godziny nie zredaguję tekstu, będzie gorąco. Rozkojarzenie nie pozwala na wydajną pracę. Temat mam od samego rana. Dawno powinnam oddać dopieszczony artykuł i wybrane zdjęcia. Czas przelatuje mi przez palce.

Czuję dziwny wewnętrzny niepokój. Znam go zbyt dobrze, by uznać za



błahostkę, zupełnie zbagatelizować. Oto wracają demony przeszłości. Przywołały je ostatnie zdarzenia. Mdli mnie. Może po szóstej kawie, a może z powodu wspomnień. Z wiekiem gorzej na nie reaguję, chociaż powinno być odwrotnie.

Myślę o Sarze. Jej nagłe zniknięcie nie daje mi spokoju. Dlaczego nie odbiera telefonu? Może coś przeczuwa? Przecież musieli jej powiedzieć, gdzie go znaleźli. W całej sprawie, jedynie to mnie gnębi. Lubię Sarę na tyle, że nie chciałabym jej skrzywdzić, choć pewnie już to zrobiłam. Nigdy mi nie uwierzy, że działałam w obronie własnej, broniłam się, walczyłam o swoje życie. Zna moje zdanie. Wie, że za nim nie przepadałam.

Ostatnie szlify. Po raz trzeci czytam tekst. Kilka drobnych poprawek i gotowe. Za pięć czwarta Martin pojawia się przy moim biurku jak zjawa. Wkurza mnie jego wytrzeszcz, kiedy jest w stresie. Zresztą wszystko mnie u niego wkurza. Facet nie umie wyluzować. Nigdy. Jest spięty i przejęty, jakby każda sekunda życia była sprawą wagi państwowej. Wzdycham ciężko i podaję mu wydrukowany materiał. W tej formie musi trafić do naczelnego. Szef nie znosi unowocześnień. Wszystko musi mieć na papierze. Dopiero potem wysyłam maila. Obserwuję jak Martin w pośpiechu opuszcza biuro. Dopijam resztki zimnej kawy. Odstawiam pusty kubek i wyciągam wysoko ręce, próbując rozprostować kości. Boli mnie kark. Skutki uboczne wielogodzinnej pracy przy komputerze. Przydałby się jakiś masaż. Może zafunduję sobie wizytę w tajskim salonie.

– Do naczelnego! Już! – Martin wpada jak burza, a jego oczy świdrują prawie poza gałkami. – Już! – wydziera się histerycznym głosem.

– Dobra – ociężałe zwlekam się z fotela. – Pali się, czy co? – mam ochotę wkurzyć go bardziej.

– Kurwa! – cedzi przez zaciśnięte usta.

Bawi mnie jego rozwścieczona mina. Pewnie panikuje, jak zwykle. Nie raz wyspał mnie u szefa, albo ciągnął na dywanik, z rozkoszą celebrował drobne potyczki, z mało istotnej sprawy potrafił zrobić aferę na miarę Watergate. Tylko czeka, aż skutecznie powinie mi się noga, a wtedy on z triumfem w wytrzeszczonych oczach i dumą wypisaną na purpurowej z przejęcia gębie, zajmie moje miejsce.

Naczelny siedzi rozparty, w lewej dłoni dzierży mój tekst, w prawej trzy wybrane przeze mnie zdjęcia. Ma nadęte policzki i zmarszczone czoło, a w oczach widzę oznaki litości pomieszane z irytacją.

– Co się stało? – pytam, rozkładając ręce, przekonana, że to zwykle nieporozumienie.

Nic nie mówi, tylko podaje mi kartkę. Zaskoczona wpatruję się w tekst. Artykuł sprzed tygodnia. Bosko. Najwyraźniej jest ze mną gorzej, niż myślałam.

– Przepraszam – kajam się jakbym popełniła przestępstwo. – Nie wiem, jak to się stało. Zaraz dostarczę dzisiejszy materiał – oznajmiam nieśmiało i tyłem

wycofuję się z gabinetu, w rękę wciąż ściskając kartkę.

– Masz dwie sekundy – słyszę za sobą chłodny głos naczelnego.

Pędem do biurka. Gdzie jest tekst? Jasna cholera, gdzie ja go zapisałam? Nie ma. Nie mogę znaleźć. Uginają się pode mną nogi. Jeszcze raz. Spokojnie. Zaczynam przewracać papiery na biurku. Przecież pamiętam, że go drukowałam. Jest. Rzucam się w stronę wyjścia. W ułamku sekundy pokonuję długi korytarz. Bez pukania wpadam do gabinetu. Naczelnym jest wściekły. Widzę jak przygryza wargi. Bez słowa zaczyna czytać. Stoję obok niczym skazaniec.

– Dajemy na pierwszą – mruży po krótkiej chwili. – I te dwa – dodaje, podając mi zdjęcia – tylko bez detali.

– Nie tym razem, osiłku – rzucam do Martina, który właśnie pcha się do gabinetu, mijam go z ironicznym uśmiechem i miną pełną pogardy.

Szybkim krokiem ruszam w stronę swojego biura. Jeśli nie znajdę tekstu w komputerze, będę musiała przepisać raz jeszcze, dobrze, że zdążyłam wydrukować. Po drodze rzucam fotki grafikowi. Za chwilę mu je wyślę. Nigdzie nie ma tekstu. Przecież nie mógł ot tak wyparować.

– Ktoś tu grzebał? – pytam dziewczyny z recepcji, wychylając się zza drzwi. Jest kilka metrów od mojego gabinetu.

Patrzy na mnie wystraszona

– No co?! Był ktoś u mnie, czy nie?!

Kiwa porozumiewawczo głową.

– Wiedziałam! – warczę pod nosem, a potem rzucam się pędem do biurka.

W pośpiechu przepisuję tekst, starając się nie popełnić błędu. Chwilę potem wysyłam grafikowi wraz z wybranymi zdjęciami i uwagą naczelnego. Opieram głowę na miękkim obiciu fotela, oddycham głęboko, próbując się uspokoić. Niech ta szuja lepiej nie wchodzi mi w drogę. Nie teraz, bo nie ręczę za siebie. Odwdzięczę się w swoim czasie. I oczywiście muszę zwiększyć czujność. Facet jest zdesperowany, postępuje coraz odważniej. Może, tym razem, ja powinnam porozmawiać z szefem? Pomyślę, nie będę działać w afekcie, nie jestem nim.

Grafik wysyła mi podniesionego kciuka i uśmiechniętą buźkę. Zawsze tak robi, kiedy zamykamy materiał. Czuję ulgę. Pierwszy raz od długiego czasu. W podobnej sytuacji byłam tylko raz i było to na początku, jeszcze na stażu.

Dobrze, że ten dzień się kończy. Jednak wpadnę do Iva, i to od razu po pracy. Muszę odreagować.

Porządkuję papiery na biurku, bezmyślnie przerzucając kolejne, zapisane kartki. Całe szczęście, że miałam bałagan. Zdążył wykasować tekst, ale nie zdążył znaleźć go wśród tej sterty. Chyba zacznę zamykać gabinet, za każdym razem, kiedy będę zmuszona go opuścić.

Nagle zaczyna wzbierać we mnie złość. Z każdą sekundą jest coraz silniejsza. Wstaję, rozrzucając poukładane dokumenty z powrotem na biurku.

Część z nich spada na podłogę. Podchodzę do okna. Z trudem nad sobą panuję. Powinnam teraz wyjść i go zabić. Potraktować podobnie jak tych dwóch. Złość zmienia się we wściekłość. Właściwie, czemu nie? Przecież zasłużył. Jego też powinna spotkać kara. Niech wie, że posunął się o krok za daleko, że mną się nie zadziera, nie w taki sposób. W głowie rodzi się niecny plan. Chęć zemsty jest zbyt silna. Już się nie zatrzymam. Po ostatnich zdarzeniach, jest mi wszystko jedno. Kolejna ofiara nie ma istotnego znaczenia. W sumie niewiele tracę. To, czy mnie złapią, jest tylko kwestią czasu. Wszystko zależy od następnego rozdania, sposobu w jaki to rozegram. Jednak, zanim rozpocznę zabawę, muszę zakończyć poprzednią. W niej wciąż brakuje hasła „game over”. Muszę pozbyć się worka. Potem opracować plan doskonały. Dwa szczególne zadania na dziś, idealne na wieczór przy barze.

Nie bacząc na bałagan, zabieram torbę, płaszcz i szal. Zamykam za sobą drzwi. Po drodze puszczam oko do dziewczyny z recepcji i nie żegnając się z resztą, wsiadam do windy. Dwadzieścia dwa numerki w dół. Na zewnątrz już ciemno. Chwyć mróz. Pozostałości śniegu skrzypią pod butami. Szybkim krokiem kieruję się w stronę metra. W budce na skrzyżowaniu szóstej i pięćdziesiątej ósmej kupuję hot doga. Zwykłego, bez dodatków, tylko z ketchupem.

W biegu wskakuję do zatłoczonego wagonu. Nowy pomysł nie daje mi spokoju. Myśli prześcigają się w głowie. A jeśli nie zdążę? Jeśli złapią mnie zanim wypełnię misję? Na przygotowania potrzebuję trochę czasu, a potem odpowiedniej okazji.

Facet stojący naprzeciwko nie przestaje się na mnie gapić. Jego też mam ochotę zabić. Jego i pewnie połowę świata, jeśli znajdzie mi dzisiaj za skórę. Zły dzień. Zdecydowanie gorszy od pozostałych. Czuję w sobie niespożyte pokłady agresji. Jestem mieszanką wybuchową ze zwielokrotnioną dawką trotylu. Wystarczyłoby tylko pociągnąć za spust.

Muszę wysiąść. Natychmiast. Jest mi niedobrze i niestety nie jest to zasługa zjedzonego w pośpiechu hot doga. Kręci mi się w głowie, brakuje powietrza, fala gorąca uderza w moje wnętrzości, atakując każdą najmniejszą komórkę. Ludzki tłum zlewa się w jedną, szarą plamę. Prawie po omacku przeciskam się przez drzwi. Krocząc za podmuchem chłodnego powietrza, wydostaję się z podziemia. Oddycham ciężko, jakbym właśnie skończyła maraton. Kucam, oparta o niewielki murek. Czy to już? Po wszystkim? Kumulacja emocji i niekontrolowana eksplozja. Czy dopiero przede mną? Chyba powinnam wrócić na terapię. Znowu zaczynam świrować.

Jeszcze jeden głęboki wdech. Trochę lepiej. Z kieszeni wyciągam lodowaty telefon. Dochodzi szósta popołudniu. Jedna nieodebrana wiadomość od Czarnego Jacka. Dawno się nie odzywał. Nawet nie mam ochoty przeczytać. Chowam aparat z powrotem do kieszeni. Podnoszę się ociężale i powoli wracam na peron metra.

Miałam długą przerwę. Mija prawie rok, odkąd pobiłam dziewczynę w knajpie, podczas samotnego świętowania kolejnych urodzin. Byłam nieźle wstawiona, a ona niepotrzebnie szukała zaczepki. Nie wniosła oskarżenia. Pewnie sama nie była święta. Zwiałam, zanim podniesiono ją z podłogi.

Nie kontroluję tego, ale tylko w wyjątkowych przypadkach. Dwa ostatnie incydenty się nie liczą. Dwie specyficzne sytuacje, w których mogłam znacznie ucierpieć, a nawet stracić życie. Dzisiaj jest inaczej. Mam ochotę skopać komuś tyłek, bez względu na to, czy zasłużył, czy nie. Może lepiej pojedę do domu. Nie powinnam w takim stanie siadać przy barze. Palant z wytrzeszczem i tak dostanie za swoje.

Droga dłuży się niemiłosiernie. Mam wrażenie, że pociąg przesuwa się po szynach w zwolnionym tempie. Denerwują mnie posępne twarze w zapchanym przedziale. Wzrok wbijam w podłogę. Jest brudna. Jakby nikt nie mył jej od wieków. Po co wiecznie trąbią o bezrobociu? Ktoś mógłby w końcu umyć to miasto, wyszorować je na połysk.

Myśl o pozostawionym w szafie worku zaczyna mnie męczyć. Przecież buty były mokre. Pewnie wszystko zaczyna gnić, podobnie jak moja, niczym nie wzruszona, dusza. Powinnam jednak wstąpić do domu. Najpierw tam posprzątać. Do baru potem.

Ostatni przystanek. Dwie przecznice i będę na górze. Ociężałe wdrapuję się po schodach. Złość wciąż we mnie krąży, rozpierając żyły. Chyba nie zdołam się uspokoić. Nawet nie zdejmuję płaszcza. W przedpokoju rzucam tylko czapkę i szal. W pośpiechu kieruję się do sypialni. Otwieram szafę i spośród gęsto upchanej góry ciuchów, wyciągam plastikowy worek. Biorę głęboki oddech i zaglądam do środka. Nie jest najgorzej. Co najwyżej wilgotno. Zawartość rozsypuję na podłodze. Ubrania są czyste. Przydadzą się komuś. Skutecznie muszę się pozbyć tylko kozaków z plamą. Każdą rzecz pakuję osobno w niewielkie siatki. Potem układam w torbie. Zakładam czapkę, owijam się szalem, zamykam za sobą drzwi i ruszam w drogę. To nie koniec podróży na dziś. Jeszcze jedna runda po niedomytym mieście.

Zbliżam się do najbliższej stacji metra, tej samej, co zawsze. Tym razem czeka mnie trochę dłuższa trasa. Siadam na jedynym wolnym miejscu, ściskając torbę. Ciemnoskóry mężczyzna z naprzeciwka, przygląda mi się ospałym wzrokiem. Po chwili zamyka oczy i znowu przysypia. Nikt nikogo nie obchodzi. Żaden osobnik ludzki, umiejscowiony na moment w zatłoczonym przedziale, nie wzbudza zainteresowania. Są tylko własne problemy, których jest zdecydowanie za dużo, by zastanawiać się nad cudzymi. Wszystkie zebrane tu jednostki to tylko szara masa.

W myślach opracowuję plan działania. Dlaczego właściwie pozbywam się całkiem dobrych i ładnych ubrań? Powinnam tylko wyrzucić buty. Może jednak gryzie mnie sumienie? Co czułabym, za każdym razem, zakładając bluzkę i

spodnie? Czy w ogóle coś bym czuła? Nie wiem. Jednak lepiej się pozbyć i zapomnieć.

Przesiadka. Nowy Jork ma dwadzieścia siedem linii metra i prawie pół tysiąca stacji. Mogę się bawić w podróżnika w nieskończoność.

Następny peron, kolejny wagon i przepełniony przedział. Nawet nie zerkam na mapę. Nieistotne, gdzie mnie poniesie, chociaż ilość pasażerów wskazuje na okolice centrum. Potem powinno być luźniej. Wsiądę jak w przedziale zostanie dziesięć osób. Takie jest tymczasowe założenie.

Odkąd wsiadłam do metra niedaleko domu, minęła prawie godzina. Powinnam się pośpieszyć, jeśli chcę jeszcze odwiedzić bar. Ivo nie będzie czekał do rana.

Trochę to trwa, ale wagon powoli pustoszeje. Nagle większość zrywa się do wyjścia. Zostają cztery osoby wraz ze mną. Wstaję, w pośpiechu przemykam się przez drzwi. Pokonując labirynt podziemi, a potem wysokie schody, wydostaję się na zewnątrz.

Ciemno, prawie czarno i bardzo nieprzyjemnie. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Nieistotne. Byleby tylko znaleźć kosz na śmieci. Szybkim krokiem ruszam przed siebie. Nieoświetlona ulica, na której mieszka strach. Nie powinnam tu być. W Nowym Jorku lepiej wystrzegać się takich miejsc. Właśnie tutaj rodzą się tematy na pierwsze strony gazet. Nawet już nie mam gazu. Nie zdążyłam nabyć nowego. To, co robię, jest idiotyczne i kompletnie pozbawione rozsądku. Po jaką cholere pcham się przez godzinę do jakiejś obskurnej dzielnicy, po to tylko, by pozbyć się ciucha? Zacieram ślady, które nic nie znaczą, a i tak bezustannie śledzą mnie miejskie kamery. Odbija mi. Naznaczona za młodu psychika nie może funkcjonować normalnie.

Widzę kosz. Zbliżając się sięgam do torby. Wyjmuję spodnie, starannie owinięte w ciekłą plastikową siatkę. Kosz jest prawie pusty. Wrzucam paczuszkę głęboko na dno.

Nagle słyszę przeraźliwy kobiecy krzyk. Potem kłótnię i chyba szarpaninę. Strzał lub odgłos czegoś, co brzmi podobnie. Nic nie widać. Z jednej strony kusi mnie dziennikarska ciekawość, z drugiej intuicja podpowiada, że powinnam się ewakuować. Jednak wciąż tkwię w bezruchu. Miałabym gotowy materiał. Może powinnam poczekać. Pewnie za moment zjawi się policja.

Znowu huk, odbijający się echem od ciemnych kamienic. Nieprzyjemny odgłos dźwięczący w uszach niesie się daleko po opustoszałych ulicach dzielnicy. Potem głucha cisza. Nikt nie nadjeżdża. Jakby nic się nie działo. Podejrzanym spokojem budzi we mnie strach. Chyba nie chcę wiedzieć, co stało się za rogiem. Instynktownie robię krok w tył, odwracam się na pięcie i w pośpiechu wracam do tunelu metra. Zbiegam po schodach, słyszę odgłos zamykających się drzwi. W ostatniej chwili udaje mi się wskoczyć do wagonu. Cała drżę, skupiając na sobie

wzrok kilku osób. Znowu nie wiem, gdzie jadę. Myśl o niedawnym zdarzeniu nie daje mi spokoju. Może jednak powinnam była zostać? Może ktoś potrzebował pomocy? Mogłam przynajmniej wezwać gliny. Tylko, co potem? Już i tak wystarczająco się wpakowałam. Niepotrzebne mi kolejne kłopoty.

Wysiadam po przejechaniu krótkiego odcinaka, chyba tylko ze trzy przystanki. Następny śmietnik i następna wilgotna przesyłka trafia do kosza.

Teraz gdzieś nad rzekę. Muszę utopić kozaki. Raczej niezauważalnie, jeśli cokolwiek można zrobić w taki sposób w tym mieście. Mam jeszcze jeden niewielki woreczek, z bielizną. Po jaką cholereę pozbywam się i tego? Przestaję siebie rozumieć, ale wszystko, to wszystko. Wyrzucę gdzieś po drodze.

Czuję potworny głód. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że jedynym dzisiejszym pożywieniem był nieszczęsny hot dog. W barze u Iva nie zapełnię żołądka, chyba że drinkiem. Powinnam zjeść coś po drodze, inaczej powali mnie jeden głębszy.

Znowu jestem na peronie. Może pomacham do kamery? Niezły ubaw. Pewnie sprawiam wrażenie chorej istoty, która pojawia się w kilku miejscach naraz. Spoglądam na tablicę z mapą. Nie jest źle. Dwie stacje i będę nad wodą. Nie brakuje jej w tej okolicy.

Do coraz bardziej tłoczego przedziału wpada grupa rozwydrzonych nastolatków. Typy w dresach z nędzną podróbką adidasa, a na ramieniu jednego z wyrostków głośno brzmiący sprzęt, dudniący raperskie teksty. Nowojorski margines społeczeństwa spisany na straty. Nic z nich nie będzie. Urodzeni w slumsach, zło wyssali z mlekiem matki. Nie musiało się w nich rodzić w poczuciu bólu i krzywdy. Zło w czystej postaci, zapisane w kodzie genetycznym. Tacy trzymają się w grupach. Są silniejsi, a sprowokowani potrafią być jak stado rozwścieczonych wilków. Rozszarpią na kawałki każdego, kto wejdzie im w drogę. Pomimo ogólnej dezaprobaty, nikt nie zwraca na nich uwagi.

Rozglądam się wokół. Pasażerowie zastygli w bezruchu. Większość ma spuszczone wzrok. Pewnie w myślach modlą się, by bezpiecznie dojechać do celu. Udają, że nie widzą, nie słyszą głośnej muzyki i chamskiego rechotu. Tak jest łatwiej. W obliczu zagrożenia zawsze wolimy być niewidzialni.

Wysiadam, nie wiem, który to już raz dzisiaj. Dokąd zaprowadzi mnie ta podróż? Pewnie przedsięwzięcie nie jest warte zachodu, ale mam przecież czas i nawet ochotę bezmyślnie powłóczyć się po okolicy.

Dawna, przemysłowa niegdyś część miasta, chociaż wciąż niemal w sercu Manhattanu. Od jakiegoś czasu powstają tu sklepy i knajpy w wynajętych pomieszczeniach starych magazynów. Nabrzeże rzeki Hudson ciągnie się kilometrami. Dostęp do wody nie jest zbyt trudny, gorzej znaleźć miejsce na odludziu.

Powoli zaczynam tracić zapał do dalszej wędrówki. Czuję głód i zmęczenie.

Chciałabym już usiąść przy barze. Zawsze trzeba pokonać odpowiednio długi dystans. Kilka przecznic w tym mieście to norma. Zazwyczaj i tak bywa ich więcej, zanim dobrniesz do celu.

Jest mi zimno. Szybki spacer, ciepły wełniany szal i czapka już nie wystarczą. Powinnam gdzieś wstąpić, napić się czegoś gorącego, coś zjeść, ale męczą mnie wilgotne kozaki, ukryte na dnie torby. Cięży też góra niepotrzebnych śmieci, które zdążyłam uzbierać. Jeszcze trochę, dam radę, choć nie mam pojęcia, czemu ma służyć dzisiejsza misja. Równie dobrze mogłam pociąć je na strzępy i spuścić wodę w toalecie. Byłoby łatwo, szybko, przyjemnie, a przede wszystkim ciepło. Najwyraźniej lubię się katować, zadawać ból, cierpieć, zwyciężać nad słabościami, czuć, że mogę więcej, że potrafię pokonać siebie.

Rozglądam się wokół w poszukiwaniu kamer. Na szczęście, wbrew pozorom, nie ma ich tak wiele. Zbyt mroźno na wieczorne przesiadywanie na ławce nad rzeką. Ostatnia para właśnie sobie poszła. Siadam na moment na ich miejscu. Próbuje rozgrzać skostniałe dłonie. Po lewej stronie widzę niewielkie molo. Stąd trudno dostrzec, czy wejście jest zamknięte. Sięgam po ostatni plastikowy tobołek. Wyjmuję buta i zmiierzam prosto w kierunku wody. Jeden tu, drugi trzysta metrów dalej. Jeszcze tyle będę w stanie pokonać. Przyśpieszam kroku, prawie biegnę.

Pochyliam się i obserwuję jak brązowy zamsz powoli nasiąka wodą, za chwilę ginie w ciemnej, brudnej otchłani. W drodze do metra wyrzucam siatkę z bielizną.

– Wyglądasz jak ostatnie nieszczęście! – Ivo robi zatroskaną minę, odwraca się tyłem i krząta przy butelkach. Po chwili stawia na barze szkło. – Proszę. Napij się, może wrócisz do żywych – mruczy pod nosem, uśmiechając się ironicznie. – Trochę długo dzisiaj w tej pracy, ciężki dzień?

– Jak widać – burczę, przechylając szklanke. – Nalej jeszcze.

– Wyłączyli ogrzewanie w metrze, czy dreptałaś na piechotę? – próbuje być zabawny.

– Zima jest, jakbyś nie zauważył.

– Przyszłaś warczeć, czy pogadać?

– Jeszcze raz – podsuwam mu szkło.

– Nie za szybkie tempo? Żeby nie musiał cię potem reanimować. Chcesz się rozgrzać, czy o czymś zapomnieć?

– Jedno i drugie.

– Może jednak herbata? Kolor ma podobny – parska śmiechem.

– Tylko, jeśli dolejesz procentów.

– Co narozrabiałaś?

– Nie za dużo pytań? Bawisz się w psa, czy co? Może zainspirowała cię

ostatnia wizyta?

– Poczekaj. – Podnosi szklankę, przyglądając się uważnie. – Nie, nie dolałem wścieklizny.

– Dobra – uśmiecham się kącikiem ust, czując przyjemne działanie alkoholu, zdejmuję płaszcz, wciąż pozostając owinięta szalem i w czapce – opowiadaj, jaki trop ich tu przywiódł?

– Pytali o Ricka, Goldmana, czy jakoś tak.

– I co?

– No nic, nie znam faceta. Nawet, jeśli kiedyś tu był, to raczej się nie przedstawiał.

– Znajdzie się w tej zaplutej budzie coś do żarcia?

Czuję, że zaczynam bełkotać. Trzy mocne drinki wypite duszkiem, prawie na czczo, nigdy nie są dobrym pomysłem. Ivo spogląda na mnie z litością.

– Nic nie jadłaś – stwierdza, robiąc zatroskaną minę – mogą być tosty z bekonem i serem?

Kiwam głową.

– Chwila przerwy – zabiera niedopitą szklankę – teraz herbata.

– Uwielbiam twoją nadopiekuńczość. Powinieneś przygruchać sobie żonę, od razu z gromadką dzieci. Byłyby zachwycone, żona też.

– Upiłaś się, więc nie dostaniesz. Nawet mnie nie proś.

– Jesteś barman, klient płaci, a ty dbasz by był zadowolony.

– I żywy.

– Bla, bla...

– Uważaj, gorąca – stawia przede mną filiżankę.

– Uroczo – parskam śmiechem – możesz mnie zaadoptować?

– Jak znajdę lepszą posadę.

Czuję kuszący zapach chrupiącego bekonu i pieczonego sera. Ivo podaje mi talerzyk z trzema przyrumienionymi tostami. Rzucam się, jakbym nie jadła od lat. Popijam gorącą herbatą z odrobiną soku malinowego, którego zazwyczaj dodaje się do piwa lub drinków. Jest coraz cieplej. Zdejmuję czapkę i szal. Układam na wysokim stołku obok, na którym leży torba i płaszcz.

– Teraz poproszę o dalszą relację z przebiegu niespodziewanej wizyty – mówię z pełnymi ustami, pochłaniając trzeciego tosta.

– Potem było już tylko o tobie.

– Umieram z ciekawości.

– Czy cię znam, jak często tu przychodzisz, czy byłaś w tamten piątek, o której wyszłaś, czy byłaś sama i takie tam. – Ivo spogląda na mnie niepewnie. – Zaskoczyli mnie.

– Nie panikuj, wszystko jest w porządku.

– Co się właściwie stało?



– Nic wielkiego, trup pod drzwiami, chyba całkiem wypatroszony, bo ciężko je było domyć, nie wspomnę o schodach.

Ivo blednie.

– Jezu, pod twoimi?

– Na to wygląda.

– Ten Rick? Znałaś go?

– Nie.

– Co robił pod twoimi drzwiami?

– Też chciałabym wiedzieć.

– A świadkowie? Ktoś coś widział?

Kiwam przecząco głową.

– I co, podejrzewają ciebie?

– Ogarnij się, jesteś gorszy niż pies.

– Jestem w szoku. Mówisz o tym tak spokojnie. Matko, nie wiem, co bym zrobił na twoim miejscu. Beznadziejna sprawa. Widziałaś go? – pyta po chwili.

– Nie zdążyłam. Nie wpuścili mnie na klatkę. Tylko worek. Udało mi się pstryknąć kilka fotek. W sumie nie wiem, czemu nie wykorzystałam materiału. Pewnie stwierdziłam, że jest go za mało.

– Serio?! – bada mnie wzrokiem. – Nie, nie wierzę. Nie wierzę, że to w ogóle słyszę. Domyślałam się, że należysz to istot bezdusznych, ale teraz naprawdę, zaczynam się ciebie bać.

– Niepotrzebnie. Znasz mnie, spaczenie zawodowe.

– Miałaś drzwi umazane krwią! – oznajmia z wyrzutem.

– Przestań się rozczulać i polej, bo chyba mi lepiej. Dobre te tosty, dzięki. – Oddaję mu pusty talerzyk i dopijam herbatę.

– W sumie, niezła jazda. Jak tak dalej pójdzie, uciekną mi klienci. To był spokojny, cichy lokal, a teraz węższą tu jak wściekli. Czwarty raz w ciągu kilku tygodni.

– Czwarty?

– A, nie mówiłem ci. Godzinę temu wpadli po nagranie. Pewnie chcą sprawdzić, czy nie ściemnam.

– Dobra, daj jeszcze jednego i spadam. Zrobiło się trochę późno.

Dlaczego zaczynam się denerwować? Przecież wiedziałam, że nie będzie łatwo, że nie dadzą mi spokoju. Nie tym razem. To oczywiste o wiele bardziej, niż sprawa z adwokatem. Swoją drogą, z tamtym chyba mi się upiekło, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego.

Nagle czuję bolesny skurcz. Torba. Jest na nagraniu. Wielka, przewieszona przez ramię. To koniec.



## EPIZOD VI

Kolejne dwa tygodnie ciszy. W pracy kocioł. Martin niepotrzebnie wchodzi mi w drogę, obserwuje, kontroluje, czeka na okazję. Nie mam planu, ani pomysłu na morderstwo doskonałe. Też czekam na okazję, podobnie jak on.

W sprawie zabójcy z Long Island coś się ruszyło. Wczoraj podobny obrazek można było podziwiać w New Jersey. Nie zdążyłam. Nie miałam cynku. Czarny Jack zapadł się pod ziemię. Nawet nie odebrał zaległej kasy. Jedno jest pewne. Mamy serię, więc niech psy lepiej zepną dupy. Chyba, że pragną więcej wypatroszonych czarnulek. Na szczęście mam krótkie włosy i nadzieję, że zbytnio nie pasuję do ulubionego typu sprawcy. Nie nadaję się na poranną przekąskę.

Święta minęły bez echa, jak co roku, od wielu lat. Pracowałam do późna, a potem wyłączyłam telefon. Nie chcę życzeń. Nie lubię ich. Są zazwyczaj oklepane, niezbyt szczere i nigdy się nie spełniają. Ojciec dzwoni kilka razy w roku, między innymi właśnie na święta. Za każdym razem chyba zapomina, że nie mam ochoty z nim gadać. A może jednak trochę mu zależy, dlatego próbuje. Potem mam na ekranie mnóstwo nieodebranych połączeń i tyleż samo wiadomości do usunięcia bez uprzedniego zapoznania się z treścią.

Jak zwykle wpadłam do baru, do Iva. Podarowałam mu ciepłe skarpety w bałwanki, bez życzeń. Rozbawiłam go i chyba był zadowolony. Pogadaliśmy chwilę. Przy okazji dowiedziałam się, że psy na razie wyhamowały. Może tropią „Rzeźnika”, bo raczej taką powinni mu nadać ksywkę.

Dobrze, że nie mówię zbyt wiele o sobie. Nie zwierzam się ze smutkiem w oczach ze swoich życiowych rozterek. Nie roztrząsam i nie rozkładam wspomnień z przeszłości na części i ćwiartki. Nigdy przed nikim. Czasami tylko przed sobą, choć ostatnio rzadko. Tyle lat kumplujemy się z Iwem, ale czy ten rodzaj znajomości mogę nazwać przyjaźnią, skoro wciąż go okłamuję? Albo nie, po prostu nie mówię mu prawdy. Tak lepiej, czy jedynie inaczej? Wiem o nim prawie wszystko, natomiast on faktycznie niewiele. Podobnie jest z Sarą. Poza tą dwójką, reszta wie jak się nazywam i czym zajmuję. Tak jest bezpieczniej nie tylko dla mnie. Pomijając istotny fakt, że swój świat wolę zostawić dla siebie, jest to rodzaj asekuracji. Sprawdza się idealnie wobec ostatnich wydarzeń.

Mroźny styczeń, początek kolejnego roku i leniwie płynący czas, kiedy kompletnie nic się nie dzieje. Na parapecie szklana kula, w której zamknięto obrazek zimy, moja pamiątka z felernej nocy. Niewiarygodne, że to już zeszłoroczna sprawa. W sumie dobrze, że czas leci nieubłaganie, a ja nie odczuwam tego zbyt dotkliwie.

Sary wciąż nie ma. Nikt nic nie wie, przynajmniej w pracy, a z rodziną nie ma kontaktu. Obawiam się, że złe przeczucia mnie nie mylą, niestety.

Ostatnio pisuję o bzdurach, drobnych włamaniach, kłótniach kochanków z urazami w tle. Jakiś dzieciak przez pomyłkę palnął ojcu w łeb z jego wiatrówki, na deser wojna gangów i przejście kontenera z marihuaną. Odkąd przepadł Pan Czarny Jack nie mam dojścia do konkretów na miarę ostatniej masakry, a przydałoby się popracować na premię i uznanie szefa, zwłaszcza że podpadłam. Naczelny wybaczył, ale chyba nie zapomniał, bo jakoś uważniej mi się przygląda.

Dzień się kończy. Materiał zredagowany, po wnikliwej korekcie, z wyczerpującą relacją z miejsca przestępstwa, czeka spokojnie na biurku. Nie spuszczam z niego oczu, nie odstępuję drewnianego blatu nawet na krok, do momentu wręczenia komu trzeba. Nie mam zamiaru, by cały mój trud ponownie trafił w niepowołane ręce.

Martin snuje się korytarzami i węszy, nawet bardziej niż ten upierdliwy detektyw. Zawziął się i nie odpuści. Muszę być ostrożna i sprytniejsza, ubiec go, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

Telefon od naczelnego przerywa błogą ciszę. Mogę iść. Zabieram papiery z biurka, wyłączam na moment komputer, nowy rodzaj strategii zabezpieczającej, na wypadek nagłego wtargnięcia nieprzyjaciela z wytrychem w dłoni. Drzwi gabinetu zamykam teraz na klucz, za każdym cholernym razem, kiedy go opuszczam.

Szef wygląda na zadowolonego. Mam nadzieję, że nie popsuję mu nastroju. Stoję potulnie jak owieczka, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wciąż mi głupio. W związku z tym, wolę się niepotrzebnie nie odzywać, nie zaostrić sytuacji.

– Może znalazłabyś coś mocniejszego? – pyta po dłuższej chwili. – Poza główniarzem z wiatrówką, niespecjalnie się tu dzieje. – Wpatruje się w tekst, kiwając głową z dezaprobatą.

– Informator zapadł się pod ziemię – cedzę, wzruszając ramionami.

– Mnie nie interesuje, jakim cudem zdobywasz materiał.

– Wiem.

– Kiedyś chyba bardziej ci zależało – mierzy mnie chłodnym spojrzeniem.

– To się nie zmieniło.

– Znajdź sobie innego posłańca, jeśli bez tego się nie da. Chcę kontynuacji rzezi z Long Island. Pierwszy materiał był świetny, a z drugim, gdzie się podziałaś? Mieli wszyscy, tylko nie my. Jakim cudem?!

Jego podniesiony głos dźwięczy mi w uszach. Milczę. Stoję jak słup soli. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Gdzie się podział dziennikarski węch i spryt? Muszę wziąć się w garść. To chyba sygnał ostrzegawczy. Czyżby naczelny coś mi sugerował? Nie chcę stracić tej roboty. Dobrze mi tu.

- Tak jest, szefie – odpowiadam po chwili. – Obiecuję poprawę.
- Tu nie ma miejsca na żarty, ani na odwalanie fuszery, przecież wiesz. Spada sprzedaż, to prawda, że nie tylko u nas, ale w razie czego popłyniemy bardziej, niż wielcy wyżeracze, więc, albo pozbierasz się do kupy, albo nie wróżę świetlanej przyszłości.
- Zrozumiałam. Dzisiejszy materiał ok?
- Ujdzie – wzdycha z przekąsem. – Dajemy na pierwszą.
- Dziękuję – uśmiecham się z wdzięcznością, opuszczając biuro.

Jest jeszcze czas, więc się nie śpieszę. Wlokę się długim korytarzem jak na ścieżce. Naczelnny przejrzał mnie na wylot, bardziej niż ja sama. Zna mnie lepiej, niż myślałam. Czarny Jack to nie do końca problem. Raczej to, co dzieje się ze mną. Nigdy nie chciałam, aby życie prywatne miało jakikolwiek wpływ na pracę. Najwidoczniej pewne cechy, tak zwane doskonałe, słabną z wiekiem, a potem traci się je bezpowrotnie.

Po drodze puszczam oko grafikowi. Flirtuje z dziewczyną z recepcji. Nawet nie pamiętam, jak ona ma na imię. Zresztą, jakie to ma znaczenie. Nie potrzebuję znajomych, zwłaszcza z pracy. Wystarczy mi Ivo i kiedyś Sara, bo jej już nie ma. Po co zaśmiecać głowę. Mój chorobliwie funkcjonujący mózg reaguje ostatnio tylko na jedno imię – Martin, oto jednostka do rychłej eliminacji z gry.

Przekręcam klucz i z hukiem otwieram drzwi mojego gabinetu. Jak to się stało, że tylko ja jedna mam swój własny kąt? Zapracowałam na ten fotel, a teraz wszystko może się zmienić. Z mojej winy.

Odpalam komputer, jednym kliknięciem wysyłam tekst. Tym razem nie ma fotek. Czasami tak się zdarza, że skrupulatnie poczyniona i szczegółowo opisana relacja musi wystarczyć.

Dopiero teraz wygodnie rozsiadam się w fotelu. Z przewieszzonej obok torby wyciągam telefon. Bawię się nim przez chwilę, kreśląc kciukiem niewielkie kółka. Bezmyślnie obserwuję tańczące ikonki. Po chwili wchodzę w wiadomości. „Puszka z konserwą” – tak brzmi wiadomość od Czarnego Jacka, o której zupełnie zapomniałam. Jak mogłam? Gdybym przeczytała to od razu, gdybym wiedziała wtedy, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Może miałabym ten cholerny materiał z New Jersey, może nie musiałabym dzisiaj wysłuchiwać narzekania szefa.

Zamknęli go, pieprzonego ćpuna. Jak palant dał się złapać? Powinam zanieść mu do pierdła zaległą wypłatę. Dobrego miał nosa, trzeba mu to przyznać. Trochę mi szkoda. Czas poszukać nowego informatora, a to nie będzie łatwe. Z Panem Czarnym Jackiem pracowałam od lat. Jakoś tak sam wszedł mi w drogę podczas jednej z akcji, no i został. Balansowanie na krawędzi zawsze wiąże się z

ryzykiem. Wszyscy musimy o tym pamiętać.

– Idziesz na piwo? – słyszę za plecami głos grafika.

Przekręcam się na fotelu. Jego łysiejąca głowa tkwi między drzwiami a ścianą. Świdruje mnie wzrokiem z głupim wyrazem nieogolonej twarzy. Kiwam przecząco głową.

– Co się tak izolujesz?

– Mam coś do załatwienia.

– Akurat! Zawsze ta sama śpiewka, pobrzmiwa nudno i niezbyt szczerze, pani gwiazdo sensacji.

– Tylko bez drwin proszę.

– No daj się wyciągnąć, będzie parę osób, tylko z naszego działu.

– Tak, tak, widziałam, a przede wszystkim panienka z recepcji.

– Co masz do niej? Jest w porządku.

– Ona, czy jej półtorametrowe nogi?

– Nogi też – uśmiecha się szelmowsko.

– Nogi też – przedrzeźniam go, parskając śmiechem. – Mam nadzieję, że ona wie, że będzie trzecia w tym tygodniu.

– Ani się waż!

– Swoją drogą, zastanawiam się, co one w tobie widzą?

– Piękno wewnętrzne.

– Jasne. I dobro.

– Chcesz się przekonać? – pyta, próbując kokietować.

– Nie bardzo. Nieudolnie ci to wychodzi.

– Wiedziałem, że nie ma tu po co zaglądać. Co mnie podkusiło? – Kiwa głową, a potem znika, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Powoli zaczynam porządkować biurko. Sterta niepotrzebnych papierów łąduje w koszu. Wyłączam komputer. Telefon wrzucam do torby. Zamykam drzwi. Macham grafikowi na odchodne. Z płaszczem przewieszonym przez ramię wsiadam do windy. Dlaczego nikt nie mówi nic o Sarze? Jakby nigdy tu nie pracowała, była niewidzialna, jakby po prostu nie istniała. Minęło tyle czasu. Boję się dzwonić. Jeszcze na początku, kiedy nie odbierała, byłam pewna, że wie, że mnie nienawidzi. Teraz już nie wiem, co myśleć. Martwię się o nią, a tutaj wszyscy jakby zapomnieli.

Powinam poszukać nowego Pana Jacka i opracować plan unicestwienia Martina. Dwie sprawy, które stoją mi kolkiem w gardle i nie mogą czekać.

Winda staje na piątym piętrze. Przez powoli rozchylające się, metalowe drzwi, widzę roześmianą parę. Mężczyzna z siwizną na skroniach unosi kilkuletnie dziecko. Dziewczynka piszczy radośnie, próbując klasnąć w dłonie tuż nad szpakowatą głową. Nagle dobiega mnie perlisty śmiech kobiety. Czuję skurcz, a

potem drzwi się zamykają. Nikt nie wszedł. Ktoś się pomylił, zrezygnował, czy może miałam ich zobaczyć?

Claire wygląda prawie identycznie jak przed laty. Mężczyzna stał odwrócony tyłem, ale jeśli to naprawdę on, jedynie posturą przypominał siebie, choć i tak już lekko przygarbioną. Czyje dziecko unosił z takim zaangażowaniem? Mój podstarzały ojciec. Mógłby być dziadkiem tej małej. Kolejny skurcz przeszył moje ciało. Chciałabym się mylić.

Pędem wybiegam z windy, jakby ktoś mnie gonił. Marzę tylko o tym, by jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Łapczywie nabieram mroźnego powietrza, czując niemal ból w płucach.

Co tu robią? Po co przyjechali? Dlaczego szwendają się po korytarzach budynku, w którym pracuję? Mam nadzieję, że nie będą chcieli się spotkać, bo i po jaką cholere? Szybkim krokiem przemierzam dwustumetrowy odcinek w kierunku metra. Próbuję przypomnieć sobie, co mieści się na piątym piętrze budynku. Odruchowo wydaję telefon. Cisza. Żadnych nieodebranych połączeń i wiadomości. Z jednej strony czuję ulgę, z drugiej żal. Czyżby było mi przykro, że się nie odezwał? Jestem zszokowana swoją reakcją, lawiną emocji, jakie wywołał widok ojca unoszącego tą małą. Jakim prawem zasługuje na wszystko to, czego nie miałam ja? Jakim prawem kolejna osoba mi go zabiera? Moje życie to wieczne poczucie straty i pustki. Nienawidzę ich. Teraz jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek.

Rezygnuję z zejścia do metra. Kilka minut stoję nad stromymi schodami, bezmyślnie wpatrując się w dół. Potem odwracam się na pięcie i ruszam przed siebie, przeciskając się przez tłum. Snuję się ulicami przysypanego śniegiem Manhattanu, powolnym krokiem, zupełnie bez celu. Nie wiem, czy kiedyś nadejdzie moment, że mu wybaczę, zwłaszcza teraz, kiedy zafundował sobie maskotkę na pocieszenie. Wiem, że to sprawka Claire. Udało jej się w końcu przypieczętować miłość, o którą od początku walczyła z taką zawziętością. Dopięła swego, wreszcie ma, czego chciała naprawdę. Nie zależy mi, by kiedyś zrozumiał. To i tak nie ma już znaczenia, bo na etapie życia, w którym się znajduję, przestaje mi zależeć na czymkolwiek.

Nagły dźwięk dzwonka telefonu wrywa mnie z rozmyślań. A jednak. Wciąż o mnie pamięta. Żałosne. Chowam aparat z powrotem do torby, uprzednio wyciszając głośnik. Niech nacieszy się nowym dzieckiem i wspaniałomyślną żoną, póki może. Ja i tak nie jestem im potrzebna do szczęścia. Oni mnie tym bardziej.

Staję przed witryną niewielkiej kawiarni. Ktoś wychodzi, wypuszczając na zewnątrz zapach świeżo parzonej kawy i maślanych wypieków. Nie zastanawiając się zbyt długo, zaglądam do środka. Zajmuję miejsce przy właśnie zwolnionym stoliku. Uśmiechnięta kelnerka zwinnym ruchem zabiera pozostałości po poprzednim kliencie i podaje mi kartę. Powoli przeglądam menu, wertując po kolei pozycje. Wybór jest imponujący. W końcu decyduję się na zimową wersję latte, z

odrobiną syropu z pomarańczy i cynamonu. Zamawiam czekoladowy torcik z wiśniami nasączonymi alkoholem, lekarstwo na dzisiejszy wieczór. Potem powinnam wstąpić do baru i porządnie się upić, zabić resztkę uczuć, które niepotrzebnie sięją zamęt. Nie chcę cierpieć ani odrobinę dłużej. Wystarczy. Jedyne, o czym teraz marzę, to zdusić w sobie strzępy człowieczeństwa, które jakimś cudem ocalały. Wspaniale byłoby posiadać mózg ze specjalnym oprogramowaniem, pozwalającym uodpornić się na ból.

Ile to już lat? Ponad dwadzieścia, odkąd zabrakło mamy, jedynej osoby, która potrafiła kochać prawdziwie. Prawie osiemnaście, odkąd Claire zabrała wszystko. Czas, który mnie ukształtował, wpłynął na kompletnie zaburzoną osobowość. Czas pustki i samotności. Nie żałuję. Dziś akceptuję siebie taką, jaką jestem. Im więcej tej pustki wewnątrz, tym lepiej, tym bardziej siebie lubię, pozbawioną głębi i złudzeń.

– Podać coś jeszcze?

Kelnerka pochyła się nad stolikiem. Kiwam przecząco głową. Wysoka szklanka jest jeszcze pełna do połowy. Nawet nie zauważyłam, kiedy pochłonęłam całe ciastko. Czarnowłosa piękność zabiera pusty talerzyk. Wodzę za nią wzrokiem, obserwując jak krząta się między kolorowymi krzesłami. Jej długie włosy bezwładnie opadają na ramiona, układając się w gęste fale. Co rusz próbuje je odgarniać, delikatnie przechylając głowę. Potencjalna ofiara „Rzeźnika”. Młoda, piękna, ciemnowłosa. Powinna uważać.

Małymi łyżkami dopijam chłodną kawę. Za oknem zaczyna sypać śnieg. Dawno nie było takiej zimy. Biała puszysta pierzyna otuliła Nowy Jork, na chwilę zatarła wszystkie ślady. Jest pięknie, kiedy migające światła miasta odbijają się w srebrzystej powłoce.

Na sekundę zapominam o obrazku z piątego piętra. Szkoda, że tylko na moment. Dzisiejsze, niespodziewane spotkanie przywołuje wspomnienia, niepotrzebnie budzi uśpione emocje. Który to już raz przyjdzie mi się z tym zmierzyć. Rozpocząć walkę.

Dziś mogłabym zostać w tej kawiarni, całą noc popijać kawę, wypróbować wszystkie rodzaje, delektować się smakiem i widokiem zza okna. Obserwować wielkie białe płatki tańczące na wietrze i ludzi śpieszących ulicami Manhattanu. Dziś, czas mógłby stanąć w miejscu i na długo się zatrzymać.

Kątem oka zerkam na kelnerkę. Ona też na mnie spogląda. Pewnie powinnam coś jeszcze zamówić albo już opuścić lokal. Daję znak, prosząc o rachunek.

Chyba zrobiło się późno, a może to zasługa coraz mocniej sypiącego śniegu, bo ulice jakby opustoszały. Nie bacząc na zadymkę, niespiesznie brnę przed siebie, co jakiś czas zerkając w oświetlone witryny. Muszę się napić, niekoniecznie w



barze u Iva, nie dzisiaj. Poszukam innego miejsca. Kilka przecznic stąd jest sympatyczny irlandzki pub, pełen stałych bywalców. Pewnie przyda im się atrakcja w postaci nowej zbląkaney duszyczki. Dobry pomysł na najbliższe kilka godzin. Może zabawię do rana. Będzie bliżej do pracy.

Nagle staję przed oknem restauracji. Mój wzrok przykuwa kilkuletnia dziewczynka, bawiąca się makaronem na wielkim białym talerzu. Trochę mnie przypomina, kiedy byłam w jej wieku. Dopiero teraz uświadamiam sobie, ile mam z ojca. Ona też, niestety. Obok siedzi Claire, jak zwykle elegancka, dopracowana do granic możliwości, ze swoim sztucznym uśmiechem na naciągniętej twarzy. Ojca nie widzę. Pewnie wyszedł na chwilę do toalety, albo dołączy do nich później.

– Co za spotkanie! – słyszę za sobą miękkie męski głos i robi mi się słabo.

Stoimy naprzeciwko, patrząc sobie w oczy. Nie jestem w stanie wydobyć żadnego dźwięku, ani wykonać choćby drobnego gestu. Wbita w niewielką zaspę, tkwię nieruchomo niczym posąg z lodu. Czuję jak zaczyna walić mi serce. Dokładnie tak, jak kiedyś, kiedy w naszym domu pojawiła się Claire, a ja starałam się wykraść choćby chwilę sam na sam z ojcem, drżąc ze strachu, że ona zaraz przyjdzie i zabierze mi go na zawsze.

– Tak się cieszę – mówi prawie szeptem – tyle razy próbowałem się z tobą skontaktować, dzwoniłem, pisałem – przerywa, badając mnie wzrokiem. – Dziecko. – Wyciąga ręce, jakby chciał mnie przytulić.

Odruchowo robię krok w tył, brnąc w coraz gęstszy śnieg. Opuszcza dłonie, pochyla na moment głowę, chowając wzrok. Czyżby chciał ukryć nagłe poczucie winy, bo chyba właśnie to zdążyłam ujrzeć na jego pokrytej zmarszczkami twarzy.

– Powinniśmy porozmawiać, w końcu wszystko sobie wyjaśnić – w jego głosie słyszę niepewność.

– Czasu nie można cofnąć, niestety – odzywam się wreszcie, próbując opanować emocje.

– Wejdźmy do środka, chciałbym ci kogoś przedstawić – uśmiecha się tajemniczo.

– Lepiej będzie, jak już pójdę.

– Proszę.

– Mam jeszcze coś do załatwienia – oznajmiam chłodno.

– Mam wrażenie, że źle to wszystko odbierasz, od początku źle oceniasz całą sytuację.

– Nie wiesz, o czym mówisz! Nie masz pojęcia! – krzyczę z wyrzutem. – W ogóle mnie nie znasz! Nic nie wiesz! Nic!

Gwałtownym ruchem łapie mnie za ramię, próbuje zatrzymać. Kątem oka widzę przerażoną Claire. Chyba po raz pierwszy się nie uśmiecha. Siedzi nieruchomo, obserwując nas przez wielką szybę. Obok dziewczynka powoli sączy sok przez słomkę. Przez ułamek sekundy nasze oczy się spotykają. Mała mnie nie

zna. Nie ma pojęcia, co się dzieje, kim jest ta obca kobieta, którą szarpie za rękaw płaszcza, jej ojciec.

– Nie odchodź, proszę – słyszę błagalny ton.

– To nie jest dobry moment.

– Nigdy nie jest. Przecież próbuję od lat. Nie dajesz mi szansy. Kocham cię, słyszysz?

– Daj spokój – cedzę z pogardą, odwracam się i odchodzę w pośpiechu.

– Nigdy nie przestałem! – krzyczy, kiedy jestem na skrzyżowaniu.

Udaję, że nie słyszę. Nie odwracam się. Nie obchodzi mnie, czy wciąż tam stoi i czeka, ma nadzieję, że zawrócę. Przyspieszam kroku. Jak oszalała zbiegam schodami w dół i wpadam na stację metra. Wskakuję do pierwszego lepszego przedziału, nie bacząc na kierunek. Byleby jechać, uciec jak najdalej. Telefon wibruje w torbie, brzęczy, nie dając za wygraną. Dopiero teraz to do mnie dociera. Nie winię go już tylko za mnie, za odebraną miłość, ból i przemoc, której doznałam.

Obwiniam go za śmierć mamy, za to, że pozwolił jej odejść, a potem tak szybko się pocieszył. Niech lepiej nie wchodzi mi w drogę, nie próbuje prosić o zrozumienie i wybaczenie, bo nigdy go nie dostanie.

Siadam obok ciemnoskórej staruszki. Ma na głowie kolorowy turban, na szyi złoty szal i złote czółenka na bosych stopach. Spod cienkiego, krótkiego płaszczyka wystaje czerwona suknia niemal do ziemi. Wygląda, jakby właśnie uciekła z balu przebierańców.

Po raz kolejny wyciszam telefon, bo nie da mi spokoju. Nie mam ochoty na durne pogawędki, a ojciec jest ostatnią osobą, z którą chciałabym rozmawiać.

– Zależy mu na pani.

– Słucham?

– Zależy mu. – Kobieta w turbanie spogląda na telefon, który wciąż trzymam w dłoni.

– O czym pani mówi?

– On żałuje.

– Przepraszam, właśnie wysiadam – bąkam zdenerwowana i podchodzę do drzwi.

Siadam na ławce na peronie, wodząc wzrokiem za odjeżdżającym pociągiem. Co to miało być? Jasnovidzka się znalazła. Cholerna wszechwiedząca. Znowu wali mi serce, tym razem mocniej, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Dziwnie się czuję. Niby tylko jakiś babski bełkot, pewnie była chora, a jednak dotknęło do żywego. Nagle ogarnia mnie strach. A jeśli ona to naprawdę czuła? Jeśli mówiła prawdę? Zaczynam wariować. Jednak powinnam wrócić na terapię, bo za moment nie poradzę sobie ze sobą. Sprawy zaczynają się nawarstwiać, zbyt

szybko i wszystkie naraz. Boję się tego, czego nie rozumiem i siebie, bo nie wiem, do czego jestem zdolna. Kiedyś karmili mnie prochami. Miały pomóc, wyciszyć ból, wymazać przeszłość, ale nie czułam się dobrze. Po prochach na smutek nie można normalnie funkcjonować, to wegetacja. Czas przestaje się liczyć, bezwiednie płynie, przelatując przez palce. Wyznaczają go tylko pory dawkowania kolejnych pastylek. Właściwie nie wiem, co lepsze. Przespać życie, czy je wcześniej zakończyć? Chyba na jedno wychodzi.

W torebce wciąż czuję wibracje. Wiem, że to on. Może powinnam odebrać? Może postać w kolorowym turbanie miała rację? Drżącą dłonią sięgam do torby.

– Halo? – odzywam się zachrypniętym głosem.

– Błagam, nie odkładaj. Spotkajmy się. Tylko my dwoje, jeśli chcesz. Proszę.

Długa cisza. Biję się z myślami. To w końcu mój ojciec. Najbliższa i jedyna osoba, jaką mam. Z drugiej strony, tak bardzo go nienawidzę. Tylko miesza mi w głowie. Po co w ogóle przyjechał?

– Jesteś tam? – pyta nerwowo.

– Niepotrzebnie zakłócasz spokój i porządek mojej poukładanej egzystencji – oznajmiam jednym tchem i się rozłączam.

Telefon milczy. Czekam jeszcze pięć minut, obserwując ludzi na peronie. Już nie zadzwoni. Ociężale podnoszę się z ławki. W ciemnym tunelu widzę zbliżające się światła, czuję podmuch chłodnego wiatru. Pociąg zatrzymuje się ze zgrzytem. Wsiadam, pchana przez tłum. Marzę już tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do domu, położyć się wygodnie i zasnąć pod czujnym okiem niespokojnego pająka.

## EPIZOD VII

Od tygodnia jest cisza. Telefon milczy niczym grób, bo przez siedem dni nie odezwał się nikt, oprócz grafika, który zadzwonił z jakąś bzdurą w porze lunchu.

Rzuciłam się w wir pracy. To lepsze od garści prochów i skutkującej praniem mózgu terapii. Mam zamiar na informatora. Jakimś cudem ktoś przeszmułował gryps od Pana Czarnego Jacka. Trzy dni temu znalazł się w skrzynce wraz z korespondencją służbową. Nie wnikam. Niepotrzebne mi dodatkowe kłopoty. Nowy posłaniec będzie czekał jutro w umówionym miejscu, o którym dowiem się dzisiaj wieczorem. Tak brzmią wieści zapisane szyfrem. Mam nadzieję, że odczytałam poprawnie.

Dobrze, że nie ma trzeciej ofiary „Rzeźnika”. Może załapię się na uznanie i premię specjalną przy pomocy nowego nabytku w postaci poleconego informatora.

Tymczasem kończę opowieść o zbiorowym gwałcie na studentce prawa. Jeśli nawet przeżyje, nie wróżę świetlanej przyszłości. Wiem coś o tym, chociaż ona oberwała o wiele bardziej. U mnie to była wersja tak zwana delikatna i z udziałem pojedynczego osobnika, niezmiennie przez dwa lata, zanim usunęli go z funkcji sprawowania władzy nad internatem. Sprawa zrobiła się głośna, a ja siedziałam jak mysz pod miotłą, paląc się ze wstydu.

Studentka ma zdecydowanie mniej szczęścia i nie do końca wpływ na ogólnonarodowe poruszenie, jakie serwują jej media. Znaleźli ją wczoraj na ulicy, ze złamaniem szczęki, wstrząsem mózgu, pękniętą śledzioną i mnóstwem innych obrażeń. W stanie krytycznym trafiła do szpitala. Pewnie dlatego natychmiast zjawiała się policja. W takiej sytuacji nie ma szans na zatuszowanie śladów. Podobno mają podejrzanym. Na razie trzech, ale mówi się nawet o pięciu. Przeszywa mnie dreszcz. Tylko skała mogłaby pozostać obojętna wobec takiej tragedii. Może jeszcze genotyp pokroju „Rzeźnika” z Long Island. On na pewno potrafi dotkliwiej i więcej. Jest wirtuozem, mistrzem w dziedzinie powolnego zadawania śmierci. Wzdrygam się na samą myśl. Powinni złapać sukinsynów i urwać im jaja bez uprzedniego znieczulenia, a potem spalić żywcem na środku Time Square ku uciesze ludzkości.

Naczelny ostatnio zmiękł, zmienił trochę ton na o jeden poziom łagodniejszy i zaczyna się nawet uśmiechać. Nie mam pojęcia, czy to za sprawą moich starań, czy nowego romansu, o którym zaczynają szeptać redakcyjne korytarze, a echo plotek odbija się po kątach.

Martina nie ma. Już kilka dni ukrywa się w swojej zapchlonej norze z powodu zwolnienia, jakie dostarczył osobiście zaraz po weekendzie. Ciekawe, co gryzie jego szujowatą czaszkę, poza jadem, który wypełnia szare komórki i potwornym wytrzeszczem? Chciałabym wiedzieć, może łatwiej byłoby opracować

plan idealny.

Kończę tekst. Niestety nie mam żadnej fotki. Nie wpuścili mnie na oddział. Zresztą dziewczyna ledwie dycha na OIOM-ie, z zewnątrz bram strzeże dwóch psów, nie ma szans, by wpuścili dziennikarzy. Pewnie za moment któryś dotrze przed drzwi, pewnie uda mu się uchwycić jej konanie w kadrze, ale na razie sprawa jest zbyt świeża, stąd policyjne barykady i wzmożona czujność. Na wypadek, gdyby zwyrodniali napaleńcy za wszelką cenę próbowali ją uciszyć.

Szkoda mi jej. Nie wiem, czy w takiej sytuacji nie lepiej byłoby się nie obudzić ze śpiączki. Nawet jak ich zamkną, strach będzie deptał jej po piętach, potworny ból przeszywał wnętrzności, wstyd palił niczym ogień już do końca życia. Nigdy się od tego nie uwolni.

Drukuję tekst. Nie mogę go poprawiać w nieskończoność. Zresztą i tak, niewiele już da się zmienić czy dodać.

Dochodzi piętnasta trzydzieści. Dobrze zablysnąć trochę przed czasem. Profilaktycznie zapisuję po raz kolejny materiał, wyłączam komputer, zamykam drzwi na klucz, w obawie, że duch Martina jakimś cudem krąży po pomieszczeniach redakcji. A tak poważnie, weszło mi w nawyk. Wolę się zabezpieczyć, niż potem wściekać.

Szef pomrukuje z zadowoleniem, obracając się na fotelu. Pomimo że w dłoni trzyma mój tekst, wątpię, żeby mruczał z tego powodu. Kryzys wieku średniego. Przypadek nie odosobniony, powinien dołączyć do szeregu zaraz za moim ojcem.

Czekając na wyrok, bezmyślnie rozglądam się po pokoju, wodzę wzrokiem po zasypianym papierami biurku. Dokument leżący z lewej strony, na wierzchu okazałej sterty różni się od innych. Najbardziej rzuca się w oczy nazwisko Martina, a zaraz potem pieczęć szpitala. Stoję za daleko, by rozszyfrować resztę. Mam ochotę zrobić krok do przodu, pochylić nad zapisaną kartką i dosłownie wgryźć w każde słowo, niemal rozkładając je na poszczególne litery. Zżera mnie ciekawość. Jestem pewna, że właśnie wśród tych liter kryje się pomysł na morderstwo doskonałe. Gdybym tylko mogła chociaż na chwilę zostać tu sama, na sekundę mieć tajemnicze pismo do wyłącznej dyspozycji.

- Idealnie – naczelny mruczy pod nosem, gapiąc się w okno. Zapewne chodzi mu o materiał, chociaż nie jestem przekonana.
- Przepraszam – zwracam się nieśmiało – mówił pan do mnie?
- Dawać na pierwszą – dalej pomrukuje z zadowoleniem – zdjęcia też.
- Ale... – waham się przez chwilę – nie ma zdjęć.
- Nie ma? – zaskoczony dopiero teraz spogląda na tekst.
- Niestety, nie było szans, jest obstawiona niczym twierdza. Póki co, kompletny brak dostępu.
- Dawać, co jest – mówi podniesionym głosem i oddaje mi kartkę.
- Tak jest.

Nie wnikiem, zabieram tekst, odwracam się i powoli zmierzam w kierunku drzwi, pochłaniając wzrokiem dokument Martina.

W drodze do gabinetu, jak zwykle daję znak grafikowi. Zaraz wyślę mu artykuł. Papier na biurku szefa nie daje mi spokoju. Może powinnam popytać w redakcji, może ktoś coś wie.

Odpalam komputer. Ostatni wgląd w materiał. Nie przeżyłabym, gdyby wpadła literówka, szef nawet nie spojrzał. Całkiem mu odbiło. Przynajmniej wiem, że moja radość jest przedwczesna. Nie chodzi o wkład w pracę, niestety. On teraz nie widzi nic, oprócz jędrnego tyłka i wypchanych implantami cycków świeżej platynowej zdobyczy.

– Co jest?

W drzwiach pojawia się głowa grafika.

– A co ma być?

– Masz tekst?

– Właśnie wysłałam. O co ci chodzi?

– Nic. Tak tylko...

– Dawaj, przecież widzę.

– Byłaś u starego – zaczyna niepewnie.

– Byłam.

– I? – robi głupią minę.

– Robicie z igły widły. I nic! Normalnie! Ciebie przede wszystkim nie powinno to dziwić. Zajmij się robotą!

– Dobra, już dobra, nawet nie można zagadać – zrzędzi pod nosem.

– Spadaj! – syczę przez zęby.

– Ale ze starym wszystko gra?

– Skąd mam wiedzieć do cholery?! Idź i zapytaj!

– Ludzie gadają.

– Jasne, gadają i będą gadać, jak to ludzie. Nic tylko ploty po kątach.

– Co go tak bronisz? Uuu... – kiwa głową, uśmiechając się wrednie.

– Za chwilę nie zdążysz puścić tekstu.

– Wpadnę potem – puszcza oko i znika, trzaskając za sobą drzwiami.

Nie mam siły, ani ochoty bawić się w redakcyjne intrygi. Wszyscy doskonale wiedzą, że naczelny ma romans. Niepotrzebnie robią z tego wielką aferę. Nie on pierwszy, nie ostatni, ale pożywka jest. I temat do plotek. Zespół ożywiony jak nigdy. Szkoda, że nagle zniknięcie Sary nie wzbudziło równie wielkiego zainteresowania, co platynowa kochanka szefa. Nie chcę widzieć głupich uśmieszków, słyszeć szeptów chowających się w kątach. Pragnę oddzielić się od świata, w którym żyję, grubą betonową ścianą.

Jest wiadomość. Mój nowy posłaniec będzie czekał jutro o dwudziestej przy zejściu do metra na rogu dziewiątej i Smith Str. na Brooklynie. Ciekawe, czy to

przypadek. Może to jego główny rewir, a może już wie, gdzie mieszkam. Muszę być ostrożna.

Pan Czarny Jack namierzył mnie dopiero po dwóch latach i to tylko dlatego, że kompletnie naćpany bawił się w detektywa. Przez całą drogę do domu nie zauważyłam, że mnie śledzi. Nazajutrz, na szczęście niewiele pamiętał. Ciekawe, na ile go skazali. Pewnie się dowiem, jak któregoś dnia odezwie się po zaległą kasę.

Czas się zbierać. Na dzisiaj koniec. Grafik i tak już nie zajrzy, zbyt dobrze go znam. Wie, że w moim towarzystwie nie może liczyć na pełną pikantnych zdań konwersację, że go zbędę po kilku niezbyt przyjemnych sekundach. Zresztą, jak tylko zamyka kolejny numer, natychmiast stoi przy recepcji, albo wisi na telefonie i urządza idiotyczną pogawędkę z przyszłą długonogą ofiarą swoich wyuzdanych fantazji. Skąd on je bierze? Potem sterczą pod budynkiem przebierając nerwowo nogami, pełne wiary, że koleżanka obok czeka na kogoś innego. Ile to już razy łysy wymykał się z pracy tylnymi drzwiami. Zawsze znajdzie się jakiś naiwniak, który go kryje. Ilekroć zdarza się taka sytuacja dopadają mnie wątpliwości co do posiadania przez gatunek rodzaju żeńskiego dwóch równomiernie pracujących półkul. Pozostaje wierzyć w podział ludzkości, nie tylko na tle rasowym.

Porządkuję papiery. Przed oczami mam znowu dokument na biurku naczelnego. Nie ma szans, by się tam dostać. Szef, podobnie jak ja, lubi się zabezpieczyć i za każdym razem zamyka biuro, jeśli już w ogóle je opuszcza. Chociaż w jego obecnym, lekko przymulonym stanie może można liczyć na drobne przeoczenie? Spróbuję. Właściwie co mam do stracenia? Oprócz pracy oczywiście, na której jeszcze przed sekundą bardzo mi zależało.

Zabieram rzeczy, zamykam pokój i ze sztucznym uśmiechem na twarzy, krocę prosto w kierunku recepcji. Nie ma grafika. Kątem oka widzę jak snuje się korytarzem z telefonem dociśniętym do ucha.

– Naczelnny jeszcze u siebie? – pytam dziewczyny, której imienia wciąż nie mogę zapamiętać.

– Nie, przed chwilą wyszedł – oznajmia przygnębionym głosem, co rusz zerkając w stronę kręcącej się w kółko łysej głowy.

– Dzięki – rzucam i odchodzę, słysząc za sobą głębokie westchnięcie.

Nie jest mi jej żal. Same pchają się na minę. Czasem, oprócz ciała, mogłyby użyć rozumu, pod warunkiem, że go oczywiście mają.

Przyspieszam kroku, próbując się upewnić, czy nie mam za sobą ogona. Połowa redakcji już dawno czmychnęła niezauważalnie. Jak tylko zdarzy się okazja, znikają przed czasem. Staję przed drzwiami naczelnego. Chwilę się waham. Może jednak nie powinnam ryzykować? Z impetem naciskam na klamkę. Zamknięte. Nie jest z nim tak źle. Cwaniak, może i zakochany, ale funkcjonuje bez zastrzeżeń, wedle starych, utartych zasad. Pewnie robi to zupełnie nieświadomie.

Po latach pracy pewne czynności wykonujemy mechanicznie. Szkoda. Hak na Martina leży tam na biurku i nie daje mi spokoju.

Monotonna trasa pokonywana niezmiennie od lat. Podróż metrem może się znudzić. Świat podziemnych tuneli pełen mieszających się ras i kolorów przyprawia mnie o mdłości. Drażnią ludzie, ostatnio coraz bardziej. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam na urlopie. Może powinnam wyjechać, zmienić na chwilę otoczenie, przestać słuchać języka, który niestety rozumiem. Wokół pełno niepotrzebnych słów. Wbijają się w moje bębny, powodując ból. Same brednie. Ludzie gadają, co ślina na język przyniesie, byleby tylko otwierać usta, by wypływał z nich potok nieistotnej treści. Nie zmienię i nie naprawię świata, choćbym chciała, ale ciążący na nas przymus dostosowania się powoli mnie zabija. Nie ma nic gorszego, niż brak wyboru, na jaki od początku jesteśmy skazani. Poczucie wolności jest zawsze tylko pozorne. Od urodzenia żyjemy w ściśle określonych trybach, poruszamy po wąskim torze z zewsząd ogrodzonym murem. Co jakiś czas stajemy na rozdrożu, jest kilka ścieżek do wyboru, lecz żadna nie jest tą właściwą. Człowiek bezustannie szuka i błądzi, jakby żył po omacku. Wszystko to, jest tylko desperacką próbą ucieczki. To właśnie pogoń za wolnością, która tak naprawdę nie istnieje.

Z trudem pokonuję każdy kolejny stopień, jakbym wdrapywała się na szczyt góry. Boli mnie głowa, mam mdłości i zawroty. Serce wali jak oszalałe, a ściśnięty na supeł żołądek uniemożliwia ruch. Oddycham ciężko, opierając się o drewnianą poręcz. Zaczynam się dławić. Mam ochotę wypluć z siebie ból.

Mogłabym teraz wdrapać się na dach i skoczyć. Kamienica ma pięć pięter. Pewnie wystarczy, by wreszcie poczuć wolność.

Rozdrapywanie głębokich ran przeszłości miało okazać się lekiem. Stało się jednak zupełnie odwrotnie. Ostatnie terapie i dzisiejszy artykuł są jak trucizna. Moje ciało choruje z żalu. Cierpi podobnie jak wtedy, kiedy co najmniej dwa razy w tygodniu zadawano mi śmiertelny cios.

Staję przed drzwiami. Przekrzywiona, pokryta rdzą siódemka ledwie trzyma się na cienkim gwoździu. Powinnam była dawno to naprawić, może wtedy, kiedy szorowałam zaschnięte plamy krwi.

Z ciężkiej torby wydaję pęk kluczy. Wśród nich ten od piwnicy, którą otrzymałam w pakiecie wraz z mieszkaniem. Nigdy tam nie byłam. Nie mam ochoty na towarzystwo szczurów. Pełno ich w tym mieście. Chociaż może warto zerknąć, zwyczajnie zawodowo, w ramach poszukiwania potencjalnego materiału na artykuł.

Wchodzę do mieszkania. W przedpokoju zrzucam torbę i płaszcz, prosto na zabłoconą podłogę. Idę do sypialni, zapalam światło. Nagle słyszę charakterystyczny dźwięk wywalonych korków.



Ciemność, a potem odrętwienie. Strach paraliżuje zmysły. Wokół cisza i tylko mój przyspieszony oddech. Po omacku zbliżam się do łóżka. Siadam powoli, próbuje podciągnąć ciężkie jak z ołowiu nogi. Skulona w kłębek chowam się pod kocem. Zaczynam odliczanie.

Zgrzyt starych nie domykających się drzwi, znak, że się zaczęło. Cisza nocna. Minutę po dwudziestej drugiej rozpoczyna się runda honorowa po jednym z korytarzy internatu. Piętro, na którym mieści się mój pokój, misternie wyselekcjonowany przez zaradną Claire.

Idzie powoli, nierówno powłócząc nogami, stara się być cicho, żeby nie wzbudzać podejrzeń, ale ja słyszę, każdy najdrobniejszy szmer i jego dyszący oddech. Kilka kroków i chwila przerwy przed każdymi kolejnymi drzwiami. Nasłuchuje. Musi być pewny, że nikt się nie dowie, że nikt mu nie przeszkodzi.

Zaczyna brakować mi powietrza. Mimo to, mocniej otulam się kocem. Trzydzieści dwie sekundy. Już jest. Za chwilę zamknę na klucz drzwi mojego pokoju. Pójdzie do końca korytarza. Odczeka minutę przy otwartym oknie i wróci. Ponownie umieści klucz w zamku. Dźwięk, którego nie da się zapomnieć i cisza.

Czuję, jak powoli ściąga ze mnie koc. Jest tak ciemno, że nie widzę jego twarzy. Nie muszę. Wiem, że to on. Młaska z zadowoleniem, wydając cichy pomruk. Potem zaczyna delikatnie gładzić mnie po udzie, coraz wyżej podciągając bawełnianą koszulę. Chłodne, szorstkie dłonie płynnym ruchem przesuwają się po mojej skórze. Zaciskam zęby i powieki, choć wiem, że to nic nie da. Nie obroni mnie przed złem. Przez moment masuje brzuch, dotyka piersi, zaczyna bawić się sutkami. Słyszę jego oddech. Jest coraz szybszy. Przerzywa na chwilę. Podchodzi do drzwi, by się upewnić, że są zamknięte. Wraca, po drodze rozpinając spodnie. Metalowa klamra paska z hukiem uderza o ziemię. Z kącików oczu spływają mi łzy. Jego dłoń robi się wilgotna. Natarczywym ruchem rozchyła mi uda. Sztywnieję, próbując zdusić w sobie krzyk. Wiem, że za chwilę umrę po raz kolejny, by rankiem narodzić się na nowo.

Za oknem zaczyna świtać. Nie pamiętam, kiedy zasnęłam. W ubraniu, skulona pod cienką narzutą, uciekłam przed ciemnością, ale nie przed koszmarem wspomnień, które wciąż próbuję ukryć za zamkniętymi drzwiami tamtego pokoju.

Zerkam na godzinę w telefonie. Dochodzi dziewiąta. Dobrze, że zaczął się weekend. Muszę uporać się z korkami. Nie zniosę kolejnej czarnej nocy.

Dopiero teraz zrzucam z siebie ubrania, biorę prysznic i w miękkim, ciepłym szlafroku rozsiadam się na kanapie, popijając świeżo zaparzoną kawę. Moje życie jest kompletnie pozbawione sensu. Praca w redakcji to jedyne co mam i nie może być przecież namiastką egzystencji. Został mi jeszcze Ivo. O wilku mowa. Z gorącym kubkiem zbliżonym do ust, spoglądam na wibrujący telefon.

– Mam nadzieję, że się pali! W przeciwnym razie, pozwę cię za zakłócanie

spokoju! - ryczę do głośnika, nie podnosząc aparatu ze stołu.

– Musimy się spotkać. Przed chwilą były u mnie gliny – Ivo jest zdenerwowany.

– A ty co, spałeś w barze?

– W domu! – przerywa podniesionym głosem. – Właśnie wyszli!

– Czyli spoko, nie zgarnęli cię? – próbuję żartować.

– Znowu pytali o ciebie! Ze szczegółami sprzed lat! - wydziera się histerycznie. – Coś ty narozrabiała?! Kurwa mać!

– Błagam, uspokój się, o której otwierasz bar?

– Za moment wychodzę. Będę za godzinę.

– Dobra, a wiesz, jak naprawić wywalone korki?

– Chyba tak, a co?

– Wpadnij najpierw do mnie. Potem odprowadzę cię do knajpy. Pogadamy.

– Szlag mnie trafi! Zawału przez ciebie dostanę!

– Matko, coś ty taki delikatny? Wyluzuj Ivo, przecież nie tobie dobierają się do dupy.

– Jak nie mnie?! – znowu wrzeszczy. – A co to niby ma być?!

– Boisz się o mnie, czy tylko o siebie?

– O nas!

– To przestań! – teraz ja się wydzieram. – Uruchom mózg i doczep sobie jaja!

– Kurwa, bardzo śmieszne!

– Czekam w domu, tylko żebyś zdążył, zanim się ściemni.

Odstawiam kubek z niedopitą kawą i się rozłączam. Czyżby psy wreszcie coś wywęszyły? Brawo! Trochę to trwało, ale lepiej późno niż wcale. Lepiej dla nich, chociaż kto wie? Może i ja na tym skorzystam. W życiu, w którym jest głównie pustka z odrobiną rozrywki i pracy, nagły, nieoczekiwany zwrot akcji może okazać się strzałem w dziesiątkę. Ja i tak balansuję na krawędzi. Od upadku dzieli mnie tylko milimetr.

Zakładam dzinsy, podkoszulek i gruby, wełniany golf. Dobrze mi robi spacer w mroźne przedpołudnie. Byleby tylko Ivo szybko uporał się z korkami. Chyba, że brak światła okaże się poważniejszą awarią.

Powinam się bać? Pewnie tak, ale nic nie czuję. Zapowiedź zbliżającej się burzy, nie robi na mnie wrażenia. Od dawna czekam na wyrok, od tamtej felernej nocy, kiedy nieznamy адвокат stanął mi na drodze. To cud, że bezkarna vegetacja trwa już tak długo. Może nadszedł czas, by wyrównać rachunki.

Jeszcze jedna gorąca i czarna jak smoła kawa, dobrze mi robi. Zaparzę więcej, może Ivo będzie miał ochotę. Chociaż jemu przydałoby się coś mocniejszego. Nie miałam pojęcia, że to taki cykor.

Rozsiadam się ponownie na kanapie. Popijam kolejną kawę, przeglądając

zdjęcia w telefonie. Rick, opakowany w elegancki plastikowy worek, przed podróżą do chłodni. Patrę niewzruszona. Nie wiem, dlaczego, ale czuję ulgę. Zupełnie jakbym przysłużyła się światu, pozbawiła go przynajmniej jednego śmiecia, dobry uczynek dla ludzkości. Ani przez moment nie było mi go żal.

Próbuję nie myśleć o Sarze. Minęło tyle czasu i cisza. Sara rozplynęła się w powietrzu.

Dzwonek do drzwi wyrywa mnie z rozmyślań. Ivo chyba leciał na miotle. Nie minęło nawet pół godziny. Pewnie strach go tu przygnał w tym tempie.

– Cześć histeryku – witam go w proggu.

– To nie jest zabawne – burczy, wchodząc do środka.

– Jasne, że nie. Nikt nie mówił, że ma być wesoło – próbuję opanować śmiech.

– Gdzie te korki? – wzdycha ciężko, zdejmując kurtkę.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiesz?!

Kiwam przecząco głową.

– Mam cię dość! – krzyczy, a potem zaczyna rozglądać się po przedpokoju.

Bawi mnie jego irytacja, którą tak nieudolnie stara się ukryć. Biedny Ivo, niepotrzebnie się przejmuję, chociaż nawet go rozumiem. Przypadkiem został wpłątany w syf, którego wokół coraz więcej, a wszystko za moją sprawą. Szkoda chłopaka, widzę jak zżerają go nerwy, ale muszę brnąć do przodu, dalej grać swoją rolę, teraz nie mogę się już cofnąć.

– Są – mówi po chwili, gapiąc się w otwarte drzwiczki ukryte w rogu ściany, tuż pod wieszakiem na ubrania – masz jakieś narzędzia?

– Zaraz poszukam, gdzieś powinna być skrzynka.

– Stary, przepalony badziew, musisz to wymienić, jak można było wynająć mieszkanie z czymś takim! – Wydziera się oburzony. – Aż cud, że żyjesz! Przy odrobinie pecha, całą chałupę mógł trafić szlag!

– Proszę – podaję mu skrzynkę, którą znalazłam w szafce pod zlewem.

– Co to jest? – w jego głosie słyszę rezygnację. – Młotek i zardzewiały gwóźdź? Wprost trudno o komentarz! Dzwon do właściciela, nic tu po mnie. Nie pomogę, choćbym nawet chciał. – Zamyka pudełko, potem drzwiczki na ścianie i zaczyna ubierać pozostawioną na krześle kurtkę. – Spadam. Muszę do roboty.

– Poczekaj, pójde z tobą. Przecież miałam cię odprowadzić.

– Daj spokój, odechciało mi się gadać.

– Przez skrzynkę?

– Przez wszystko.

– Ivo, sorry, ale może nie warto się tak przejmować?

– Przejmować?! Przesłuchiwali mnie jak jakiegoś bandytę!

– Przecież zawsze tak robią. To psy.

– W coś ty mnie wpakowała? – patrzy mi w oczy.

Wbijam wzrok w podłogę, udając, że czegoś szukam. To beznadziejne, ale nie wiem, co mu powiedzieć.

– Idziemy? – pytam po chwili, otwierając drzwi.

– A więc jednak! Nie chcesz, czy nie możesz gadać? – przytrzymuje mnie za ramiona.

– Naprawdę nic się nie dzieje. Nie musisz się martwić, przecież nic nie zrobiłeś. Kto, jak kto, ale ty masz mocne alibi, przecież cały wieczór stałeś za barem.

– Oczywiście, że tak! Ale po co mi ciągle niezapowiedziane wizyty, teraz już nawet w domu?! Miałem wrażenie, że jestem głównym podejrzanym! W sprawie o morderstwo, kurwa mać! – nagle mnie puszcza, wychodzi i zaczyna zbiegać po schodach. – Muszę lecieć, zaraz się spóźnię! – Słyszę z klatki.

W pośpiechu zarzucam szalik i zamykam drzwi. Doganiam go na dole.

– Prowadzą śledztwo, to normalne – staram się go uspokoić.

– Słuchaj, ile my się znamy?

– Jezu, nie chcę, żebyś panikował, bo nie ma powodu.

– Może nie powiedziałaś mi wszystkiego? – bada mnie wzrokiem.

– Niby czego?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Ivo, przestań. Facet zginął pod moimi drzwiami, to fakt, ale nic poza tym! Pewnie znalazł się tam przypadkiem, może ktoś go gonił?! Może to jakieś porachunki, skąd mam wiedzieć?!

– To, co robią, to przygotowania. Zostawili sobie ciebie na deser. Ta taśma. Moje przesłuchanie. Tylko w twojej sprawie. Chcieli znać każdy szczegół. – Staje zamyślony. – Szykuj się na najgorsze, jak już dobrać ci się do dupy.

– Mam to gdzieś!

– Skoro tak mówisz – w jego głosie słyszę lekką drwinę. – Wpadnij wieczorem na drinka, teraz naprawdę już nie mam czasu.

– Ok, będę po ósmej.

– I zadzwoń do tego palanta, który mało cię nie spalił! – rzuca na pożegnanie i znika za rogiem.

Idę powoli, powłócząc nogami. Nowe martensy mokną w kałużach. Jest odwilż. Kilka stopni na plusie i po pięknej nowojorskiej zimie. Jest mi źle z powodu Iva. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że to jedyna osoba, na którą zawsze mogę liczyć, która jest przy mnie od lat, od momentu, kiedy się poznaliśmy.

Życie biegnie dalej, a ja wciąż muszę być jego częścią. Dlaczego tego nie zakończę? Nie wiem. Nie mam pojęcia, po co tak się męczę? Dla kogo? Pozostaje

wiara. Może jednak mam coś jeszcze do załatwienia na tym padole?

Właśnie dzwoniłam do właściciela mieszkania. Opisałam sytuację. Nawet się przejął. Ivo miał rację. Palant wynajął mi klitę z tykającą korkową bombą. Kolejny dowód na istnienie losu. Jednak jeszcze chwilę muszę tu pobyc.

## EPIZOD VIII

Długi, ciemny, cuchnący korytarz dzielnicowego posterunku kojarzy mi się tylko z serialami z rodzaju kryminalnych. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek odegra się tu scena z moim udziałem. W porównaniu z tym miejscem, poprzednie zeznania składałam chyba w Wersalu.

Przedstawienie zaczęło się dzisiaj o świcie, zgodnie z zapowiedziami Iva. Wtargnięcie z nakazem przeszukania, kompletnie wybiło mnie z rytmu i zaburzyło rozkład dnia.

Musiałam powiadomić naczelnego. Nadprogramowe, nieprzewidziane zwolnienie. Będę się nieźle tłumaczyć. Najlepiej byłoby mieć usprawiedliwienie od lekarza, na razie padło hasło: „nie mogę, później wyjaśnię”, choć nie mam bladego pojęcia, jak. Wolałabym nie wtajemniczać szefa w moje problemy z prawem. Miałam nadzieję, że szybko załatwię, co trzeba i wrócę do redakcji, tymczasem siedzę ponad dwie godziny w niekończącej się kolejce, wśród doborowego towarzystwa i śledzę szczegółowy przegląd społeczny. Przepite i obite twarze, rzucające się, skalane krwią ręce, krzyki, szturchania, przepychania, wyzwiska, kajdanki, odór zła w czystej postaci. W czym jestem od nich lepsza? Czym się wyróżniam pośród tego tłumu? Chyba niczym, skoro tkwię po uszy w tym samym rzędzie.

W mieszkaniu nic nie znaleźli. Zresztą nie było szans. Przynajmniej raz w życiu posprzątałam idealnie. Z parapetu spoglądała na mnie szklana kula, niezauważona. Przecież każdy może taką mieć w sypialni.

Czeka mnie „wywiad z wampirem”. Detektyw, który przejął sprawę, robi naprawdę mocne wrażenie. Twardy typ, nieugięty i nie przebierający w środkach. Jestem pewna, że od dawna ostrzy sobie na mnie zęby. Celowo próbuje przetrzymać na niewygodnym krześle smrodliwego korytarza. Pewnie myśli, że będzie mu łatwiej mnie złamać. Nie wie, z kim ma do czynienia. Łatwo się nie poddam. Poczekalnia ma swoje plusy. Nawet w tym chaosie można pomyśleć i opracować odpowiednią strategię. Będę dobrze przygotowana.

Drzwi otwierają się i zamykają. Fala ludzka przychodzi i odchodzi. Ruch w policyjnej poczekalni na pewno nie należy do jednostajnych, raczej do takich ze zmiennym natężeniem. Byłby z tego interesujący materiał. Szkoda, że nie dostałam zlecenia na kilka kadrów z jednego z nowojorskich komisariatów.

Mija kolejna godzina, już trzecia, odkąd przysiadłam na krześle. Nie mam pojęcia, czy mogę się ruszyć. Wszyscy podobnie usadzeni tkwią jakby w bezruchu. Pewnie dlatego, że większość z nich jest w stanie odurzenia i zauważalnych na pierwszy rzut oka, zaburzeń świadomości. Mogłam wczoraj się upić. Byłabym w lepszym nastroju, ale mamy wtorek, a ja nie zwykłam zaczynać od poniedziałku.

Dopiero czwartkowe upojenie można zrzucić na poczet zbliżającego się weekendu. Oczywiście zdarzają się wyjątki.

Z hukiem otwierają się wejściowe drzwi. Kilka rozjuszonych psów prowadzi skazańca. Jest w amoku, wrzeszczy, szarpie i wywija szczupłym ciałem na wszystkie strony, próbując wyrwać się z policyjnych szponów. Zabawne, wygląda jakby płażał po tanecznym parkiecie. Nawet trzem osobom nie udaje się go ujarzmić. Wiem, co się stanie za chwilę, jeśli wciąż będzie walczył. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiają się funkcjonariusze. Wyłażą niczym szczury ze swoich kryjówek. Każdy uzbrojony w paralizator, ale tylko jednemu puszczają nerwy, tylko jeden pies jest równie wściekły, co niesforny podejrzany.

Nagle cisza, dość długa, a potem znowu chaos. Facet porażony prądem leży nieruchomo. Nad nim kilka pochyłonych ciał w granatowych mundurach. Inni też patrzą, ale z daleka i jakby ukradkiem. Na moment będzie spokój.

Żałuję, że nie wyciągnęłam telefonu, nie utrzymałam widowiska godnego oscarowej statuetki, ostrzeżenia dla wszystkich w ramach tak zwanych działań prewencyjnych.

Zabierają go. Przedstawienie skończone. Widownia zamarła w honorowej łóży. Nie będzie oklasków.

– Proszę za mną – nieprzyjemny głos dudni mi nad głową.

Umundurowany człowiek postury goryla stoi nade mną jak kat. Przez dłuższą chwilę spoglądam na niego bezmyślnie, jakbym nie była pewna, czy chodzi o mnie. Przechodzi mi przez myśl, że oglądany przed sekundą spektakl był dodatkową atrakcją stosowanych tu metod zastraszania, przeznaczoną specjalnie dla mnie. Niestety nie doznałam szoku. Po ociekających krwią strzępach misternie spreparowanych przez „Rzeźnika”, chyba nic mnie nie ruszy. Niewiele może się równać z takim widokiem.

– Ja? – udaję głupią.

– Proszsz... – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Wstaję. Potulnie ruszam krok za krokiem za katem, prowadzącym mnie na ścięcie. Skręcamy w prawo. Kolejny niekończący się korytarz pełen zamkniętych drzwi, tym razem zupełnie bezludny. Nie dochodzą tu hałasy z poczekalni. Wielki niczym potwór facet zatrzymuje się nagle, bez ostrzeżenia. Wpadam na niego, odbijając się od twardych jak skała pleców.

– Przepraszam, zamyśliłam się – próbuję tłumaczyć.

Mruczy coś pod nosem, a potem chwyta za klamkę metalowych drzwi, nad którymi świeci się czerwona lampka z napisem: „Nie wchodzić”. Pierwszy raz widzę coś podobnego. Chwył stosowany w szpitalach, nie miałam pojęcia, że również i tutaj. Kojarzy mi się tylko z jednym. Oto otwierają się przede mną wrota siermiężnej sali tortur. Przeszywa mnie dreszcz, ale na ucieczkę nie ma szans. Nie mam ochoty na spotkanie z paralizatorem.

– Dzień dobry, proszę usiąść – dobrze mi znany z dzisiejszego poranka detektyw wskazuje na drewniane, obdrapane krzesło.

Pomieszczenie jest duże i prawie puste. Oprócz wielkiego biurka, wygodnego fotela detektywa i mojego nędznego siedziska, nie ma tu zupełnie nic. Jedną ze ścian zdobi ogromne weneckie lustro, a w rogach sufitu pełno kamer. Scenografia jak z horroru, albo z czasów drugiej wojny światowej, pomijając oczywiście kamery.

Nie wiem, dlaczego, ale jest mi niedobrze. Wokół panuje trudny do zidentyfikowania, nieprzyjemny zapach. Domyślam się, że to kolejny celowy zabieg. Chcieli już mnie zmęczyć, wystraszyć, a teraz to. W takim stanie zmięknię jak gąbka, albo najpierw się porzygam.

Czy podobnie traktują wszystkich podejrzanych, czy tylko szczególne przypadki?

– Kiedy ostatni raz widziała pani Sarę Goldman? – rzuca mimochodem, nieudolnie udając, że szuka czegoś w papierach.

– Nie wiem – próbuję się skupić – nie pamiętam. Dawno. Od jakiegoś czasu nie pojawia się w pracy.

– Nie miała pani z nią kontaktu?

– Nie.

– Wiadomo, dlaczego jej nie ma?

– Skąd mam wiedzieć? Proszę zapytać naczelnego.

– I nie martwi to pani? – wbija we mnie wzrok spoza zsuniętych okularów.

– Nie rozumiem.

– Nagłe zniknięcie przyjaciółki. Może warto okazać odrobinę zainteresowania?

– Nie przyjaźnimy się.

– Nie? – robi krótką przerwę. - Koledzy z redakcji sądzą inaczej.

– Z nimi też się nie przyjaźnię. Pochopnie wyciągnięte wnioski – wzruszam ramionami, robiąc głupią minę.

– Jednak dzwoniła pani do niej wkrótce po tym, jak nie przyszła do pracy.

– Owszem.

– Tylko tyle?

– Byłam ciekawa. Dzień wcześniej jadłyśmy razem lunch.

– Sara Goldman nie odebrała, prawda?

– Przecież pan doskonale wie.

– O czym rozmawiałyście?

– Głównie o pracy. Nie było prywatnych wyznań, jeśli o to panu chodzi.

– Dwie kobiety z jednej redakcji, które dość często wychodzą razem w porze lunchu, przez pół godziny nie mają sobie nic więcej do powiedzenia za wyjątkiem kilku uwag dotyczących plotek prosto z redakcyjnego korytarza. Nie wydaje się



pani, że to odosobniony przypadek?

– Nie – ucinam krótko. – Dla mnie to normalne. Nie przepadam za spoufalaniem.

– Fakt – na jego posępnej twarzy maluje się drwiący uśmiezek. – To by tłumaczyło odizolowanie od rodziny. Jedyne bliski znajomy, barman z brooklyńskiej knajpy niedaleko domu.

– Jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję, cenna uwaga, szkoda, że nie mogę zapisać w aktach.

– Można wiedzieć, czego szukaliście w moim mieszkaniu? – teraz ja świdruję go wzrokiem.

– Dowodów, zazwyczaj szuka się dowodów.

– Dowodów na co?

Cisza.

– Dziwnie prowadzone śledztwo – stwierdzam z ironią.

– Doprawdy? Pani jest ekspertem w tej dziedzinie? – marszczy czoło.

– Jestem podejrzana?

– Interesuje mnie pani zeznanie w sprawie Ricka Goldmana – zaczyna, nie odpowiadając na pytanie. – Twierdzi pani, że go nie zna.

– Owszem, nie znałam, bo z tego, co wiem, to chyba nie przeżył.

Stara się zachować opanowanie, ale widzę, jak drga mu powieka.

– Chce mi pani wmówić, że z ust Sary Goldman nigdy nie padło nazwisko męża? A pani zapytana o nie, nie skojarzyła?

– Jak zapewne panu wiadomo, wracałam właśnie z baru, niezbyt trzeźwa, nie wpuszczono mnie do mieszkania, nie pozwolono nawet poczekać na klatce. Tak, nie skojarzyłam. Nazwisko Goldman jest dość popularne.

– Sara nigdy nie wspomniała o mężu?

– Już mówiłam, nie rozmawialiśmy o prywatnych sprawach.

Parska śmiechem.

– Jest pani twarda. I przekonana o swoim sprycie. Ale ja za długo pracuję w tym zawodzie...

– Zarzuca mi pan kłamstwo?! – przerywam mu w pół zdania.

– Skąd to nagłe oburzenie? – pyta z wrednym uśmiechem. – Przecież nic takiego nie powiedziałem – stwierdza rozbawiony.

Wkurza mnie. Staram się zachować spokój, ale facet gra mi na nerwach. Mam ochotę rzucić w niego tym cholernym, obdrapanym krzesłem, a potem z hukiem zamknąć za sobą metalowe drzwi i opuścić wreszcie to paskudne miejsce. Z trudem hamuję odruch wymiotny, bo odór w powietrzu robi się coraz bardziej intensywny. Czuję suchość w ustach i gorzkawy posmak.

– Mogę prosić o coś do picia? – pytam po chwili.

– Przykro mi, ale skończyły się zapasy wody – oznajmia z triumfującą miną.

- W kranie też zabrakło? – przestaję nad sobą panować.
- Nie polecam, nie chcę brać odpowiedzialności za ewentualną niedyspozycję – szydzi z udawaną troską. – W jakim czasie można pokonać trasę z baru do pani mieszkania, zakładając średnie tempo marszu?
- Zazwyczaj nie patrzę na zegarek – cedzę przez zęby.
- Zapytam raz jeszcze, czy tamtej nocy spotkała pani Ricka Goldmana pod swoimi drzwiami, pokłóciła się z nim, a potem zamordowała, wbijając mu nóż w tętnicę szyjną?
- To żart?! – pytam podniesionym głosem, udając oburzenie.
- Proszę odpowiedzieć.
- Nie!
- Ile czasu zajmuje droga z baru do pani domu?
- Nie wiem!
- Czy po tym, jak zabiła pani Ricka Goldmana, ponownie wyszła pani z domu, zapominając zabrać dokumenty?
- Jakie dokumenty?! – czuję, że za moment sprawy zaczną wymykać się spod kontroli, że palnę coś, czego będę żałować.
- Mam to w raporcie.
- Tego dnia zapomniałam dokumentów, zostały w innej torbie – próbuję blefować resztką sił.
- Gdzie jest Sara Goldman?
- Przecież mówiłam! Czy musi pan w kółko zadawać te same pytania?! – wrzeszczę, już brak mi sił, mam wrażenie, że za chwilę stracę przytomność i spadnę z tego nieszczęsnego krzesła.
- Czy Sara wiedziała, gdzie pani mieszka?
- Nigdy u mnie nie była – z trudem staram się zachować spokój.
- Ale mogła zdobyć adres?
- Nie mam pojęcia, pewnie tak.

W moim głosie słychać rezygnację. On już wie, że ma nade mną przewagę, że mięknę. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze uda mi się walczyć, grać swoją rolę. Jestem u kresu.

– Są pewne nieścisłości w pani zeznaniach – wstaje od biurka i zaczyna przechadzać się po pomieszczeniu, aż dziw, że nie przeszkadza mu panujący tu smród. - Jakoś trudno uwierzyć w fakt, że nie znała pani męża swojej dobrej znajomej, ba, nawet nigdy o nim nie słyszała – przerywa, zamyślony – jak i w to, że droga z baru zajęła pani ponad godzinę. Owszem, mogła pani zbłądzić, w takim stanie mogą pomylić się przecznice. Jednak tamtej nocy panował siarczysty mróz, o ile pamiętam padał śnieg. Nawet nieprzytomny znalazłby najszybszą drogę do domu. Pani chyba się śpieszyła. Przynajmniej tak jest w raporcie.

Nie odzywam się. Wiem, o co mu biega. Tamten cholerny pies sporządził

skrupulatne sprawozdanie zanim pozbawili go sprawy. Szczegółowy raport. Tylko dlatego mam wrażenie, że coś jednak pominął?

– Sara Goldman zniknęła tej samej nocy, kiedy zabito jej męża. Dwa dni później rodzina zgłosiła zaginięcie. Sąsiad Goldmanów zeznał, że tamtego wieczora słyszał krzyki i że wtedy po raz ostatni widział Sarę – ponownie siada naprzeciwko, zagląda do akt. – A co, jeśli z nieznanym nam powodów, Sara wraz z mężem, znaleźli się pod pani drzwiami, a może Rick ją śledził, przyczołgał się tuż za nią? Pokłócili się i doszło do bójki, której wynik znamy. Pani sąsiadka z góry, która zawiadomiła policję słyszała wrzaski i odgłosy szarpaniny – zakończył, badając mnie świdrującym wzrokiem, jakby chciał przeszyć na wylot mózg.

– Po co ta cała szopka? – mruczę pod nosem, czując, jak uchodzą ze mnie siły.

– Zapytam po raz ostatni, gdzie jest Sara Goldman?!

– Nie mam cholernego zielonego pojęcia!

– Dziękuję. Może pani iść.

Siedzę nieruchomo, bezmyślnie wpatrując się w blat biurka. Jeszcze nie dociera do mnie to, co powiedział. Czuję, że nie mam już sił nawet na to, by się podnieść. Detektyw powoli porządkuje akta, potem zamyka grubą teczkę. Nie pogania, w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, jakby już mnie nie było. Nagle podnosi się, zabiera dokumenty i wychodzi bez pożegnania.

Trochę trwa, zanim i ja opuszczam pokój tortur, a potem policyjny budynek. Czuję, jakby wyssano ze mnie krew i pozbawiono wnętrzości. Odurzona odorem, oddycham ciężko, próbując nabrać jak najwięcej powietrza, oczyścić płuca. Kręci mi się w głowie. Na moment chwytam się poręczy przy wjeździe dla inwalidów. Pochylona, staram się utrzymać równowagę i zebrać myśli. Nie pamiętam połowy przesłuchania. W głowie mam kompletny mętlik i odrobinę nadziei, że broniłam się do końca, że w stresie na popełniłam błąd.

W uszach wciąż dźwięczą ostatnie słowa detektywa. Czuję ucisk w żołądku. Nagle dociera do mnie, że nie zobaczę już Sary. Nigdy. Rick ją zatłukł, w końcu mu się udało, a potem przyszedł po mnie. Ciekawe, czy naćpał się i nachlał przed, czy po tym, jak pozbył się ciała? Pewnie nie ma szans, by kiedykolwiek ją znaleźli. Biedna Sara, kolejna zagadkowa ofiara w zbiorze osób nigdy nie odnalezionych. Najgorsze, że nie mogę nic zrobić. Musiałabym się przyznać. Przynajmniej mam pewność, że dobrze zrobiłam, szkoda tylko, że tak późno, że nie zdążyłam ustrzec jej przed śmiercią.

Powolnym krokiem ruszam w stronę najbliższej stacji metra. Fizycznie jest mi trochę lepiej. Gorzej z psychiką. Mam wyprany mózg, a świadomość dzisiejszego odkrycia przyprawia mnie o kolejne mdłości. Czuję ból, tak wielki jak kiedyś, kiedy odeszła mama. Dopiero teraz uświadamiam sobie, ile znaczyła dla mnie Sara i że poczucie straty boli najokrutniej.

Wsiadam do zatłoczonego przedziału. Zrobiło się późno. Ludzie wracają z pracy. Niewiarygodne, że spędziłam tam cały dzień. Mam ochotę się napić, dużo i szybko, albo podłączyć pod kroplówkę ze środkiem znieczulającym.

Póki co, nic na mnie nie mają. Węszący pod drzwiami pies, nie był zbyt dokładny, czyniąc swój szczegółowy raport. Zapomniał wspomnieć o torbie, a raczej o jej braku. Mimo to, nie czuję ulgi.

## EPIZOD IX

Czas płynie nieubłaganie. Z prędkością światła spadają kartki kalendarza. Znowu cisza, pewnie przed kolejną burzą. Za moment wiosna. Wiosenne burze potrafią uderzać z nienacką, z siłą huraganu. Czy się obawiam? Nie. W mojej, przedziwnie skomplikowanej sytuacji, nie obawiam się już niczego.

Życie od zawsze jest starciem dwóch żywiołów, dobra i zła. Lecz między nimi istnieje tylko cienka granica, czasami zupełnie niezauważalna. Nie zawsze walczą, kłócą się ze sobą, czasami po prostu idą w parze.

Nie chcę tłumaczyć tego, co zrobiłam. Zwłaszcza że akt był desperacki, typowy, do jakiego dochodzi, kiedy stajemy w obliczu śmierci. Broniałam się i to nie jest słowne nadużycie, to jest fakt. Jak i to, że pozbawiłam życia człowieka, który w zasadzie człowiekiem nie był. Z jednej strony morderstwo, z drugiej wyzwolenie świata z objęć bestii. Kwintesencja zła i dobra, skumulowana w jednej, krwawej odsłonie.

Rick nie zmieniłby się nigdy. Takie typy nie poddają się nawet wieloletniej resocjalizacji. Chociaż, gdyby wciąż żył, pewnie trafiłby za kraty, odpowiedział za krzywdy i śmierć Sary. Po kilku latach udawania cudownego nawrócenia, wyszedłby na wolność i ponownie zatruł świat genetyczną trucizną.

Wierzę, że dobrze zrobiłam. Żałuję tylko jednego, nie zdążyłam ocalić Sary, choć pewnie potem, musiałabym patrzeć na jej dożywotnie cierpienie. W takich sytuacjach nie ma wyborów idealnych, tym bardziej złotego środka.

Strzępy zdań z ponurego pokoju za metalowymi drzwiami, wracają do mnie niczym rozpędzony bumerang. Wciąż nie mogę uwierzyć, że dałam się podejść. Nie chodziło o morderstwo. To była tylko podpucha, celowy zabieg niby sprytnego, wszechwiedzącego detektywa. A jednak się pomylił i to bardzo. Ta sprawa zaczyna mnie bawić. Myślę, że pomogłam Sarze uciec, po tym, jak zadzgała męża, że gdzieś ją ukryłam, dlatego przetrzepali mieszkanie. Stąd cały ten cyrk. Żałosne. Z drugiej strony, aż trudno uwierzyć, że znowu mi się upiekło. Nie wiem, co stało się z adwokatem po moim wyjściu. Czyżby potem pojawił się ktoś jeszcze? Ktoś, kto posprzątał starannie, a może właśnie pozostawił ślady? Zeszłoroczne, dawne dzieje, choć do sprawy zawsze można wrócić. One nigdy się nie przedawniają.

Rick to przypadek nieco bardziej zagmatwany. Trop przywiódł gliny prosto pod moje drzwi. Odcisnęły się na nich wszystkie ślady zbrodni. Wszystkie i w sumie żadne, bo winnego wciąż brak. Los zostawił mnie sobie na później, skoro wciąż mi sprzyja. Ciekawe, co szykuje?

Zawaliłam spotkanie z nowym informatorem. Po przesłuchaniu nie miałam

już siły. Wlałam w siebie ponad pół butelki whisky i padłam na fotelu. Od tamtej pory się nie odezwał. Pewnie mogę zapomnieć, już mnie skreślił z listy dobroczyńców, którzy od czasu do czasu sygną niezłą sumką za cenne informacje. Nie wiem, czy zdołam znaleźć nowego, ten był przynajmniej z polecenia.

Siedzę przy biurku, bez planu i pomysłu na artykuł. Nic się nie dzieje, albo ja o niczym nie wiem. Naczelnny buja w obłokach, a Martin nie zamierza na razie deptać mi po piętach. Wciąż go nie ma.

Bezmyślnie wpatruję się w telefon, jakbym czekała na sygnał, tak jak kiedyś, kiedy Pan Czarny Jack stał na posterunku. Powinnam przejrzeć wiadomości, te w poczcie i w Googlach. Może w nich kryje się gorący temat. Dochodzi południe. Czekam jeszcze pół godziny, potem wyruszę na polowanie, w poszukiwaniu świeżej krwi.

Otwieram skrzynkę z tysiącem maili, tyle przychodzi niemal każdego dnia. Same bzdury, lądujące w koszu. Na internetowych stronach wiadomości też nic się nie dzieje. Żeby usłyszeć wycie policyjnych syren, muszę wyjść na ulicę. Na dwudziestym drugim piętrze nic nie słyhać. W redakcji musi panować skupienie, szef zadbał o dźwiękoszczelne okna i ściany, chociaż pewnie na tej wysokości trudno o dźwięki z zewnątrz, tutaj dolatuje jedynie wiatr.

Wyłączam komputer. Czas się zbierać, popracować na kolejną butelkę. W drzwiach zatrzymuje mnie sygnał wiadomości, a potem od razu dzwonek telefonu. Wchodzę z powrotem do pokoju, zamykając za sobą drzwi. To Ivo.

– Tylko szybko, bo się śpieszę! – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Masz już temat na dziś?! – krzyczy podekscytowany.

– Właśnie miałam poszukać, a co?

– To dawaj biegiem na Brooklyn! Jestem w barze, a pod kamienicą naprzeciwko zaczynają zbierać się ludzie! Są dwie straże! – wrzeszczy do słuchawki.

– Możesz jaśniej? – zaczynam się niecierpliwić.

– Na czwartym piętrze, na gzymisie przy oknie sterczy jakiś palant i szykuje się do skoku! Jeśli mu się uda, a ty zdążysz, będziesz miała to, co lubisz najbardziej, mielony pełnokrwisty na środku ulicy!

– Daj spokój, pewnie już jest policyjny psycholog, będą negocjować, a straż zaraz rozłoży skokochron.

– Lepiej przyjedź, facet wygląda na zdesperowanego. Jak nie skoczy, chyba się powiesi, bo właśnie próbuje zamontować linę! – Ivo jest wyraźnie pobudzony.

– Dobra, i tak nie mam nic lepszego na dzisiaj. Na razie – rozłączam się, zamykam drzwi na klucz i biegnę do windy.

Byłam już świadkiem takich sytuacji. Zazwyczaj nic się nie dzieje, desperata udaje się odwieść od samobójczych zamiarów albo ląduje na miękkim pontonie. Sama nie wiem, dobre i to, skoro nie stać mnie dzisiaj na nic lepszego. Zresztą, nie

tracę nadziei. Po drodze zawsze coś może się wydarzyć.

Zmieniam trasę, muszę dotrzeć jak najszybciej na miejsce. Drogę do knajpy Iva można skrócić, przesiadając się zaraz za mostem. Czasu jest naprawdę niewiele, biorąc pod uwagę dalekie eskapady, a potem jeszcze dopracowanie materiału.

Podróż przebiega sprawnie. Właściwie w niecałą godzinę jestem prawie u celu. Nowy nowojorski rekord. Przyśpieszam kroku, słysząc uliczne zamieszanie. Po drodze mijają mnie kolejny ambulans. Mam nadzieję, że zdążę, że facet wciąż tkwi na gzymsie. Zebrany tłum robi wrażenie. No cóż, w końcu nie co dzień można być świadkiem takiego widowiska, i to za darmo.

Trudno się ruszyć, przepchać przez ludzi, stoją jeden przy drugim, upchani jak sardynki w puszcze. Bezczelnie przeciskam się, po kolei szturchając zgromadzonych gapiów. Muszę dostać się w samo centrum, być jak najbliżej, zrobić dobre zdjęcia. Nagle napotykam na opór. Dwaj, dobrze zbudowani mężczyźni tkwią wbici w asfalt niczym skały. Moje głośne „przepraszam” odbija się echem, nie robiąc na nich wrażenia. W akcie desperacji rzucam się na ziemię, próbuję przeczołgać pomiędzy nogami, uważając, by zebrany tłum mnie nie rozdeptał. Jakaś kobieta chce mi pomóc, pewna, że upadłam. Wyrwam rękę, brnąc do przodu. Do czego jest zdolny prawdziwy dziennikarz na polu walki o kilka wersów?

Już widzę mundurowych. Strażacy utworzyli zwartą kolumnę wokół skokochronu. Pierwszy raz widzę taki profesjonalizm, a może zmienili procedury? Ustawieni w idealnym kwadracie czekają w skupieniu. Unoszę wzrok ku górze. Na cienkim murowanym gzymsie czwartego piętra starej kamienicy stoi młody mężczyzna, a nad nim wisi gruby sznur, ściśle przymocowany do żeliwnego haka dachowej powięzi. Obok w oknie widać kobietę. Wali w szybę i krzyczy, szarpiąc się z klamką framugi. Najwyraźniej facet zablokował okno od zewnątrz, zabezpieczył się na wszelkie sposoby, chyba jednak nie chce negocjacji, dawno podjął ostateczną decyzję, od której nie ma odwrotu.

Nagle kobieta znika. Mężczyzna stoi nieruchomo, nie reagując na zebrany tłum. Słyszę wrzask i zamieszanie kilka metrów ode mnie. Odwracam głowę i na moment zamieram. Trzecie okno po lewej stronie jest otwarte na oścież, a w nim widać kobiecą sylwetkę, próbującą przedostać się na zewnątrz. Policyjny negocjator to człowiek równie zdesperowany, co dobry dziennikarz. Mam z tą kobietą wiele wspólnego. Ona też walczy za wszelką cenę.

Wreszcie jest reakcja samobójcy, jakby nagle obudził się z letargu. Niestety chyba nie taka, jakiej spodziewa się ekipa ratunkowa. Mężczyzna chwyta za sznur i owija pętlę wokół szyi.

Sprawdzam baterię w telefonie i włączam funkcję nagrywania. Robię krótkie zbliżenie na sznur, a potem łapię w kadrze twarz. W jego oczach nie ma

szaleństwa. Jest tylko smutek i chyba rezygnacja. Jemu już wszystko jedno, nie zależy mu na dalszej egzystencji.

Płynnym ruchem przesuwam aparat, filmując cienki murowany gzyms. Damskie stopy tylko w rajstopach walczą z utrzymaniem równowagi, ślizgając się po powierzchni. Mimo tego, wciąż do niego mówi, próbuje przekonać.

Słyszę przeraźliwy wrzask, po czym następuje długa cisza, a zaraz potem mieszający się krzyk przerażenia i lament. Nagrywam, zapisuję makabryczny obraz bezwładnego ludzkiego ciała, które w ułamku sekundy z hukiem spada na ziemię. Biegnę, starając się przepchać przez ludzką histerię. Cały czas mam włączoną kamerę. Nie myślę o niczym innym, tylko o tym, by najszybciej tam dotrzeć, zdążyć przed ratownikami z ambulansu.

Kilka rannych osób leży na ulicy, wyjąć z bólu. Kilka kolejnych jest chyba w szoku. Pośród nich nienaturalnie ułożone ludzkie ciało, spod którego wystaje dziecięca rączka. Czuję ucisk w gardle, ale muszę pohamować emocje, zrobić to, co do mnie należy. Zachować zimną krew. Kto o zdrowych zmysłach funduje dzieciom takie widowisko? Skazuje je na późniejszą bezsenność, stany lękowe albo śmierć. Co, u diabła, robiły tu dzieci? Nie powinny być teraz w szkole lub przedszkolu?

Udaje mi się zrobić niezłe ujęcie, zanim przybywa ekipa ratunkowa. Dwóch lekarzy, asystenci z noszami i rzesza innych, chętnych do pomocy, z trudem przedziera się przez przerażony tłum. Ciało kobiety jest jak gumowa marionetka, w której nigdy nie było życia. Roztrzaskana głowa tonie w kałuży krwi. Układają na noszach, odziany w elegancką marynarkę korpus, z którego bezwładnie zwisają, jakby pozbawione kości, ludzkie kończyny. Widzę miny ratowników, nawet jej nie reanimują.

Rozgniecione, niczym przyprawy w mózdzierzu, drobniutkie ciało dziewczynki ginie pod miękkim materiałem różowego płaszczyka. Z twarzą wbity w ziemię wygląda, jakby miała skręcony kark. Nie miała szans.

Kolejny potworny krzyk uświadamia mi, że to nie koniec przedstawienia. Zwracam oczy ku górze. Podnoszę wysoko ręce, starając się utrzymać nieruchomo kamerę. Mężczyzna nie stoi już na gzymsie. Jego walczące w konwulsjach i drgawkach ciało, kołysze się bezwolnie, powoli tracąc życie.

Jeszcze tylko reakcja tłumu. Płacz, krzyk, bezradność. Mam wszystko. Będzie z tego świetny materiał.

Szybkim krokiem opuszczam pole bitwy, kątem oka widząc przerażoną twarz Iva. Nie mam czasu, by mu podziękować. Miał skubany nosa. Może powinnam zaproponować mu drugi etat?

Pędem zbiegam do metra. W trakcie przeglądam nagranie. Nie czekając na powrót do redakcji, zaczynam redagować tekst. Została mi tylko godzina, akurat tyle, ile potrwa podróż.



Czy wszystko, czego doświadczyłam jako dziecko, szczególnie te dwa piekielne lata, kiedy niemal co noc odzierano mnie żywcem z godności, kaleczono ciało i duszę, daje mi przyzwolenie na ludzką znieczulicę? Czy to zwykłe tłumaczenie, zasługującego na pogardę zachowania, na które mogłabym mieć wpływ, ale nie chcę. Nie chcę zmieniać nastawienia do świata, który nie dał mi nic, prócz bólu. Nie sobą powinnam gardzić, nie ja zasługuję na potępienie, tylko ci, którzy wskazali mi drogę, prowadzącą na dno.

Pędem wpadam do redakcji. W korytarzu mijam grafika, który mruga porozumiewawczo, dając znak, że wszystko gotowe. Jeszcze z Brooklynu wysłałam mu film i wytyczne. Nie wątpię, że wyciągnął, co trzeba. Facet zna się na rzeczy. Nigdy mnie nie zawiódł.

Mam minutę, by sprawdzić tekst, wydrukować i stawić się u naczelnego. Wreszcie powinien być zadowolony. Niepozorny brookliński incydent z nieoczekiwanym, dramatycznym zwrotem akcji.

– Witam szefie – zziajana wbiegam do gabinetu.

Siedzi rozparty w swoim wielkim fotelu, trochę jakby nieobecny.

– No – mlaska po chwili – już myślałem, że się nie doczekam.

– Trochę trwało, ale było warto – oznajmiam zadowolona, wręczając mu artykuł i zdjęcia, które przechwyciłam po drodze.

Czyta w skupieniu, choć widzę, że przychodzi mu to z trudem.

– Jest nieźle – mruczy pod nosem. – Nawet bardzo dobrze – dodaje, drapiąc się po szpakowatej głowie. – No proszę, jednak można – zerka na mnie spod okularów.

– Dajemy?

– Miałaś farta, dziewczyno – kiwa głową z niedowierzaniem. – Takie przedstawienie, jak ty tam w ogóle trafiłaś? Nowy informator się spisał.

Nie protestuję, wzruszając tylko ramionami.

– A zdjęcia?

– Mocne! – rzuca z uznaniem. – Chyba nie wszystko pójdzie – stwierdza, przeglądając po kolei. – I tak jest ich za dużo. Bob miał wenę – parska, wpatrując się w wydrukowane obrazki.

Niewiarygodne, że komputer mógłby dla niego nie istnieć. Wciąż funkcjonuje jak wieki temu. Wszystko na papierze, a potem do redakcyjnego archiwum, cała, szczegółowa dokumentacja, aż dziw, że ciągle jest na to wszystko miejsce.

– Te – kładzie na biurku cztery fotki. – Cała naprzód i dajcie im opaski na oczy.

– Się robi, szefie – puszczam mu oko i już mnie nie ma.

„Cała naprzód”, dawno tego nie słyszałam. Oznacza, że artykuł idzie nie tylko na pierwszą, ale i na całą stronę. Takie nasze redakcyjne hasło. Jestem z

siebie dumna. Już prawie zapomniałam, jak to jest. Chyba powinnam postawić Ivo flaszkę, nie jedną. Zadzwońię do niego zaraz po pracy, a potem pewnie wpadnę do baru i osobiście podziękuję. Jest co opijać.

Bar jest zupełnie pusty. Muzyka, inna niż zwykle, cicho pobrzmiwa z głośników. Ivo stoi pochylony.

– Pewnie jesteś zachwycona – mówi, odwrócony tyłem.

Milczę. Siadam na wysokim stołku przy barze, zdejmuję kurtkę i szal.

– Powiedz mi, jak ty to robisz? – zaczyna ponownie po chwili. – Jak możesz traktować to wszystko tak obojętnie? Pewnie teraz napawasz się chwałą za doskonały artykuł, premia, uznanie szefa i współpracowników, pełen sukces. Przyszłaś to uczcić, czy się mylę? – pyta z ironią.

– Tak, przyszłam ci podziękować. Proszę. – Kładę na barze butelkę dobrej whisky.

– Nie ma za co – burczy pod nosem.

– Na miłość boską! Przecież sam do mnie zadzwoniłeś! Mam ci przypomnieć tę wielką ekscytację?! Masz do mnie żal, że nie posrałam się ze strachu?! Nie poryczałam nad stratą kilku ludzkich jednostek?! Takie gówno widzę prawie na co dzień, to moja robota, rozumiesz?! Nie mogę wyć z rozpacz, bo nie zarobiłabym na chleb!

– Dobra. Kto by pomyślał, że tak to się skończy. Wciąż jestem w szoku. Zamiast piwa nalałem gościowi kufel Tequili, bo chwilę przedtem robiłem Margaritę.

– Nikogo tu nie widzę.

– Wkurzył się i poszedł. Nikt nie przyjdzie, cała okolica próbuje się pozbierać.

– Długo jeszcze to trwało?

– Dostyc – zaczyna się uspokajać. – Zabrali tą małą i policjantkę, potem jeszcze kilku rannych. Gorzej było z wisielcem. Nie mogłem patrzeć, nawet nie wiem, kiedy i jak go ściągnęli. Tłum rozszedł się dopiero z pół godziny temu. Co za koszmar.

– Napijesz się ze mną? – pytam, wskazując na butelkę.

– Chyba powinienem, może na chwilę uda się zapomnieć – kiwa głową i stawia na barze dwie szklanki z lodem. Sprawnym ruchem otwiera butelkę, napełnia szkło do połowy.

– Za tych, co odeszli – wznoszę toast, stukając się z Ivo.

– Jezu Chryste! Jesteś niemożliwa! – mówi z wyrzutem. – Wiesz, że w organizmie człowieka znajduje się taki organ, jak serce?

– Podobno – uśmiecham się przekornie.

– Urodziłaś się bez!

– Nie wnikam.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego młody człowiek targa się na swoje życie? Zawsze można wyjść nawet z najgorszej sytuacji.

– Może i tak, ale nie każdy jest na tyle silny, by czekać – cedzę, popijając drinka. – Nie wnikaj Ivo, i tak tego nie zrozumiesz, ani ty, ani ja. – Podstawiam mu pustą szklankę. – Każdy ma jakieś problemy.

– Na szczęście nie wszyscy chcą od razu zawisnąć pod dachem kamienicy – oznajmia, polewając.

– Otóż to, wypijmy za to!

– Masz rację, trzeba się znieczulić, nie co dzień zza okna ogląda się taki horror.

– Taa...

– Można było tego uniknąć.

– Chyba nie – biorę kolejnego potężnego łyka. - Facet zapoczątkował falę zdarzeń, to jak kostki domina, widocznie tak miało być.

– Mnóstwo ludzi wini się teraz za ich śmierć, czują się odpowiedzialni, to niesprawiedliwe.

– Na tym świecie nic nie jest sprawiedliwe. Ivo, ty żyjesz w jakimś urojonym wymiarze, który nie istnieje.

– No widzisz, a mnie się wydaje zupełnie odwrotnie.

– Że co? – zerkam na niego, mrużąc oczy.

– To twój świat jest dziwny, zwłaszcza jego postrzeganie. Wszystko widzisz w czarnych barwach. Tylko mi nie wmawiaj, że to spaczenie zawodowe. Na pierwszy rzut oka widać, że coś żre cię od środka.

– Psycholog się znalazł – parskam śmiechem.

– Dlaczego jesteś taka skryta? Może, gdybyś wyrzuciła z siebie to, co tak bardzo uwiera, poczułabyś się lepiej?

– Nie narzekam, serio!

– Sama jesteś.

– Przyganiał kocioł garnkowi!

– Poddaję się. Masz na sobie średniowieczną zbroję. Przez taką materię nie da się przebić.

– Nawet nie próbuj.

– Była tu dzisiaj taka dziewczyna – zmienia temat. – To dla niej robiłem tę nieszczęsną Margaritę.

– I? – marszczę czoło, dopijając drinka.

– Płakała, cały czas.

– Trzeba było pocieszyć.

– Chciałem, ale... – przerywa, zamyślony. – Nie wiem, dlaczego, ale miałem wrażenie, że znała tego człowieka.

Robię pytającą minę.

– No wiesz, tego wisielca.

– Skąd ten pomysł?

– Chyba widziałem ich kiedyś razem, tutaj na ulicy, pod barem.

– Narzeczona? Może żona? – głośno myślę. - Nie, ani jedna, ani druga nie przyszlaby po czymś takim na drinka – biorę ostatniego łyka. - Więc? Kochanka?

– Raczej tak.

– To miałyby sens.

– Wtedy chyba się kłócili. – Ivo nalewa następną kolejkę. – Potem już jej tu nie widziałem. Dopiero dzisiaj.

– Ciekawe.

Wejściowe drzwi otwierają się z hukiem. Dwóch mężczyzn w średnim wieku, zatacza się, próbując dojść do najbliższego stolika. Po drodze zatrzymują się kilkakrotnie, podpierając siebie nawzajem i bełkocząc przy tym niewyraźnie. Wreszcie udaje im się usiąść.

– Co mam z nimi zrobić? – Ivo patrzy na mnie bezradnie.

Wzruszam ramionami.

– Ty jesteś tu szefem.

– Ani im polać, ani wywalić. A myślałem, że na dzisiaj wystarczy atrakcji – mówi zrezygnowany.

– Daj spokój, tylko odpocznę – zaczynam się śmiać. – Niezła była impreza.

Macha ręką.

– Chodź, napijemy się jeszcze, zanim któryś się ocknie.

– Wreszcie gadasz do rzeczy! – puszczam mu oko.

Opróżniona do połowy butelka zaczyna tańczyć na barze. Dłonią przytrzymuję obie szklanki. Chrypiący głośnik milknie na moment, jakby zabrakło mu już siły. Wokół słychać tylko dźwięk uderzających o siebie kieliszków, zawieszonych pod sufitem. Spoglądam na zegar. Za chwilę północ. Ostatni pociąg. Potem kilka godzin przerwy.

– Myślałem, że się przyzwyczaiłem, ale wkurza mnie to za każdym razem. – Ivo poprawia przesunięte butelki. – Aż cud, że nigdy nic się nie rozbiło. – Dolewa nam whisky.

– Czysta dwa razy! – krzyczy jeden z mężczyzn, patrząc w naszą stronę mętными oczami, drugi wciąż tkwi nieprzytomny, z głową przyklejoną do blatu.

– Skończyła się, zaraz zamykamy bar – Ivo próbuje wybrnąć z sytuacji.

– Jak się skończyła?! W knajpie?! – wali pięścią w stół.

– No masz, jeszcze mi tu trzeba schlanego awanturnika – spogląda na mnie zirytowany.

– Nie przejmuj się, pewnie zaraz i temu łeb opadnie – staram się go uspokoić. – O której przyjdzie Mark?

– W tym sęk, że dzisiaj nie przyjdzie. Ostatnio w ogóle ma wszystko w dupie, a ja muszę się użerać z tą bandą! – zaczyna się wściekać.

– Damy radę. Jakby co, możesz na mnie liczyć – mrugam porozumiewawczo.

– Jasne – mruczy pod nosem.

– E, barman, gdzie ta czysta?! – facet nie daje za wygraną.

– Zamykamy. Jutro panowie – Ivo próbuje być spokojny.

– Kurwa, w taki dzień... – bełkocze, szturchając kolegę. – W taki dzień... – powtarza niewyraźnie. – A Bradley wisi, bracie... tam kurwa... na ganku... – Podpiera głowę dłońmi. – Wisi... przez sukę... – milknie, z błędnym wzrokiem utkwionym w stół.

Patrzę na Iva. Stoi nieruchomo, wpatrzony w mężczyznę przy stoliku. Jest skupiony, jakby czekał na dalszy ciąg pijackiego bełkotu.

– Teraz to już chyba tylko dwa wiadra zimnej wody – przerywam nagłą ciszę, bo facet kończy podobnie jak współtowarzysz, z twarzą wbity centralnie w klejącą ceratę.

– A jednak... – Ivo mruczy pod nosem – nie myliłem się.

– Nie nasz problem. Pomyśl lepiej, jak ocucić tych dwoje. Nie mam zamiaru warować tu do rana.

– Zrobię im mocnej kawy, a potem spróbuję jakoś ich napoić – marszczy czoło. – Nam też się przyda – odwraca się i zaczyna krzątać przy ekspresie.

– Kawa? – wzdrygam się. – O tej porze? W życiu nie zasnę, a chciałabym trochę odpocząć przed robotą. Coś nie coś jeszcze zostało w butelce, nalać ci?

– Nie, dzięki. Na dzisiaj wystarczy.

– A mi nie. Wręcz przeciwnie – mówię zadowolona, po czym napełniam szklanę.

– Żebyś potem i ty nie potrzebowała tego kubła!

– Bez obaw.

Ivo stawia przede mną parujący kubek.

– Może jednak się skusisz? – mruga zalotnie, a potem z dwiema sporymi filiżankami w dłoni podchodzi do stolika.

Mija kolejna godzina, zanim udaje nam się zamknąć bar. Około trzeciej nad ranem padam na łóżko w sypialni. Zasypiam w sekundę, odurzona alkoholem i nadmiarem zdarzeń.



## EPIZOD X

Po kilku tygodniach nieobecności, niespodziewanie w pracy pojawia się Martin. Nie wygląda na chorego, a już na pewno na kogoś, kto z powodu poważnych problemów zdrowotnych, musiał skorzystać z tak długiego zwolnienia. Jego nagła obecność wprawia mnie w rozdrażnienie. Jeszcze bardziej irytuje fakt, że znowu muszę uważać, mieć oczy dookoła głowy. Zapewne nie zrezygnował ze swoich przyzwyczajęń, będzie deptał po piętach, snuł się za mną jak cień.

Nie mogę się skupić. Mam prawie gotowy materiał, a nie jestem w stanie zredagować zdania. Po raz szósty zaczynam od nowa. Artykuł kompletnie się nie klei.

Świadomość, że on znów tu krąży, że wszędzie może wsadzić swój węszący nos, nie pozwala normalnie funkcjonować, skoncentrować się na pracy.

Zapomniałam o planie idealnym, ale wraz z nagłym przybyciem Martina, wszystko wróciło. Nie potrafię przestać o tym myśleć. Może powinnam poszukać w internecie? Wśród niezmierzonej ilości informacji na pewno znajdzie się pomysł na morderstwo.

Bezmyślnie spoglądam w ekran komputera. „Napad w sercu Manhattanu”, tak brzmi nagłówek i jedyne, co udało mi się stworzyć. Od rana trąbią o tym w mediach, przerwane wieści z odrobiną filmowej sensacji. Trzech napastników, przebranych za policjantów, o świcie opróżnia sejf jednego z banków, po czym najspokojniej w świecie oddala się z miejsca przestępstwa policyjnym radiowozem, mknąc niespiesznie ulicami miasta.

Brak alarmu, brak świadków, brak śladów może oznaczać tylko jedno. Całkowicie genialny plan kogoś z wewnątrz. Szkoda, że ja nie mam takiego, wyjątkowego planu na pozbycie się Martina.

Czas jakby stanął w miejscu. Byłam pewna, że już tak się nie dzieje, że tylko pędzi do przodu z prędkością światła, nie dając nam szans na chwilę wytchnienia. Nie wiem, czy to za sprawą pojawienia się Martina, czy po prostu dzień inny niż wszystkie, zwykły przypadek, że dłuży się tak niemiłosiernie. Z jednej strony powinnam się cieszyć, mam w końcu całe wieki, by napisać ten cholerny artykuł. Z drugiej, trafia mnie szlag, bo jedyne, o czym marzę, to wyjść stąd i wypić szklaneczkę burbona na swojej salonowej kanapie.

Pierwsza po południu. Cztery godziny tkwię zawieszona w próżni. Muszę wziąć się w garść. Świetny temat, prosty w aranżacji tekstu, słowa same powinny pchać się na przysłowiowy papier. A tu nic. Kompletna pustka. Drzę w środku. Co się ze mną dzieje? Niemożliwe, żeby Martin miał aż taką siłę sprawczą. To nie on. Tu chyba chodzi o coś jeszcze. Dawno nie byłam tak niespokojna. Powinnam zażyć leki, albo ochłonać gdzieś na zewnątrz, wdychając zanieczyszczone

nowojorskie powietrze.

Kolejna próba. Są dwa pierwsze zdania, napisane w pocie czoła. Czuję, jakby zawiesił się mój mózg, jak jednostka wegetatywna, pozbawiona funkcji myślenia i możliwości działań twórczych. Zostały ponad dwie godziny. Zrobię piątą kawę. Powinno pomóc.

W międzyczasie dostaję SMS-a. Brzmi jak szyfr jeszcze z czasów Pana Czarnego Jacka. Niestety tylko współrzędne, do tego brak nadawcy. Wygląda podejrzanie. Przychodzi mi na myśl, że Martin zaczyna działać, może chce mnie wrobić, wysłać gdzieś na koniec świata, gdzie nie ma nic? Naprawdę sądzi, że jestem taka głupia, że dam się nabrać i w ciemno ruszę po łup? Nie mogę niepotrzebnie się nakręcać, bo wena opuści mnie do końca. Ignoruję wiadomość i zabieram się do pracy. Piąta kawa jest strzałem w dziesiątkę.

Przed szesnastą mam gotowy artykuł. Kilka zdjęć z internetu. Tylko widok na bank i jakiś wóz policyjny, orientacyjne fotki, jakie wszędzie zamieszczają media. Nikt nie ma nic innego, bo podejrzanych wciąż brak. Domysły prowadzą donikąd, a zatarte ślady w żadną z uliczek. Radiowóz, którym uciekli nie należał do nowojorskiej policji, a numery rejestracyjne, które pewnie już mają z zapisu kamery przemysłowej, na sto procent były fałszywe. Zagadka dla Sherlocka Holmesa. Powinni przesłuchać wszystkich pracowników, począwszy od tych na najwyższych stanowiskach. Zacząć od wnętrza gniazda. Zapewne tam kryje się odpowiedź, ale to już nie moja działka. Od tego mamy niezawodne organy.

Zabezpieczam teren i idę prosto do szefa, nie oglądając się za siebie. Na horyzoncie nie widać Martina, więc albo ślęczy nad komputerem w swoim gabinecie, albo, co gorsze, na dywaniku u naczelnego. Wolałabym już dzisiaj nie być skazaną na jego towarzystwo ani oglądanie wyłupiastych oczu. Zatrzymuję się na moment pod gabinetem, starając się wybadać sytuację. Chyba czysto, zza pokrytych szlachetnym drewnem drzwi nie dochodzą żadne dźwięki, nie ma odgłosów rozmowy.

Pukam, a potem naciskam na klamkę.

- Wchodź, wchodź – mówi, siedząc na swoim wielkim fotelu, odwróconym w stronę okna.

– Dzisiaj tylko to – wręczam tekst – nie było nic ciekawszego.

– Bank? – zaczyna się śmiać. – Niezły numer, co? Mój znajomy jest tam w zarządzie.

– Wiadomo coś nowego?

– Nie licz na to. Ktoś, kto to zaplanował ma łeb na karku, nieprędko poznamy szczegóły, o ile w ogóle uda się ich złapać. Pewnie już dawno opuścili Stany.

– Czyli co, wystarczy? – wskazuję na artykuł.

– Musi – parska, zerkając w tekst. – Pójdzie na pierwszą, tylko te zdjęcia –



drapie się po głowie – nie masz nic lepszego?

Kiwam przecząco.

– Bank ok, ale ten wóz? Poszperaj jeszcze, na pewno są już zdjęcia sprzed budynku, no wiesz, jakaś spóźniona obława – znowu wybucha śmiechem. – Co za numer!

– Dobra, zaraz będzie – rzucam, kierując się do drzwi, kątem oka zerkam na naczelnego. Znowu siedzi tyłem, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nie wiem, czy to z powodu napadu, czy udanej nocy, ale wydaje się nieprzyzwoicie zadowolony.

Rozglądam się w poszukiwaniu Martina. Może już poszedł, bo wokół panuje błogi spokój. Otwieram gabinet, odpalam komputer. Dobre zdjęcie udaje mi się znaleźć od razu, teraz już pełno ich w sieci i wciąż przybywa. Wysyłam wszystko grafikowi. Koniec na dzisiaj. Czas się ewakuować. Jeszcze na moment rozsiadam się w fotelu, dopijam zimną, niedobrą kawę, pochłaniam resztki wczorajszego ciastka i porządkuję papiery. Sprawdzam wiadomości w telefonie. Oprócz podejrzanego SMS-a nic nie przyszło. To musiał być Martin. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Co za palant!

Wyłączam komputer i drukarkę. Zabieram rzeczy i w drogę. Dziś mam ambitny plan na większe zakupy. W grę oczywiście wchodzi jedynie produkty spożywcze, bo lodówka od dawna świeci pustkami. Na ciuchy raczej nie dałabym się namówić, nawet za grubą kasę. Nie cierpię łażenia po sklepach.

W drodze do windy mijam radosnego grafika, znowu flirtuje z panną z recepcji. Jak ona ma na imię? Może nigdy mi się nie przedstawiała? Nie wiem.

Na dworze robi się przyjemnie. W powietrzu czuć wiosnę, a o tej porze jest jeszcze jasno. Nigdzie się nie śpieszę. Zaleta braku obciążeń rodzinnych. Idę powoli, obserwując mijający tłum. Nagle nachodzi mnie ochota na dłuższy spacer. Central Park jest niemal w zasięgu wzroku. Nie pamiętam, kiedy byłam tam ostatnio. Pewnie kilka miesięcy temu, zanim spadł śnieg, a wraz z nim lawina dziwnych zdarzeń. Policja milczy. Od przesłuchania nic się nie dzieje. Szukają Sary, a ja wciąż nie mam zamiaru pozbawiać ich złudzeń, choć wiem, że jej nie znajdą.

Wejście od pięćdziesiątej dziewiątej zaczyna się przy fontannie. Kręci się tu sporo ludzi. Niezależnie od pogody czy pory roku, pełna uroku oaza zieleni w sercu Manhattanu, przyciąga tłumy.

Kręte alejki, pełne spacerowiczów, natchnionych biegaczy oraz innych amatorów zdrowego stylu życia, ciągną się wzdłuż pochyłych drzew, pól usłanych kolorowymi kwiatami, stawów, jeziora i mnóstwa atrakcji. Najpiękniej jest tu późną wiosną, kiedy obudzona przyroda rozkwita tysiącem gatunków i odcieni. Prawdziwa uczta dla zmysłów po wyczerpującym dniu lub po prostu doskonały sposób na relaks w wolnym czasie od miejskiego zgiełku.

Siadam na ławce. Rozkoszuję się chwilą, próbując ignorować wrzaski trójki

rozbrykanych dzieciaków, którym udało się wymknąć czarnoskórej opiekunce. Rozpieszczone bachory, złote dzieci piątej alei, wystrojone w eleganckie mundurki, szyte na miarę i według projektu, specjalnie na zlecenie prywatnej szkoły.

Nie lubię dzieci. Drażni mnie ich beztroska i chaos, którego nie sposób opanować. Właśnie przez nie, świat wymyka się spod kontroli, brak w nim dawnego ładu, zasad, do których one nie muszą się stosować, reguł koniecznych do zachowania płynności i porządku egzystencji. Do tego, większość jest bezbronna, skażona niepoprawną naiwnością i wysoce zaburzoną funkcją postrzegania rzeczywistości. Brak racjonalnej oceny i strach to początek końca. Te odrzucone, pozostawione sobie, nie potrafią obronić się przed złem.

Podobno okres dzieciństwa to wyjątkowy czas, który pozostawia najpiękniejsze wspomnienia. Wszystko, co wtedy dostajesz i czego doświadczasz, procentuje w przyszłości. Z tym jedynym się zgadzam. Zostałam naznaczona złem, naszpikowana do granic możliwości, napiętnowana bez możliwości skorzystania z antidotum. To jak choroba, nieuleczalna w moim przypadku. Żyję w poczuciu krzywdy, przekonana o nieistnieniu jasnej strony mocy. Wyraziste, pełne nasyconych barw kolory wokół, to jedynie chwilowa iluzja, ulotna jak mgła. Zniknie zaraz po tym, jak opuszczę park. Zgiełk ulicy, a potem brudny peron metra, przypomni mi o życiu, w którym tkwię naprawdę.

Zaczyna zmierzchać. Wielka latarnia zawieszona nad ławką oświetla wilgotne żdźbła trawy, niemrawo wypatrujące wiosny. Już dawno ucichły odgłosy dziecięcego śmiechu i nawoływania opiekunki. Słysząc tylko szum przejeżdżających samochodów, wycie syren dochodzące z oddali, kroki przemykających przechodniów, szczekanie psa, którego zapewne wkurzyły natrętne wiewiórki i szept nocy, budzący niepokój.

Straciłam poczucie czasu, a ochota na większe zakupy minęła bezpowrotnie. Wzmagający się głód zmusi mnie jedynie do wstąpienia po hot doga lub coś równie wyszukanego.

Na rogu szóstej i pięćdziesiątej siódmej jest całkiem niezła buda z szerokim menu do wyboru. W porze lunchu kolejka sięga kilkunastu metrów. Zazwyczaj nie chce mi się stać, ale teraz powinno być luźniej. Nie do końca po drodze do metra, ale nigdzie się nie śpieszę, nikt na mnie nie czeka, oprócz pająka, ale dla niego pora nie ma znaczenia.

W drodze do domu przychodzi mi do głowy pewna myśl. To niemożliwe, żeby psy nic nie zwęszyły. W końcu nowojorska policja ma na swym koncie wiele zasług. W dzisiejszych czasach raczej trudno nie wytropić przestępcy, więc jakim cholernym cudem, nie siedzę jeszcze za kratkami? Coś tu nie gra i chyba nawet domyślałam się, co. Brakuje jednego mocnego dowodu i pewnie wciąż są na tropie, tuż za mną. Czekają na dobry moment, obserwują. Psy potrafią być cierpliwe, a

wścibski detektyw nigdy nie odpuści. Jak to w życiu bywa, wszystko jest tylko kwestią czasu.

Przed drzwiami kamienicy stoi kobieta. Widzę, jak drepcze nerwowo w miejscu. Jest zbyt ciemno, żebym mogła przyjrzeć się dokładnie, chociaż sylwetka wydaje się znajoma. Przyspieszam kroku, aby za moment zwolnić. Mam ochotę obrócić się na pięcie i ruszyć z powrotem do metra. Teraz mam pewność. Przed moim domem stoi Claire.

– Co tu robisz? – cedzę przez zaciśnięte zęby, próbując otworzyć drzwi do klatki.

– Musimy porozmawiać.

– Czyżby? – parskam z pogardą. – Nie sądzę.

– Przestań zachowywać się jak rozkapryszone dziecko! – krzyczy, wbijając we mnie wielkie, umalowane oczy. – Dorośnij! – chwyta za ramię.

– Chyba się przesłyszałam! – Wrywam rękę. – Rozkapryszone dziecko?! Jak śmiesz?! Co do cholery możesz wiedzieć o moim dzieciństwie?! Ty?! – Czuję, jak dopada mnie wściekłość. – Ty nie masz prawa czegokolwiek mi zarzucać! Jesteś ostatnią osobą na ziemi, która może prosić mnie o rozmowę! A teraz przepraszam, śpieszę się! – Otwieram drzwi i zaczynam biec na górę.

Słyszę za sobą odgłos kroków, równomierny stukot wysokich obcasów, uderzających o kamienne schody.

– Poczekaj! – jej zdyszany głos odbija się echem o puste ściany. – Chodzi o twojego ojca!

– Daj mi spokój! – krzyczę prawie pod drzwiami.

– Tyle razy próbował się z tobą spotkać, dzwonił, prosił. Za co właściwie chcesz go ukarać, co?! – Staje przede mną, oddychając ciężko.

– Zadbaj o kondycję – próbuję być złośliwa – zgubiłaś gdzieś grafik? Czy chirurg plastyczny odradził? Mogłabyś się rozsypać?

– Daruj sobie idiotyczne uwagi! – mówi zdenerwowana. – Twój ojciec jest ciężko chory.

– Claire, idź już, chciałabym odpocząć.

– Słyszałaś, co powiedziałam?! – pyta ze ściśniętym gardłem. – On umiera.

Pierwszy raz widzę ją w takim stanie. Mam wrażenie, że naprawdę cierpi, ale nie umiem jej współczuć, choć powinnam, jej i sobie.

– Odziedziczysz kupę kasy – wzdycham ciężko. – No cóż, taka karma – uśmiecham się pod nosem, a potem otwieram drzwi i wchodzę do mieszkania. – Do widzenia, Claire.

Nie wiem, czy wciąż tam stoi. Nie obchodzi mnie to, jak i wiadomość, którą z takim poświęceniem próbowała mi przekazać. Póki co, nie potrafię wykrzesać

nawet drobnej iskiejki żalu. Nie czuję nic, za wyjątkiem potwornego zmęczenia.

Powoli zrzućam z siebie ubranie, jak zwykle spada na niezbyt czystą podłogę w przedpokoju. Nie mam siły na sprzątanie, nie chce mi się nawet zawiesić kurtki na wieszaku. Padam na kanapę i włączam telewizor. Bezmyślnie spoglądam w ekran, skacząc po kanałach. Jak zwykle nic ciekawego, przewaga reality show i bezsensownej reszty programów, które z głowy robią sieczkę, dziwię się, że ktoś to w ogóle ogląda. Dawno nie widziałam dobrego filmu, te w telewizji to zazwyczaj powtórki, które po czasie przyprawiają o mdłości. Może powinnam wybrać się do kina? Później sprawdzę, co grają.

Na stoliku obok sofy stoi butelka. Zerkam na nią kątem oka. Resztką whisky, dosłownie na jedno rozlanie. Strach próbować, bo za moment będę potrzebowała więcej, a nie bardzo mam siłę na wyprawę do sklepu lub baru. Naciskam na czerwony guzik pilota. Błoga cisza wypełnia pokój. Sięgam po butelkę i przechylam do ust. Potężny łyk pali w gardło, czuję jak powoli przenika wnętrzości. Robi się przyjemnie i ciepło. Jeszcze raz, za Claire, za dzisiejsze spotkanie, za ojca, za wspomniałą rodzinę, lepszej nie mogłam sobie wymarzyć.

Ogarnia mnie histeryczny śmiech, nie mogę się pohamować. Zresztą nie chcę. Muszę dać upust emocjom, jakiegokolwiek by były. Jedyńy żal jaki czuję, to ten do ojca, że pozwolił mi odejść, posłuchał Claire i usunął mnie z życia, skazał na ból, o którym nie ma pojęcia, cierpienie, jakiego nie da się zapomnieć, upokorzenie, poniżenie, krzywdę i wstyd, na jakie nie zasługuje człowiek, a już na pewno trzynastoletnie dziecko. Może i nieświadomie, może z głupoty, naiwności, ślepej miłości, która spadła nagle i całkowicie opętała, ale to właśnie za sprawą jego osoby, zło załęgło się we mnie jak larwa, zapuściło długie korzenie, zaszczepiło nienawiść do ludzi i świata, do życia, w którym miotam się i walczę.

Jedna kropla na szklanym dnie powoli spływa w róg przechylonej butelki. Ostatnia, której nigdy nie da się wypić, pomimo usilnych starań. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Zaraz zwariuję, dopada mnie alkoholowy głód. Kilka łyków to zdecydowanie za mało, by ukoić ból. Wiedziałam, że tak będzie, że szklaneczka tylko zaostrzy ochotę na więcej.

Cechuje mnie absolutny brak silnej woli lub absolutny brak walki o nią. W tej jednej kwestii, poddaję się tak łatwo. W moim, pewnie nie odosobnionym przypadku, alkohol to lekarstwo na wszystko. Dobrze, że wciąż można nabyć je bez recepty.

Claire jak zwykle dołożyła swoje kilka nędznych centów. Po cholere przylazła? Równie dobrze mogła wysłać tajemnego SMS-a bądź w ostateczności zadzwonić, licząc, że odbiorę.

Nie zasnę. Myśli mną zawładną i zafundują wegetację do rana, a przecież muszę odpocząć, pójść do pracy. Osiem przecnic, niby nie dużo, a jednak dzisiaj

wydają się odległością nie do pokonania. Iść, czy nie? Oto jest pytanie. Ivo pewnie się ucieszy, a ja utopię myśli w bursztynowych procentach. Potem prześpię kilka godzin, odurzona ich mocą. Nie kończąca się walka o przetrwanie, tylko po co, skoro i tak wciąż marzę o śmierci? Skrzywdzona, naznaczona, chora, pogubiona, a mimo to silna, pozbawiona skrupułów, nie cofająca się przed niczym, ja, czy ktoś obcy we mnie? Niełatwo o trafną diagnozę.

Z trudem zwlekam się z kanapy. W przedpokoju zakładam rzucone w kąt buty, podnoszę kurtkę z podłogi, przerzucam torbę przez ramię. Z trzaskiem zamykam za sobą drzwi. Nie chcę wiedzieć, kim jestem. Do szczęścia potrzebuję odrobiny spokoju, pomysłu na unicestwienie Martina i butelki burbona.

Claire już nie ma. Nawet nie słyszałam, kiedy poszła. Zresztą, nie ma to znaczenia. Żadnego.

Zaczyna padać. Wieczorny deszcz zwiastujący wiosnę. Drobnutkie kropelki delikatnie rozbijają się na twarzy, spływając po policzkach i szyi. Nie śpieszę się. Wilgoć na rozpalonej skórze przynosi ulgę. Powoli mijam kolejne przecznice. Wokół nie ma żywej duszy. Czyżby zrobiło się późno? Nie spojrzałam na zegar. Nie mogło minąć dużo czasu. Co prawda, ta część Brooklynu nie zalicza się do tłocznych, ale zazwyczaj nawet w nocy można tu spotkać człowieka.

Mam nadzieję, że Ivo się ucieszy. Jakiś czas nie zaglądałam do baru, od akcji z wisielcem.

Słowa Claire zaczynają dźwięczeć mi w uszach. Przychodzą same, mimo woli. Wcale nie mam ochoty ich roztrząsać, zastanawiać się nad głębokim znaczeniem. Pewnie dlatego wciąż są w Nowym Jorku. Choroba ich tu przywiodła, nie ja, choć przez moment nawet się łudziłam. Co się właściwie zmieni, jeśli on umrze? Myślę, że nic, bo dla mnie odszedł już dawno.

W knajpie tłoczno, jak nigdy. Deszcz zwabił klientów. Ivo uwija się za barem, kokietując dwie zgrabne blondynki. Właśnie nalał następną kolejkę. Jedna z dziewczyn chyba wpadła mu w oko, bo co rusz zerka na nią ukradkiem. Znam to spojrzenie, mówi chyba o wiele więcej, niż tylko „podobasz mi się”. Jest wniebowzięty, podekscytowany i przepełniony energią. Nie wiem, czy powinnam psuć tę sielankę. Moja nagła obecność pewnie wprowadzi trochę zamieszania. Jest tak zaabsorbowany, że nawet mnie nie zauważył. Stoję przy wejściu, analizując sytuację. Bez przesady, w końcu przysłam się napić.

– Co tam? – Mrugam do niego, usadawiając się na wysokim stołku obok jednej z blondynek, tej mniej zainteresowanej.

– Dobrze, jak widać – szczebiocze radośnie, nie odrywając oczu od długonogiej piękności. – Dawno cię nie było.

– Bez przesady, ale widzę, że nie narzekasz na brak towarzystwa? – Posyłam porozumiewawcze spojrzenie, po czym widzę, jak na jego twarzy maluje się

szelmowski uśmiech.

– Czego się napijesz?

– To, co zwykle.

– Jeśli wpadłaś pogadać, to nic z tego, widzisz, co tu się dzisiaj dzieje.

– Spokojnie, kilka głębszych wystarczy – mówię, czując na sobie spojrzenie blondynki.

– Proszę. – Ivo stawia przede mną prawie pełną szklanę.

– Poprawię sobie humor i spadam. – Biorę kilka łyków. – Dolej. – Podsuwam mu szkło.

– Spieszysz się gdzieś? – marszczy czoło, dopiero teraz zaczyna mi się przyglądać. – Coś się stało?

– Dlaczego? Tak wyglądam?

– Nie wiem, chyba inaczej.

– Lepiej wlepij te zamglone gały tu obok, ciekawszy obiekt – mówię szeptem, pochylając się w jego stronę.

Zaczyna się śmiać, a potem odwraca tyłem do baru, po chwili podaje mi kolejnego drinka. Blondynka nie wygląda na zadowoloną. Z gracją zsuwa się z krzesła i ponętnie kręcąc biodrami, powoli idzie w stronę toalety. Mam nadzieję, że jest odrobinę schludniej niż ostatnio. W przeciwnym razie jeszcze gotowa poślizgnąć się na swoich cienkich szpileczkach i co gorsze, wylądować z blond głową centralnie w niedomytej muszli. Dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy, zwłaszcza przy barze. Parskam śmiechem sama do siebie. Zajęty Ivo krząta się jak w ukropie, dziś robi nawet za kelnera, nie chcąc narazić się kilku, już nieźle wstawionym, gościom ze stolika przy witrynie. Zresztą, wcale się nie dziwię. Przy takich gabarytach ze wschodnim akcentem też latałabym jak fryga.

Wypijam drugą kolejkę. Jest mi lepiej. Czuję, jak trunek rozplywa się po całym ciele, docierając do wszystkich komórek. Jeszcze trochę mililitrów i mój mózg otrzyma odpowiednią dawkę znieczulenia. Antidotum na ból.

– Sorry, ale nie wyrabiam – zdyszany Ivo podbiega do zlewu i w pośpiechu płucze naczynia, czyniąc przy tym wiele hałasu. – Jak ci się podoba Lisa? – rzuca mimochodem.

– Nie mój typ, ale to bez znaczenia. Ważne, żebyś ty był zadowolony.

– Przychodzi tu od trzech dni.

– Do ciebie?

– Mam nadzieję, dobrze nam się gada, ale dzisiaj to jakiś horror, skąd oni się wzięli? – zerka po sali.

– Nie mam pojęcia, może zamknęli bary w mieście?

– Oby na chwilę – śmieje się pod nosem – bo długo tak nie pociągnę.

– Jeszcze jedna – stukam palcem w pustą szklanę – i spadam.

– Może zostaniesz i mi pomożesz?

- Wątpię, Lisa mogłaby tego nie przeżyć.
- Ha, ha, bardzo śmieszne.
- Widziałam, jak na ciebie patrzy. Swoją drogą, co ona tak długo robi w tym kiblu? Może się utopiła?
- Jezu – Ivo przewraca oczami. – Ty jak coś palniesz!
- Serio, nigdy tam nie sprzątasz, można się poślizgnąć lub udusić odorem. Kiwa głową.
- Wiesz co, może faktycznie lepiej będzie, jak sobie pójdziesz.
- Przecież nie chciałam być złośliwa.
- Nie, oczywiście, że nie – cedzi z drwiną. – Masz, chlapnij sobie i spadaj. –  
Stawia na barze pełną szklankę.
- Jak gliny? Odczepiły się?
- Tego nie wie nikt, ale ostatnio mam spokój.
- U mnie też cisza, pewnie przed burzą. Pójdę sprawdzić – mrugam w stronę toalety.
- Coś ty taka przeczulona? Starzejesz się.
- Może – dopijam ostatniego łyka i lekko chwiejnym krokiem ruszam przed siebie, próbując trzymać pion.

Jest nieźle. Alkohol uderzył mi do głowy z siłą tornada, zaburzył funkcjonowanie neuronów, otumaniał zmysły, zniekształcił rzeczywisty obraz, poraził nerwy odpowiedzialne za utrzymywanie równowagi, wzmógł siłę grawitacji i splątał nogi. Muszę stanąć i przytrzymać się futryny. W drzwiach mija mnie Lisa, mierzy wzrokiem, a potem posyła uśmiech pełen pogardy. Walka o samca, bezustannie, niezmiennie od zarania dziejów. Pani Lisa zaznacza teren i nawet obscurny, śmierdzący kibel jej w tym nie przeszkadza. Odprowadzam ją przymglonym wzrokiem, próbując skupić się na tańczących biodrach. Nie rozumiem zachwyty świata nad kobiecymi kształtami. Nie rozumiem facetów i ich żalonych fantazji, a teraz na dodatek nie rozumiem Iva, który właśnie się obślinił na widok czegoś, co usiadło naprzeciw baru.

Obijając znieczulone ciało o każdą napotkaną po drodze ścianę, z trudem turlam się do przodu. Próbuję trafić w kabinę. Muszla klozetowa dwoi się i troi, a ja staram się utrzymać nad którąś z nich równowagę. Pochylam się, po czym nie bacząc, czy trafię, puszczam pawia. Burbon czasami bywa szkodliwy, zwłaszcza gdy jest go za dużo. Teraz chciałabym tylko trafić do domu i żeby za szybko nie wyparował, bo nie mam najmniejszej ochoty powtórnie wic się w bólu splątanych myśli i ponurych wspomnień.





## EPIZOD XI

Tydzień temu odwiedziłam ojca. Claire wysłała wiadomość z adresem kliniki, dwa dni po naszym spotkaniu. Miałam rację. To jedyny powód ich przyjazdu tutaj. Operacja i długa rekonwalescencja w prywatnej placówce, zajmującej się pionierską metodą leczenia nowotworu mózgu. Stać ich na to, ale pieniądze nigdy nie dają gwarancji. Jest z nim źle. Ma chwilowe przebłyski świadomości. Spędziłam niecałą godzinę przy szpitalnym łóżku i w tym czasie tylko raz mnie rozpoznał. Uśmiechnął się, a potem zamknął oczy i zasnął. Chyba poczuł ulgę, a przynajmniej tak mi się zdawało. Niewiarygodne, zaledwie dwa tygodnie temu wyglądał normalnie, jakby nic się nie działo. Pomyślałam tylko, że się zestarzał.

Claire czekała za drzwiami. Nie weszła ani razu. Dała nam czas. Wciąż przy nim czuwa, bezustannie. Przez moment odniosłam wrażenie, że naprawdę go kocha. Na jej zmienionej twarzy widać cierpienie.

Dlaczego nie czuję nic, oprócz pustki? Wewnątrz jestem zastygłą skałą. A przecież, gdyby żyła mama, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie wylądowałabym w szkole z internatem, daleko od domu, skazana tylko na siebie i nocne odwiedziny pedofila psychopaty. Nie walczyłabym ze sobą do upadłego, błakając się w ciemności życia, którego nienawidzę. Potrafiłabym zbudować zdrowe relacje z kimś, kogo spotkałabym na dobre i złe, stworzyć świat podobny do tego, w którym się urodziłam i o którym musiałam zapomnieć. Umiałabym dać miłość, choć nawet nie wiem jak smakuje i czy w ogóle istnieje. Nie mam pojęcia, kim jestem i żadna terapia tego nie zmieni. Strach mieszka gdzieś głęboko we mnie, stłumiony nienaturalną siłą, którą wypracowałam przez lata. Rodzaj samoobrony i lek pomagający przetrwać.

Może powinnam była powiedzieć ojcu? Zdobyć się na odwagę i wykrzyczeć mu prosto w oczy? Chciałam, tak bardzo chciałam, żeby mnie stamtąd zabrał. Błagałam, kiedy przyjechali w odwiedziny po pół roku. Udało mi się wykraść chwilę z nim sam na sam, kiedy Claire poszła po kawę. Poprosiłam o spacer, ale ona wszystko zepsuła, jak zwykle musiała się wtrącić. Wróciła z kawą, tacą pełną ciastek i tym swoim sztucznym uśmiechem. Nie pozwoliła mi wysłuchać.

Nie miałam prawa tęsknić, nie zasługiwałam na rodzicielską miłość, na ojca, którego podstępnie mi zabrała. W milczeniu, ze łzami w oczach i ściśniętym gardłem, próbując pohamować płacz, jadłam szarlotkę i słuchałam jej szczebiotu. Potrafiła mu wmówić wszystko, a on słuchał wpatrzony jak w boski obraz. Pełen ufności i wiary, nie widział nic, oprócz niej. Niczego nie zauważył. Mój ból i cierpienie stało się niewidzialne. Przestałam dla niego istnieć. Błaganie było grą zazdrości, krzyk rozpaczyny jedynie dziecięcą fanaberią, która mogła popsuć Claire

szyki. Pojechali, a potem zmieniło się wszystko.

Już nie umiałam tęsknić. Zrozumiałam, że wraz z pojawieniem się Claire, straciłam go na zawsze. Podałam się bez walki, wyczerpana każdym kolejnym bojem, który musiałam toczyć ze sobą, kiedy za oknem zapadała ciemność, a w małym pokoju internatu zatrząskiwaly się drzwi. Czasem żałuję, że on nie wie, że odejdzie nieświadomy, nie znający prawdziwego powodu, dla którego odsunęliśmy się od siebie, przekonany, że za wszystkim stoi jedynie moja zazdrość. Teraz jest już chyba za późno na wyjaśnienia i szokujące wyznania. Nie można w jednej chwili naprawić straconych lat, czasu nie da się cofnąć. Każdy popełnia błędy, za które potem płaci. Mój stłumiony wewnątrz krzyk okazał się błędem największym.

Zaakceptowałabym każdą kobietę u boku ojca, byleby tylko umiała dać mi odrobinę ciepła, oswoiła z nową odmianą miłości.

Claire się zmieniła, to wiem. Dojrzała, złagodniała, wreszcie stać ją na człowieczy odruch, na pozbawiony wyrachowania gest, wreszcie sama jest matką. Ale to nic nie zmienia, nie dla mnie. Przeszłości nie da się, ot tak, po prostu wymazać, zwłaszcza mojej, która zaważyła na całym życiu. Głębokie rany nie zagoją się nigdy. Wciąż krwawią, pozostawiając ślady. Nie umiem wybaczyć, nie potrafię.

- Można? – słyszę za sobą znajomy głos.
- Proszę. – Odwracam się, obracając fotel.
- Jakiś facet czeka na dole, ochrona nie chce go wpuścić, mówi, że do ciebie, że pilne – dziewczyna z recepcji stoi prawie na baczność, dukając nieśmiało.
- Nie przedstawił się?
- Nie.
- Dzięki – posyłam nieznaczny uśmiech. – Zaraz zjadę, powiedz ochronie, żeby poczekał – mówię zamyślona. – Telefon nie działa?
- Nie odbierałaś.
- Znowu się uśmiecham.
- Dzięki. – Mrugam do niej w nadziei, że już sobie pójdzie.
- Wszystko w porządku? – wciąż stoi w drzwiach.
- Patrzę na nią zaskoczona.
- Przepraszam, tak tylko... – Kiwa głową, a potem znika za drzwiami.

Zabieram z wieszaka torbę, dziś wyjątkowo nie wisi na krześle, zamykam gabinet i ruszam w stronę windy. Po drodze mijam dziewczynę z recepcji, na mój widok opuszcza głowę. Nic nie rozumiem, może jestem brudna, mam coś na twarzy? Spoglądam w lustro, jadąc w dół. Wyglądam normalnie, ale może nie o wygląd chodzi. Ludzie są czujni, szczególnie w mojej redakcji. Muszę uważać, wciąż się kontrolować, panować nad zmianą zachowania i okazaniem jakiegokolwiek emocji, funkcjonować niczym dobrze naoliwiona maszyna.

W holu głównym, przy drzwiach wejściowych stoi niewysoki, dość krępy mężczyzna. Na pokrytej zarostem twarzy maluje się zniecierpliwienie. Wygląda niechlujnie, jakby ktoś na kilka dni pozbawił go domu.

– Pan do mnie? – pytam, stojąc w bezpiecznej odległości, kątem oka zerkając na ochronę.

– Nie przyszła pani na umówione spotkanie – cedzi niskim, ochrypłym głosem.

– Byliśmy umówieni? Nie przypominam sobie.

– Róg dziewiątej i Smith Street, godzina dwudziesta – filtruje mnie przenikliwym wzrokiem.

– Tak? – udaję idiotkę, próbując sobie przypomnieć.

– Tak – burczy pod nosem, chyba zaczyna się denerwować, bo wygląda naprawdę groźnie. – Kilka tygodni temu.

– Rzeczywiście! To pan, przepraszam, wypadło mi coś ważnego, nie wiedziałam, jak się skontaktować...

– Jest pani zainteresowana? – przerywa, robiąc krok do przodu.

– Proszę przyjść o siedemnastej. Teraz nie bardzo mogę rozmawiać.

– Sprawa jest na teraz – szepcze przez zaciśnięte zęby.

– To znaczy?

– Na Upper East Side zamordowano kobietę.

– Jak to? Kiedy?

– Dzisiaj o świcie.

– Bzdura! W mediach by szumiało!

– Delikatna sprawa – podchodzi bliżej. – Podobno kochanka kogoś ważnego.

– Kogo?

– James Cammeron, mówi coś pani?

– To pewne?!

Przytakuje lekkim skinieniem.

– Zdążymy?

– Dopiero co ją znaleźli.

– Proszę poczekać – krzyczę, ruszając w stronę windy. – Zaraz wracam!

Jak szalona wbiegam do redakcji, potem do biura, zabieram płaszcz, wyłączam komputer. Zamykam drzwi na klucz. Dwadzieścia dwa piętra w dół dłużej się jak nigdy. Nagle winda staje na piątym, mam déjà vu, tyle, że zamiast roześmianej Claire widzę zapłakaną kobietę z niemowlęciem na ręku. Wsiada, nie zwracając na mnie uwagi, zajęta maleństwem. Jaką tajemnicę kryje to piętro? Nie mam czasu, ale przy okazji muszę koniecznie sprawdzić.

Nowy informator czeka przy drzwiach. Rozmawia przez telefon. Widząc, że się zbliżam, rozłącza się. Nie czekając, zwawo opuszcza budynek. Doganiam go po chwili.

– Może weźmiemy taksówkę? – proponuję. – Będzie szybciej.

Mężczyzna wzrusza ramionami, po czym nagle wyciąga rękę. Samochód zatrzymuje się od razu. Mamy farta. Oboje siadamy z tyłu. Stąd nie jest daleko. Jeśli nie będzie korków, co o tej porze jest wielce prawdopodobne, powinniśmy dojechać w dziesięć, może piętnaście minut. Kierowca nie należy do rozmownych. W sumie jest mi to na rękę. Informator też się nie odzywa. Czuję przyływ adrenaliny i delikatną ekscytację. Żeby tylko udało się pstryknąć kilka fotek, byłaby szansa na świetny materiał, pod warunkiem, że trop nie jest mylny. Jeszcze nie wiem, czy mogę ufać temu człowiekowi. Przy nadziei trzyma mnie fakt, że został polecony przez Czarnego Jacka, a jego byłam pewna na sto procent. Poza ostatnią głupią wpadką z kratkami w tle, nigdy mnie nie zawiódł.

– Proszę skręcić – mężczyzna nagle się ożywia. – Już jesteśmy.

– No pięknie – mruczę pod nosem na widok tłumu i kilku znajomych dziennikarzy. - Media zwęszyły sensację.

– To dopiero początek – oznajmia, otwierając drzwi.

Reguluję rachunek po czym wyskakuję tuż za nim, pospiesznie wyjmując telefon. Próbuje przecisnąć się przez tłum. Na razie nic nie widać, nawet nie wiadomo, po co to całe zamieszanie. Informator nagle staje.

– Nie ustaliliśmy warunków – mówi, odwracając się.

– Pogadamy po akcji.

– Teraz.

– Teraz muszę zdobyć materiał i jak najszybciej wrócić do redakcji! – cedzę podniesionym głosem, bo facet zaczyna mi grać na nerwach.

– Czekam za rogiem – rzuca, a potem znika w tłumie.

Jestem zdenerwowana. Muszę dotrzeć do ambulansu oddalonego o jakieś trzydzieści metrów. Wciąż przybywa ludzi i spragnionych krwi reporterów, z minuty na minutę robi się coraz bardziej gorąco. Nie mam wyjścia. Pcham się do przodu niczym czołg, nie zważając na ściśniętych ludzi. Jeszcze tylko kilka metrów. Policja obstawiła wejście do budynku, ale przy odrobinie szczęścia, coś uda się uchwycić w kadrze.

Drzwi karetki są otwarte, to dobry znak. Oględziny wciąż trwają. Skąd on wiedział, skoro dopiero teraz zaczyna się kocioł? Trzeba mieć lepszy węch niż niejeden pies. Dobry informator to skarb, który od zawsze pozostaje dla mnie zagadką. Może ten okaże się lepszy od Pana Czarnego Jacka? Cudownie byłoby namierzyć trzecią ofiarę „Rzeźnika”.

W samą porę, właśnie ją wynoszą. Ustawiam aparat i wyciągam przed siebie rękę. Obok roi się od dziennikarzy i kamer. Ciekawski tłum napiera z ogromną siłą, z trudem próbuję utrzymać równowagę. Nagle ktoś uderza mnie w ramię, telefon wypada mi z dłoni. Co za uczucie, niczym w sercu tornada, pierwszy raz spotykam się z czymś takim. Ludzie krzyczą z wzniesionymi do góry rękami, nad moją głową

nagle pojawia się transparent, demonstranci wyrastają spod ziemi jak grzyby po deszczu. Pewnie w końcu przerwali wiadomości. Widzę wóz transmisyjny. Trzeba się ewakuować. Muszę tylko odzyskać telefon, pod warunkiem, że coś z niego zostało.

Policja tworzy szpaler, próbuje przepchać się przez tłum i zrobić miejsce dla ambulansu. Nagle czuję jak ktoś szarpie mnie za rękaw. Wysoki mężczyzna płynnym ruchem sunie naprzód, ciągnąc mnie za sobą. Wokół panuje taki chaos, że trudno zebrać myśli. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Usiłuję się wyrwać, nadaremnie. Jest silny i zawzięty. Mój krzyk zlewa się z wrzaskiem tłumu, nie ma szans, by mnie usłyszał. Wreszcie udaje mu się wydostać z centrum huczącego zbiorowiska. Dopiero teraz zwalnia uścisk.

– Co to ma być do jasnej cholery?! – wydzieram się, otrzepując wymięty rękaw.

– Proszę – uśmiecha się i jakby nigdy nic, podaje mi telefon. – Pęknięty, ale chyba działa.

Niemal wrywam mu go z dłoni. Drżącym palcem próbuję odblokować, uruchamia się dopiero za trzecim razem. Nerwowo przeglądam zdjęcia. Jest wszystko, nienaruszone. Zdążyłam udokumentować przebieg akcji krok po kroku, przenoszenie zawiniętych zwłok z budynku do karetki, klatka po klatce, wokół policja, reporterzy i wydzierający się tłum.

– Która godzina? – zwracam się do mężczyzny, który ciągle stoi obok.

– Kwadrans popołudniu.

– Dzięki – czuję, jak spływa ze mnie stres, powoli zaczynam się uspokajać. – Muszę lecieć.

– Pamiętasz mnie? – Ponownie łapie mnie za rękę.

– A powinnam? – Zerkam zaskoczona.

– Jeremy McCormick, byliśmy razem na roku.

– Przepraszam, nie pamiętam. – Wzruszam ramionami, robiąc głupią minę. – Dzięki za telefon i w ogóle, ale naprawdę się spieszę.

– Jasne – uśmiecha się. – Rozumiem.

– To na razie. – Odwracam się na pięcie, a potem ruszam w stronę skrzyżowania w poszukiwaniu informatora.

Nigdzie go nie ma. Nie mam ochoty ponownie lądować w paszczy lwa. Chyba dam sobie spokój, i tak mnie znajdzie.

Szybkim krokiem zmierzam w kierunku najbliższej stacji metra. Nie ma sensu pchać się do taksówki. Ta część miasta będzie sparaliżowana przez kilka godzin. Próbuję pozbierać myśli i choć dręczy mnie nieoczekiwane pojawienie się informatora, a potem niejakiego McCormicka, jedyne nad czym się teraz zastanawiam, to, jak zredagować artykuł bez żadnych konkretnych danych. Oprócz tego, co zapisał mój poobijany telefon, nie mam właściwie nic. Muszę jak

najszybciej znaleźć się w redakcji i niestety poszperać w internecie. Po akcji, którą widziałam, pewnie aż huczy od informacji. Trzy godziny powinny wystarczyć.

Krótki odcinek, ale niestety z przesiadką. To i tak najszybsza droga. Schodami zbiegam na peron. Wskakuję do przedziału dosłownie w sekundę przed zamknięciem drzwi. Nagle czuję czyjąś dłoń na swoim ramieniu.

– Wiedziałem, że tu panią znajdę – zachrypnięty głos brzmi znajomo.

– O ile dobrze pamiętam, umówiliśmy się na rogu – odzywam się, wciąż odwrócona tyłem.

– Proponuję stałą stawkę tygodniową, płaconą z góry.

– Serio? – parskam śmiechem. – A niby gdzie potem będę cię szukać?

– Mnie nie trzeba szukać księżniczko, pojawiaam się wtedy, kiedy trzeba.

– Więc będę płacić za usługę, po wykonaniu – odwracam się. – Wtedy, kiedy trzeba.

– Stówka się należy.

– Nie rozśmieszaj mnie człowieku.

– Pięć dych za dzisiaj plus zadatek.

– Przykro mi, nie pracuję tak. Dobra, dzisiaj było ok., ale najpierw muszę cię sprawdzić. Dam pięć dych za dzisiaj, choć to i tak za dużo. Co do reszty, uzgodnimy następnym razem i lepiej, żeby to było coś mocnego.

– Miranda Lesley.

Robię pytającą minę.

– Denatka w worku. Dwadzieścia sześć lat. Absolwentka Yale na stażu w biurze zastępcy gubernatora. Mieszkanie od roku jest wynajęte przez niejakiego Hugh Bertranda. Uwaga, teraz najlepsze, Hugh jest siostrzeńcem Jamesa Cammerona – robi triumfującą minę.

– Skąd to masz?

– Nigdy nie pytaj mnie o źródło, jeśli mamy współpracować. Gwarantuję rzetelne i sprawdzone informacje.

– Jestem pod wrażeniem, ale żeby cokolwiek napisać, muszę mieć pewność.

– Nie wątpię, że to sprawdzisz – uśmiecha się ironicznie.

– Coś jeszcze?

– Gwałt, trzy rany klute w okolicy serca, jedna z tyłu głowy, chyba tępym narzędziem. Brak śladów spermy, odcisków palców i innych dowodów.

– Chryste, byłeś tam? A może to twoje dzieło, co? – Patrzę na niego podejrzliwie.

– Zgon nastąpił około piątej nad ranem – oznajmia rozbawiony. – Szkoda, że nie widzisz swojej miny.

– Szkoda.

– Spokojnie, to wieści z pierwszej ręki, śmiało możesz tworzyć – klepie mnie po ramieniu i wyciąga rękę.

– No dobra, niech stracę – uśmiecham się kącikiem ust i wyjmuję z torby portfel. – Proszę – wciskam mu w dłoń pięćdziesiąt dolców.

– Odezwę się – rzuca, wysiadając na następnej stacji.

Przesiadam się na kolejnej. Jeden przystanek i trochę truchtem. Po drodze układam w myślach słowa.

Jest naprawdę niezły, o wiele lepszy od Pana Czarnego Jacka, bardziej profesjonalny. Chyba spadł mi z nieba. Tylko czekać, jak poda na tacy „Rzeźnika”. Teraz wiem, dlaczego tak się ceni. Wcześniej dostawałam tylko cynk SMS-em, ustalony szyfr. Nowy posłaniec chyba pracuje inaczej, niemal dostarcza na miejsce wraz z garścią niezbędnych informacji.

Wpadam do biura, w pośpiechu rzucając płaszcz i torbę na fotel. Odpalam komputer. W przyspieszonym tempie sprawdzam najświeższe wiadomości. Portale huczą, sprawa tajemniczego morderstwa na Upper East Side zawładnęła siecią. Wertuję stronę za stroną i nie mogę wyjść ze zdumienia. Wszystko się zgadza, za wyjątkiem informacji o gwałcie. Nikt o tym nie wspomina. Ciężko opadam na krzesło, przygniatając płaszcz i zawartość torby. Jestem w kropce, pisać czy nie? Powinnam chyba skonsultować się z naczelnym.

W sekundę zjawiam się pod jego gabinetem. Bez pukania wpadam do środka. Zdejmuje okulary, odkłada na biurko i patrzy na mnie jakby zobaczył ducha.

– Co jest? – marszczy czoło.

– Szefie, mamy mały problem.

– Byłaś w samym centrum tornada? – mruga porozumiewawczo.

– Widzę, że wieści szybko się rozchodzą, mamy kreta? – pytam z drwiną.

– Mów w czym rzecz, nie mam czasu.

– Ze sprawdzonego źródła wiem, że przed śmiercią – przerywam na moment.

– Cholera, a może po?! Szlag! – cedzę przez zaciśnięte zęby. – W każdym razie, podobno została zgwałcona.

– Podobno – wzdycha zamyślony. – Policja nie puściła pary?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Wszystko sprawdziłam.

– No to rzeczywiście problem – waha się przez chwilę, drapiąc podbródek. –

Za duże ryzyko, nie chcę mieć tu potem prokuratora i zadymy. Na pewno nikt tego nie poda?

Kiwam przecząco głową.

– Nie możemy – zerka unosząc wysoko brwi. – Dawaj, co masz, bez gwałtu.

Do roboty! – wskazuje na drzwi i ponownie zakłada okulary.

– Ale...

– Wiesz przecież, co by było, gdyby ten cholerny gwałt okazał się

nieprawdą? – łypie na mnie zza grubych szkieł.

– A jak w międzyczasie ktoś jednak to puści?

– Na dwoje babka wróżyła – wzrusza ramionami.

– Mogę delikatnie zahaczyć o temat? – robię błagalną minę. – Może tylko, że jest podejrzenie, albo coś w tym stylu? – pytam niepewnie.

– Ale delikatnie – puszcza mi oko. – Do roboty! Potem zobaczymy! – Uśmiecha się, kiedy stoję już w drzwiach.

– Ok.

– Poczekaj! – krzyczy nagle.

– Tak? – wychylam głowę.

– Zdjęcia.

– Mam, zaraz prześlę grafikowi.

– Zmykaj.

Właściwie cały tekst mam już w głowie. Rutyna. Słowa same układają się w zdania. W takich sprawach zawsze bywa podobnie, zmieniają się jedynie szczegóły, dane, fakty. Pisałam tysiące takich artykułów. To jak wypełnianie gotowego formularza.

Mój organizm domaga się kawy. Od rana nie było na to czasu. Wyślę grafikowi fotki i chyba zrobię sobie kilkuminutową przerwę. Dawno nie wychodziłam na lunch, odkąd zabrakło Sary. Niewiarygodne, że tęsknotę za nią odczuwam właśnie w takich sytuacjach.

Martin znowu jest na zwolnieniu. Przynajmniej nie płacze się po redakcji. Nie wiem, dlaczego mnie to męczy. Powinnam się cieszyć, że go nie ma, ale nie czuję ulgi, wręcz przeciwnie. Mam wrażenie, że nie zaznam spokoju, dopóki nie zniknie na zawsze.

Sprawy piętrzą się nade mną niczym piramidy. Czasami myślę, że stoję obok i tylko się przyglądam. Tak jest łatwiej. Teatr jednego widza z udziałem zmieniających się aktorów. Zupełnie jak kiedyś, kiedy po raz pierwszy zamknęły się drzwi, a potem w ciemności poczułam dotyk zła.

## **EPIZOD XII**

Wczoraj poszłam się pożegnać. Jutro przenoszą ojca do Bostonu, do jednego z oddziałów kliniki. Tutaj nie mogą zrobić nic więcej. Nie odzyskał świadomości, nawet nie wiem, czy mnie słyszał, kiedy mówiłam „do widzenia”. Już wygląda jakby był na tamtym świecie, nie przypomina dawnego siebie, chyba pogodził się z



myślą, że odchodzi, bo z dnia na dzień jest go mniej. Cóż dały miliony i uśmiechnięta Claire? Niepotrzebnie tu przyjeżdżał, zapłacił słono za bycie królikiem doświadczalnym. Nowatorska metoda odebrała mu ostatnie chwile, którymi mógł się cieszyć, a operacja otworzyła wieko trumny. Teraz tylko czekać, aż go do niej włożą, a Claire osobiście dokręci śrubę. Chociaż, może jestem zbyt surowa? Może czas wziąć z niej przykład i też się zmienić?

Od kilku dni nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ktoś mnie śledzi. Dziwne uczucie. Jakby cień deptał mi po piętach. Parę razy odwróciłam się zniechęta. Nadaremnie. Za mną i wokół była pustka, a uczucie niepokoju, czyjejś obecności pozostało. Przez ostatnie miesiące narobiłam tyle bałaganu, że to mógł być każdy.

Media wciąż żyją morderstwem Mirandy Lesley. Nadal nie potwierdzono gwałtu, chociaż, jak się okazało nie tylko ja poruszyłam temat. Niewątpliwie jest coś na rzeczy, zawsze istnieje jakiś przeciek. Będą chcieli wyciszyć sprawę, bo z tego co wiem, sięga na sam szczyt.

Od tamtej pory minęły trzy tygodnie, a mój nowy informator odezwał się tylko raz, ale trzeba przyznać, że ponownie mnie zaskoczył. Najwyraźniej tak to będzie teraz wyglądać, rzadko i bardzo konkretnie. Pan X, bo wciąż mi się nie przedstawił, uderza nagle i z nieprawdopodobną siłą sensacji. Wybiera tylko najlepsze kąski, za które oczekuje sowitego wynagrodzenia. Afera pedofilską z udziałem księdza w jednej z parafii Manhattanu była kolejnym strzałem w dziesiątkę. Reszta to znowu drobiazgi, jakich pełno w tym mieście, ale nasza gazeta do dziennik, więc czasami trzeba zadowolić się czymkolwiek.

Naczelną tryska humorem, statystyki trzymają normę z lekką tendencją wzrostową, a ja liczę na premię pod koniec miesiąca.

Koniec kwietnia. Nowy Jork zaczynają nawiedzać fale upałów. Pogoda w tym mieście wciąż mnie zaskakuje, bywa kompletnie nieprzewidywalna, nie unormowana porą roku, pełna anomalii, co prowadzi do wszelkich możliwych mutacji wirusów, przed którymi ciężko się obronić. Nie pomaga odpowiednia suplementacja, długi sen czy unikanie przeludnionych miejsc. Choroba atakuje z wiatrem, a tego w tym mieście nie brakuje.

Od tygodnia mamy połowę składu redakcji. Kolejne dwie osoby szef odesłał dziś rano. W przeciwieństwie do Martina, niektórzy pragną pracować za wszelką cenę.

Nieraz bywało trudno, ale teraz wyrabiamy pewnie z tysiąc procent normy. Podwoiłam dzienną dawkę kawy, wolny czas ograniczyłam do minimum i niestety zostaję po godzinach, bo żeby zdążyć musimy opracować część materiału z następnego dnia, co nie jest proste. Niektóre tematy leżą ze sporym opóźnieniem. Przejściowe utrudnienia mają jednak swoje plusy. Permanentny stan pełnej mobilizacji oraz brak czasu na myślenie o sprawach niezwiązanych z pracą, owocują mocnym siedmiogodzinnym snem, co w moim przypadku zdarza się

niezwykle rzadko.

W tej robocie nie ma czasu na nudę. Uwielbiam tempo i związanie z nim zmęczenie, ale po sprawie z Mirandą Lesley zaczęłam wątpić w słuszność wyboru zawodu. Dlaczego nie poszłam na kryminalistykę? Babramy się w tych samych brudach, z tą różnicą, że gliny tkwią w nich po uszy i pozostają na dłużej. My podajemy suche fakty, karmimy świat krótką sensacją, każdego dnia inną i trochę inaczej podaną. Nie ma czasu i możliwości na zagłębianie się w sprawę, udział w śledztwie, analizy, szukanie przyczyn i sprawcy. Dziennikarska dociekliwość owocuje jedynie dostarczeniem solidnej, potwierdzonej informacji i tylko czasami się zdarza, że dany incydent ma swój ciąg dalszy.

Od rana ślęczę nad artykułem. Południowa część Bronx'u należy do najbardziej niebezpiecznych zakątków Nowego Jorku. Właśnie tam, wczorajszej nocy w jednym ze śmietników, bezdomny zamiast kawałków złomu na sprzedaż, wyciągnął zwłoki noworodka. Ktoś ze świadków twierdzi, że dziecko jeszcze żyło, więc rozpętała się burza. Wciąż nie ma opinii biegłego w tej sprawie. Pytanie, czy mamy do czynienia z zaplanowanym morderstwem, porzuceniem czy pobiciem ze skutkiem śmiertelnym? Prokuratura czeka na wynik sekcji, zapewne niewinny bezdomny został zatrzymany, a niezbyt wiarygodny świadek upiera się przy swoim. Matki nadal nie zlokalizowano. Może wcale nie była stąd, a na dodatek umiejętnie maskowała ciążę. Szukaj wiatru w polu. Takie historie czasami ciągną się wieki, a i tak pozostają zagadką.

Słyszę zamieszanie za drzwiami. Raptem parę osób w pracy, a harmider jak na zaludnionym arabskim bazarze. Nie mogę się skupić, bo hałas robi się nie do zniesienia. Wreszcie zrywam się z krzesła i z impetem otwieram drzwi.

– Co do cholery?! – wydzieram się, próbując ich przekrzyczeć. Odgłos strzału zagłusza wrzask, a potem następuje długa cisza.

– Dzwon po karetkę! – dociera do mnie przerażony głos grafika, który pochyła się nad ciałem. Wokół kałuża krwi, powoli wsiąka w szarą wykładzinę.

– Boże – mówię do siebie, biegiem wracając po telefon. – Już jadą! – krzyczę z biura.

Dopiero teraz dochodzi do mnie, co się stało. Martin leży nieruchomo. Kula chyba przebiła czaszkę na wylot, bo kawałki mózgu rozprysły się w promieniu kilku metrów. Redakcyjne pomieszczenie wygląda niczym krwawe pobojuwisko. Dziewczyna z recepcji osuwa się na podłogę zaraz przy wejściu, słyszę jak ktoś wymiotuje w kącie. Jedynie grafik próbuje zachować zimną krew. Stoję przy nim, pochylona nad ciałem, wpatrując się po raz ostatni w wytrzeszczone oczy Martina, w których właśnie zgasło życie.

Słyszę odgłos zatraskiwanych drzwi, a potem zerkam na białą jak kreda twarz naczelnego.

– Karetka już nie pomoże – mówię pod nosem. – Chyba trzeba zawiadomić

gliny.

Nikt nie reaguje. Zastygli niczym woskowe figury. Przerażliwa cisza drażni uszy, wypełnia wszystko wokół. Po chwili otwierają się kolejne drzwi. Niecodzienny obraz przyciąga następnych. Starsza kobieta z działu reklamy zaczyna krzyczeć, a potem histerycznie płakać. Widok roztrzaskanej na kawałki głowy jest do tego stopnia nierzeczywisty, że wprawia w osłupienie. Scena niemalże filmowa z idealną charakteryzacją. Redakcja zamarła. Nikt nie jest w stanie się ruszyć. Nikt nie rozumie, co się stało i czy sceneria nie jest tylko iluzją.

Obok nieruchomej dłoni leży pistolet. Spory kaliber, bo tylko taki byłby w stanie dokonać podobnego zniszczenia. Zastanawia mnie, skąd go wziął i czy od dawna to planował, a może działał pod wpływem chwili? Może ktoś go sprowokował? Zaczynam żałować, że ominął mnie wstęp, że nie stałam się świadkiem redakcyjnej masakry od samego początku. Z każdą upływającą sekundą narasta we mnie niewytłumaczalna złość.

Powoli wybieram numer. Atmosfera wokół jest nie do zniesienia. Czas zaprosić psy, niech trochę tutaj powęszą, poruszą tych, w których tli się życie, chociaż teraz trudno ich rozróżnić. Wszyscy wyglądają podobnie do Martina, mimo że płynie w nich krew.

– Czy może ktoś mnie oświecić? – pytam podniesionym głosem, w nadziei, że w końcu się obudzą. – Co tu się właściwie stało?!

– A na co to wygląda? – odzywa się grafik. Stoi tyłem, odwrócony w stronę okna.

– Cholera wie, sam się wykończył, czy ktoś mu pomógł?

– Ty jak zwykle, za grosz empatii – wzdycha ciężko, kiwając głową.

– Ktoś musi ogarnąć ten bajzel, skoro was zamurowało! Gliny już jadą.

– A gdzie karetka?

– Dobrze pytanie, może utknęli między piętrami – drwię.

– Trzeba go czymś przykryć – naczelny nerwowo się rozgląda. – Żal patrzeć – mówi do siebie.

Nagle wszyscy budzą się z letargu. Kręcą w kółko, jakby czegoś szukali. Tymczasem mam wrażenie, że błądzą we mgle. To nie na Martina żal patrzeć, a na nich. On jest przynajmniej dobrym materiałem na najnowszy artykuł, reszta wydaje się kompletnie bezużyteczna. W sumie, gdyby codziennie serwowano nam takie atrakcje, nie trzeba byłoby opuszczać biura, żeby zdobyć gorący temat.

Niemal jednocześnie wpada policja z ekipą ambulansu. Dobrze, że naczelny nie zdążył okryć zwłok. Stają jak wryci. Widać i dla nich widok jest niecodzienny. Po chwili jeden z ratowników medycznych kuca przy denacie, odruchowo sprawdza puls, choć gołym okiem widać, że nie warto.

– Cóż za zbieg okoliczności – słyszę za sobą znajomy głos pełen ironii.

– Dzień dobry, detektywie – odwracam się na pięcie.

- Chyba jednak nie taki dobry.
- Zależy.
- Tej znajomości też się pani wyprze? – Zerka na ciało, nad którym wciąż tkwią ratownicy.
- Tej nie – obcinam go wzrokiem. – Martin pracował tu od początku.
- Podobnie jak Sara Goldman – przerywa.
- Nigdy nie twierdziłam, że jej nie znam.
- Parska śmiechem.
- Zdziwiający w jakim tempie giną pani znajomi.
- Czysty przypadek.
- Czyżby? – patrzy nieufnie. – Podobno mieliście na pieńku.
- Zrobił pan wywiad środowiskowy, przewidując jego śmierć? – Kiwam głową, udając niedowierzanie. – Genialne!

Nawet na mnie nie patrzy. Bez słowa oddala się w stronę policjanta, przesłuchującego grafika. Przy oknie stoi naczelny, czekając na swoją kolej. Rozpoczynają się rutynowe czynności. Ekipa śledcza zabezpiecza ślady. Błyskający flesz aparatu rozświetla redakcyjne pomieszczenie, wydając charakterystyczny dźwięk. Na krześle przy wejściu siedzi dziewczyna z recepcji podłączona do kroplówki. Ją jeszcze da się uratować, choć wygląda jak trup. Inni też potrzebują pomocy, dużej ilości środków otumaniających i psychologa. Znowu zerkam w stronę okna. Naczelny wciąż tam stoi, zupełnie nieruchomo. Nie widzę jego twarzy, ani spojrzenia, ale dałabym uciąć sobie głowę, że coś go gryzie i nie jest to tylko samobójstwo Martina. On zna powód. Wie, co tu się stało naprawdę.

Porucznik Colombo, bo tak od teraz będę nazywać detektywa, chyba czyta w moich myślach, bo właśnie bierze szefa pod lupę. Znikają w długim korytarzu, prowadzącym do biura naczelnego. Szkoda, że nie mogę stać się niewidzialna i podążyć ich śladem, poznać przyczynę, dla której zostałam pozbawiona przyjemności pozbycia się Martina osobiście. Ubiegł mnie po raz pierwszy w życiu. Wreszcie mu się udało zrobić coś, jak należy.

Przesłuchani, którzy zdążyli ochłonąć i mogą wrócić do domu o własnych siłach, powoli opuszczają redakcję. Zostaje grafik, ja i dziewczyna z recepcji, wciąż przytwierdzona do kroplówki.

Nikt nie chce ze mną gadać. Powinnam spakować się i wyjść. Może nie zauważą. Nie mam ochoty czekać w nieskończoność na policyjną łaskę. W końcu jest co świętować, pomimo że śmierć Martina akurat w takim wydaniu nie przynosi ani ulgi ani satysfakcji.

Wracam na chwilę do swojego gabinetu. Może powinnam dokończyć artykuł? Niezależnie od porannego incydentu, jutro rano gazeta musi trafić na nowojorskie ulice. Redakcja nie może pozwolić sobie na przestój w pracy, zwłaszcza teraz, kiedy mamy mocno zredukowany personel.

– Tu się pani ukryła. – „Porucznik Colombo” wtyka swój wścibski nos między drzwi.

– To moje biuro, pracuję – mówię mało przyjaźnie.

– Chciałbym zadać kilka pytań – nieproszony usadawia się na rogu biurka.

– Słucham. – Odrywam wzrok od komputera. – Znowu mnie pan podejrzewa? – Parskam z ironią, patrząc mu w oczy.

– Chciałbym poznać pani wersję zdarzeń.

– Moją wersję?! – marszczę czoło. – Jest tylko jedna wersja. Myślę, że już pan ją zna.

– Zwykła procedura, chyba pani to rozumie.

– Oczywiście – cedzę z przekąsem.

– Gdzie pani była, kiedy padł strzał?

– Właśnie stąd wychodziłam. Za drzwiami było strasznie głośno, krzyki, zamieszanie. Nie mogłam się skupić.

– Co dalej?

– Nic – wzruszam ramionami. – Usłyszałam strzał. Ktoś krzyknął, żeby wezwać karetkę. Wbiegłam do biura po telefon. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to Martin. Rano nie było go w pracy.

– Czyli nie widziała pani, co się działo, zanim padł strzał?

– Nie.

– Ale słyszała pani kłótnię?

– Nie powiedziałam tego – zerkam na niego nieufnie.

– Zatem, co to było?

– Przecież mówiłam, jakieś krzyki, hałas, nic konkretnego.

– Dobrze go pani znała?

– Niezbyt, jak to w pracy.

– Jak Sarę Goldman? – świdruje mnie wzrokiem z tym swoim szelmowskim uśmieszkiem.

Milczę. Mam ochotę kopnąć go w dupę i wywalić za drzwi.

– Ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Nie odpowiedziała pani.

– Proszę zerknąć w zeznania.

– Podobno, jakiś czas temu, pomiędzy panią a Martinem Grantem doszło do sprzeczki.

– I co? I z tego powodu strzelił sobie dzisiaj w łeb? – zaczynam się śmiać. – Proszę mnie nie przeceniać.

– O co poszło?

– Nawet nie pamiętam, jakieś bzdury, drobiazgi, jak to w pracy. My też czasami pracujemy w dużym stresie. Spięcia się zdarzają.

– Podobno Martin Grant chorował.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie interesowało mnie jego życie prywatne.  
– Więc zapewne nie wie pani, że kilka tygodni temu zmarła jego żona?  
– Pierwsze słyszę – oznajmiam zaskoczona, a potem widzę jego minę. – Nie wierzy mi pan.

– Przyzna pani, że trudno w to uwierzyć. Redakcja nie zajmuje wszystkich pięter w tym budynku.

– W takim razie, proszę mi zafundować badanie wariografem.

– Sugestia godna uwagi – kiwa głową.

– Przepraszam, ale jeśli to wszystko, muszę dokończyć artykuł – mówię, wbijając wzrok w ekran komputera.

– Do zobaczenia. – Detektyw wstaje i znika za drzwiami.

Niemal w tej samej sekundzie do pokoju wpada naczelny.

– O jesteś! – krzyczy w progę. – Co za koszmar! Już go zabierają, muszę wezwać kogoś, żeby to posprzątać – mówi zdenerwowany. – Zostajesz, czy ciebie też trzeba reanimować? – rozkłada bezradnie ręce.

– Zostaję. Zaraz skończę tekst.

– Dzięki Bogu! Oprócz nas jest jeszcze tylko grafik i ktoś z reklamy. Pozostała garstka się ewakuowała. Ja wszystko rozumiem – mówi podniesionym głosem, krążąc po pokoju – ale jakoś trzeba ogarnąć ten bajzel! Przecież nie zamkniemy redakcji! Jutro musi wyjść numer! Normalnie, choć sytuacja nie jest normalna! – Staje przy oknie. – Trzeba coś napisać – brzęczy pod nosem.

– Zajmę się tym.

– Naprawdę?! Dasz radę?!

– Jasne.

– Chyba zaproponuję ci awans! – rzuca, idąc w stronę drzwi. – Jedyna profesjonalna osoba w tym cholernym burdelu! – krzyczy już z korytarza.

Spoglądam na ekran komputera. Trzy rozpoczęte artykuły, same rozgrzebane sprawy. Myślałam, że jestem opanowana, że potrafię funkcjonować nie włączając emocji, ale nawet jak dla mnie, to chyba za dużo. Nadaremnie próbuję się skupić. W głowie mam pustkę. Dotarło do mnie, że żyję zupełnie obok, z dala od ludzi, z którymi przebywam na co dzień. Tutaj nie docierają redakcyjne szepty, kryjące się w kątach niewielkich pomieszczeń. Mój szczelnie zamknięty gabinet ma dźwiękoszczelne ściany i okna. Jestem tylko ja i cisza potrzebna do pracy. Nawet, kiedy idę zrobić sobie kolejną kawę, przemykam korytarzem niczym cień, niezauważalnie i tak, by nie zaprzętać myśli odgłosami z zewnątrz. Może mówili o Sarze, może martwili się równie mocno jak ja? Może powinnam była wiedzieć o kłopotach Martina? Tylko, że ja żyję w swoim świecie, w którym nie ma miejsca na prawdziwe życie. Mój świat to pustka i skrawki zdarzeń zapisane w tekstach redakcyjnego dziennika.

Co mam napisać? Coś w rodzaju nekrologu? Czy tylko zwięzłą informację

typu: właśnie pożegnaliśmy kolegę, który był tak miły i strzelił sobie w łeb w epicentrum redakcyjnym, na oczach kilku świadków, bowiem większość niestety była chora, fundując nam pełne pikanterii i krwistych fajerwerków przedstawienie.

Nadal nie wiem, jaki istotny fakt poprzedził desperacki czyn Martina. Nie miałam pojęcia, że zmarła mu żona ani, że zapewne cierpiał na głęboką depresję, choć wszystko to tłumaczyłoby długą nieobecność w pracy. Jedna z odpowiedzi znajdowała się na biurku naczelnego, na szczycie sterty wypełnionej dokumentami. Kilka wersów zapisanych drobnym drukiem z wielkim lekarskim podpisem, wiadomość, której nie mogłam rozszyfrować.

Nagle zrywam się z fotela. Jeśli mam cokolwiek napisać, muszę wiedzieć dokładnie, chyba, że szef wyrazi sprzeciw i zadowolony się zwykłym powiadomieniem, upchanym ciasno na jednej z ostatnich stron na samym dole niewielkiej kolumny.

Właściwie to tylko nasza sprawa. Samobójstwo wewnątrz redakcji. Kilku świadków, nikt obcy, a jednak na sto procent będzie przeciek. Gliny i lekarze to najcenniejsze źródło informacji i największe pape jakiego znam. Tylko patrzeć, a pojawią się żądne sensacji hieny, a potem temat na pierwszej. Nie wypada nam zbagatelizować sprawy. Odważny i niezwykle szlachetny czyn Martina zasługuje na odrobinę więcej niż tylko wzmiankę w rogu kolumny.

Niepewnie wychylam głowę. Wokół wciąż krzątają się ludzie. Ekipa policyjna zrobiła swoje i poszła, teraz ktoś musi posprzątać. Wszystkie cenne ślady można zmyć, za chwilę nikt nie będzie pamiętał. Niech żałują nieobecni i ci, którzy dowiedzą się jutro z gazety.

Dziewczyna z recepcji pewnie już tu nie wróci. Dla niej tutejsze ściany na zawsze pozostaną w kolorze ciemnej czerwieni. Grafik przeżyje, jest twardy, reszta też, chociaż mam obawy co do babki z reklamy, pewnie odchoruje. Naczelnym już udaje, że się pozbierał, bo musi. Siebie nie biorę pod uwagę.

– Mogę? – Nieśmiało zaglądam do gabinetu szefa.

– Wchodź – mruczy pod nosem. Siedzi zgarbiony, wciśnięty w miękki skórzany fotel, z obojętnym wzrokiem wbitym w podłogę.

– Co mam właściwie napisać? Trzeba chyba jakoś konkretniej zareagować...

– Taa – przerywa mi, wzdychając ciężko. – Już się do mnie dobijają. Padalce puściły farbę. Jak byśmy mieli mało problemów.

– Przez przypadek dowiedziałam się o żonie Martina.

– Chorowała, a on razem z nią.

Robię pytającą minę.

– Nie mógł się z tym pogodzić, że odejdzie. Nie potrafił się przygotować.

– Co jej było?

– Zaawansowana białaczka, nagle. Brał zwolnienie, żeby być przy niej, a sam potrzebował pomocy.

– Jak to?

– Od miesiący był pod opieką psychiatry. Zaczęło się jak tylko zachorowała. Nie dawał rady.

– Dlaczego zrobił to tutaj?

– Cholera wie – mówi zrezygnowany. – Jedno jest pewne, tkwimy w gównie po uszy, chociaż temat idealny.

– No właśnie, wracając do tematu, chyba powinniśmy ustalić priorytet. Mamy ten o napadzie i molestowanie w przedszkolu. No i teraz samobójstwo w redakcji – rozkładałam ręce, wpatrując się w naczelnego jak w wyrocznię.

– Musimy dać to na pierwszą i wielkimi, bo inaczej zjedzą nas żywcem. Mam cynk od Miriam z jedyńki. Dwa kanały wspomną na bank.

– Dobra szefie, ale muszę w skrócie opisać sytuację, nie ma wyjścia, bo wszystko zwałą na redakcję.

– Teraz to i tak już nie ma znaczenia. Pisz.

– Spadam, potrzebuję godziny.

– Na razie i przyślij do mnie grafika, jeśli jeszcze nie uciekł – burczy z przekąsem, a potem odwraca się tyłem na fotelu.

Wracam pełnym obcych ludzi korytarzem do siebie. Po drodze rzucam grafikowi hasło. Ociężale podnosi się z krzesła i idzie jak na ścięcie. Staram się nie zwracać uwagi na znikające z wykładziny plamy. Szczególnie jednej ciężko się pozbyć, jakby wsiąkła na stałe. Chyba czeka nas mały remont. Przedstawienie z demolką i Martinem w roli głównej jednak na długo zapisze się w pamięci. Nie ma to jak odejść z przytupem i fanfarami, pozostawiając mocne wrażenie i trudne do ogarnięcia pobożowisko. Cały Martin. Zawsze i wszędzie musiał narobić szumu. Nawet jeśli szło o błahe sprawy.



## **EPIZOD XIII**

Wczoraj wieczorem zadzwoniła Claire. Z ojcem jest bardzo źle. Właściwie odlicza ostatnie godziny, które i tak nie mają żadnego znaczenia, bo wciąż nie odzyskał świadomości. Zaraz po pracy pojadę do Bostonu. Powinnam wziąć dzień zwolnienia, ale w redakcji ciągły ludzki deficyt. Naczelnny odchodzi od zmysłów, a po ostatnich atrakcjach dotyka nas wzmożone zainteresowanie konkurencji. Widowisko Martina bezustannie budzi emocje i póki co nie można liczyć na spokój. Szept obija się o ściany. Teraz nawet ja go słyszę. Od dwóch tygodni nie mówi się o niczym innym. W nerwowej atmosferze i dość znacznie zredukowanej liczebności trudno o skupienie. Większość i tak łyka jakieś prochy, na stres, zmęczenie, bezsenność i senność, byleby tylko przetrwać.

Wiem, że moja dzisiejsza wizyta w bostońskiej klinice nic nie da. Równie dobrze mogłabym pożegnać ojca na cmentarzu. Ludzie wciąż wierzą w nadprzyrodzone zjawiska, w porozumienie bez barier, o którym nawet filozofom się nie śniło. Ja nie wierzę już w nic, bo cóż da wiara, jeśli świat jest skalany złem i przez wieki nic nie zdołało tego zmienić.

Głos Claire już teraz brzmiał niczym żałobny marsz. Minęło wystarczająco dużo czasu by przygotować się na pogrzeb. Wolałabym, żeby cierpiały, równie mocno, ona i jej dziecko, niewiele młodsze, niż ja wtedy, gdy odebrano mi nadzieję

na ojcowską miłość. Los bywa sprawiedliwy, potrafi zatoczyć ogromne koło i wyrównać rachunki. Mści się za krzywdy, choć szkoda, że kosztem życia.

Wracam do pracy. Od świtu tematy same się pchają, aż trudno dokonać wyboru. Wybuch przy wejściu do metra, niedaleko mojej kamienicy. Ktoś chyba podłożył ładunek pod zaparkowany samochód, bo po burzy fajerwerków z samochodu został jedynie pył. Ranny przechodzień trafił do szpitala w stanie ciężkim, aż cud, że tylko jeden. Karambol na autostradzie, zasługa porannej mgły i wojna gangów na osławionych ulicach Bronx'u. Spory materiał, z którego naczelny wybierze coś na pierwszą. Resztę też się upchnie. Niech Nowy Jork wie, że żyje.

W przerwach, pomiędzy jednym zdaniem, a drugim, wracam myślami do Sary. Ostatnio coraz częściej. Gdyby nie ona, już dawno zapomniałabym o Ricku. Może powinnam się przyznać? Przynajmniej zaczęliby szukać ciała, a nie obwiniać ją o morderstwo i ucieczkę. Z drugiej strony, nic to nie zmieni, nie wróci jej życia. Może kiedyś wyjawię prawdę, a może na zawsze niewyjaśnione okoliczności śmierci Goldmana, pozostaną tylko tajemnicą.

Chyba jeszcze nie czas na wywieszenie białej flagi. Prędzej czy później i tak po mnie przyjdą. „Porucznik Colombo” tego dopilnuje. Jestem pewna.

Znowu Claire. Czyżbym nie miała po co jechać do Bostonu?

– Słucham – nie potrafię ukryć rozdrażnienia na samą myśl o niej.

– To koniec – bełkocze mało wyraźnie.

– Jak to koniec? – staram się opanować emocje.

– Już go odłączyli.

Długa cisza. Milknę, jakbym na moment zawisła w próżni. Niby rozumiem, co powiedziała, niby byłam na to przygotowana, a jednak czuję trudny do zdefiniowania skurcz wnętrza, a potem falę gorąca, która przepływa przez ciało z siłą tornada, pozbawiając mnie powietrza. Zaczynam się dusić. Zabawnie przedziwna reakcja organizmu na wiadomość bez obrazu. Nawet widok dzieła „Rzeźnika” nie dokonał takiego spustoszenia.

– Rozumiem – mówię zdławionym głosem, próbując się nie zakrztusić.

– Trzeba załatwić formalności.

– Mam przyjechać?

– Nie, nie... ja się wszystkim zajmę – jej głos jest przygaszony.

– Gdyby coś, dzwoń.

Słyszę, jak się rozłącza. Wciąż nie mogę swobodnie oddychać. Serce wali mi w piersiach, jakby musiało przepchnąć hektolitry krwi w jedną setną sekundy. A więc jednak. Rodzaj innego bólu niż ten, który czułam jako dziecko, kiedy zabrakło mamy, kiedy uświadomiłam sobie, że nigdy nie wróci. Innego, niż kiedy pojawiła się Claire. A jednak jest. Ból trudny do opisanego, bo jak można opisać coś, co się czuje, gdy traci się ojca po raz drugi. Bezpowrotnie.

Muszę dokończyć tekst. Tak będzie najlepiej. Oderwać myśli, skierować na

inny tor, oddychać, jakby nic się nie stało. Nic się nie stało. Nic. Moje życie to nadal pustka, tylko teraz trochę większa. Nie miałam pojęcia, że aż tak mi go brakowało. Że był.

– Masz coś? – grafik wsadza swój łysy łeb. – Stary nabuzowany jakby się nażarł szaleju.

– Chwila – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Chora jesteś? – pyta, ładując się do środka.

– Powiedziałam, chwila.

– Błada jak trup – staje nade mną wlepiając oczy. – Oby nie zaraza jaka, u ciebie to możliwe – próbuje żartować.

– Wypad!

– No nie, chyba jednak po staremu – macha ręką i kieruje się z powrotem w stronę drzwi. – Pośpiesz się, bo obojgu nam się oberwie.

Wybucham płaczem zaraz po tym, jak zamykają się za nim drzwi. Wiem, że słyszy. Stoi tam i robi idiotyczną minę popisując się przed resztą. Wszyscy słyszą, ale nikt nie ma odwagi zapytać.

Żałuję, że nie powiedziałam ojcu, nie pozwoliłam zrozumieć. Odszedł nieświadomy piekła, przez które przeszłam, na które mnie skazał, spełniając pragnienia Claire. Nie dałam mu szansy, a powinien był wiedzieć, dlaczego nie potrafię mu wybaczyć.

Głośny płacz zmienia się w przeraźliwy krzyk, jakby nie mój, jakby z wewnątrz próbowała się wydostać obca istota. Nie wiem, co się dzieje. Nie potrafię nad tym zapanować. Rzucam się w stronę drzwi, szybkim ruchem przekręcam klucz. Nie chcę, by ktokolwiek zobaczył mnie w tym stanie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz płakałam. Może wtedy w internacie. Prawie dwadzieścia lat skrywanych łez. To chyba dużo. Pękło, niczym nabrzmiały balon wypełniony nadmiarem cieczy. Potok żalu, który od lat drąży we mnie korytarze.

Ktoś dobija się do drzwi, coraz bardziej natarczywie. To jakiś koszmar. Muszę stąd wyjść, uciec, natychmiast. W pośpiechu wyłączam komputer i zbieram rzeczy. Ocierając łzy i resztki makijażu ponownie przekręcam klucz. Przepycham się między zaskoczonym grafikiem, a naczelnym.

– Przepraszam, ale właśnie umarł mi ojciec – mówię idąc w stronę windy. – Muszę iść.

Kątem oka widzę ich miny. Wiem, co myślą. Nie wiedzieli, że miałam ojca, że miałam kogokolwiek. Nic o mnie nie wiedzą.

Dwadzieścia dwa piętra. Mam czas, by na chwilę oprzeć rozpalone czoło o błyszczące lustro. Zostanie plama. Czuję się potwornie, chyba nigdy nie było tak źle. Jest mi głupio za skowyt w redakcji, wstyd za kompletnie nieprofesjonalne zachowanie, ale nie mogłam nic zrobić, jakby wszystko działo się poza mną.

W biegu opuszczam budynek, wzbudzając zainteresowanie ochrony. Łapczywie chłonę zanieczyszczone nowojorskie powietrze, próbując wypełnić na zapas płuca. Powinnam wrócić. Szef się wścieknie i mnie wywali, albo co gorsze, uraczy stanowiskiem gońca.

Cóż za pech, że stało się to właśnie teraz. Ojciec nie mógł wybrać lepszej pory? Gdyby Claire zadzwoniła wieczorem, co najwyżej miałabym mokrą poduszkę. Powrót na górę chyba jednak nie ma sensu. Może nie wszyscy są tacy jak ja, może potrafią zrozumieć. Mimo tego, nie mam pojęcia, jak jutro spojrzę im w oczy.

Powolnym krokiem sunę w stronę najbliższej stacji metra. Czekam mnie podróż bez celu, nie przydam się w Bostonie, bo pewnie ojciec już leży w chłodni, albo jest w drodze do krematorium. Znając szybkość i skuteczność działania zaradnej Claire, pewnie nie mam się o co martwić. A może jestem zbyt surowa? Przez mój mało życzliwy osąd przemawia nienawiść? Mało istotne. Nie zamierzam się zmieniać w cudownie nawróconą siostrę miłosierdzia. Claire zasłużyła sobie na wszystko za wyjątkiem mojego ojca i jego okazałej fortuny. Pewnie już dawno zadbała o to, by zgarnąć krocie. Przebiegła suka.

Schodzę na peron, nie do końca kontrolując sytuację. Myśli przenoszą mnie gdzieś indziej. Znowu leżę skulona pod cienką kołdrą na twardym łóżku ciemnego, internatowego pokoju. Wsłuchuję się w dźwięki dochodzące z korytarza, w oczekiwaniu na kolejny wyrok. Sekundy wydłużają się w minuty, minuty w wieczność, czas spowalnia, powoduje szybsze bicie serca, ból wnętrza, przyspieszony, płytki oddech, strach. Czuję, jak niewielkie krople potu spływają mi po skroniach, w uszach dźwięczą słowa odliczanki, zaraz się zacnie, jak co noc, kiedy tylko usłyszę jego kroki. Zaczynam się dławić, tłumię w sobie krzyk, muszę zdusić go wewnątrz, zamknąć w szarej metalowej skrzyni, którą ukrywam w głowie. Cisza, tylko cisza mnie uratuje. Zamknąć oczy, z całych sił zacisnąć powieki, tak by nie patrzeć, nic nie widzieć. Tego nie ma, to tylko zły sen, to nie dzieje się naprawdę. Obudzę się tylko na chwilę, a potem spokojnie zasnę, kiedy już sobie pójdzie.

– Los mi sprzyja – słyszę za sobą męski głos, a potem czuję ucisk na przedramieniu. – Niesamowite, że się znowu spotykamy.

Powoli odwracam się na pięcie, próbując uwolnić od natrętnej ręki.

– Serio? – pytam, widząc koleśka, który wywlókł mnie z tłumu i uratował telefon. – A cóż w tym niesamowitego?

– Dla mnie jest – uśmiecha się głupkowato znowu łapiąc mnie za rękaw.

– To taki nawyk? – pytam zerkając na jego dłoń zacisniętą na mojej marynarce.

– Przepraszam – mówi skruszony i odsuwa rękę.

- Sorry, ale nie lubię się spoufalać, zwłaszcza z nieznanymi.
- Przepraszam – powtarza.
- Dobra, przyjęte, a teraz muszę lecieć.
- Poczekaj, może pogadamy?
- Niby o czym? – marszczę czoło.
- O studiach, pracy?
- Jakoś mnie nie przekonałeś.
- Robimy w tej samej branży, moglibyśmy wymienić doświadczenia, albo ustalić plan na przyszłość? – pyta z niepewną miną.
- Plan na przyszłość? – Wybucham śmiechem. – Nie potrzebuję pomocy. Jakoś sobie radzę.
- No wiesz...
- Nie wiem – przerywam mu. – Nie mam czasu. Cześć – rzucam na pożegnanie i wskakuję w pierwsze lepsze drzwi przepełnionego wagonu.
- Zły dzień? – słyszę po chwili tuż nad głową.
- Słuchaj koleś, jako dziennikarz powinieneś raczej rozumieć, co się do ciebie mówi – warczę wkurzona. – Zawodowa upierdliwość też cię nie tłumaczy.
- Daj się namówić na drinka. Potem dam ci spokój.
- Naprawdę mnie to nie bawi – wbijam w niego wściekły wzrok. – Możesz już sobie pójść?
- Proszę – rzuca błagalne spojrzenie.
- Nie reaguję. Odwracam się tyłem bez słowa, próbując precyzyjnie się do przodu. Czuję na plecach jego oddech. Idzie za mną, krok w krok. Jeszcze sekunda i puszcza mi nerwy, nad którymi z trudem staram się panować. Zbyt wielu świadków, chociaż w tym tłumie może nikt nie zauważy, jeśli uduszę go własnymi rękami. Jaka szkoda, że nie mam w torebce noża, chyba od jutra zacznę nosić. Jak widać, jakakolwiek broń w tym mieście bywa niezbędna. Dopiero teraz zaczynam to rozumieć.
- Słuchaj no. – Odwracam się nagle.
- Jeremy. – Patrzy na mnie z miną idioty. – Jeremy McCormick.
- Dobrze, McCormick, powiem to powoli i tak, żebyś usłyszał, odpiędoł się, ok? – Staram się zachować spokój, ale czuję, jak cała gotuję się w środku.
- Jeden drink, o nic więcej nie proszę – nie daję za wygraną.
- Jeszcze sekunda i dzwonię po gliny!
- Przepraszam, zależy mi na tym, wcześniej nie miałem śmiałości podejść.
- Łazisz za mną?! – wrzeszczę, próbując zabić go wzrokiem i skupiając na sobie spojrzenia tłumu.
- Nie, nie... to nie tak – zaczyna się jąkać.
- Wsiadam!
- Poczekaj, proszę!

– Wal się, psycholu! – W pośpiechu opuszczam wagon na najbliższej stacji.

Szybkim krokiem ruszam w stronę wyjścia. Na szczycie schodów łapię oddech, dopiero teraz się odwracam. Nie ma go. Kolejny koszmar dzisiejszego dnia. Mam nadzieję, że nie będzie mi deptał po piętach, jak ostatnio. To musiał być on. Czułam, że coś jest nie tak, że ktoś za mną łązi. Czy ja zawsze muszę przyciągać świrów? Jak mam uwielbiać życie, skoro od początku skazuje mnie na taką dolę?

Jakimś cudem znowu jestem w dzielnicy slumsów, po przeciwnej stronie, lata świetlne od Brooklynu. Psychol McCormick sprawił, że obrałam zły kierunek. Nawet nie będę się tu pchała. Miejsce podobne, jak wtedy w nocy, kiedy pozbywałam się dowodów. Wracam do siebie. Ivo przygarnie mnie z otwartymi ramionami. Najwyższy czas się znieczulić po atrakcjach dnia. Wieczorem zadzwonię do Claire. Zapytam, czy już pozbyła się ciała.

Schodzę na dół, jakbym się skradała. Mam wrażenie, że świr czai się za rogiem, że za chwilę znowu złapie mnie za ramię. To chore. Przecież nie mogę teraz zacząć się bać, dać się zastraszyć jakiejś nędznej dziennikarzyni, nie po tym wszystkim.

Chyba czysto, jednak coś do niego dotarło. Mimo tego, czuję się nieswojo. On nie zniknie. Nie odpuści tak łatwo. Widziałam to w przenikliwym, przymrużonym spojrzeniu. Szkoda, że nie wie na co mnie stać, czyj los podzieli, jeśli ponownie zacznie wchodzić mi w drogę.

Bezmyślnie błąkam się po peronie. Na moment tylko zerkam na tablicę, jakbym chciała się upewnić, że wsiądę w odpowiedni pociąg. Jeszcze minuta, trzydzieści sekund, tylko tyle dzieli mnie od wybawienia. Dlaczego wciąż czuję na sobie jego spojrzenie, niemal słyszę oddech. Jakbym cofnęła się do czasów szkoły, znowu wysłuchiwała kroków. McCormick to zły cień, który nie wiadomo z jakich powodów, nagle pojawił się tuż obok. Mam niedobre przeczucia, niestety.

Zajmuję wolne miejsce w niezbyt przepelnionym przedziale. Niepewnie rozglądam się wokół. Czuję ulgę, kiedy wreszcie zamykają się drzwi, chociaż wiem, że to nic nie da, że tylko na chwilę, bo na następnej stacji znowu się otworzą. Filtruję wzrokiem wszystkich wsiadających, nerwowo badam przestrzeń peronu zza przybrudzonego okna. Jak to możliwe, że jednak udało mu się mnie zastraszyć? A może to wcale nie jego wina? Może po prostu zaczyna gryźć mnie sumienie? Teraz, po śmierci ojca, kiedy pustka to gigantyczna czarna otchłań. Odciełam się, ale on zawsze gdzieś tam był. Nie miałam pojęcia, że ta świadomość poniekąd dodawała mi sił, była moim zabezpieczeniem. Potwornie się czuję. Jakby ktoś obdarł moje ciało z warstwy ochronnej, wyssał moc. Jestem zagubiona, chyba zdezorientowana. Czy ja, to jeszcze ja? Czy zupełnie ktoś inny?

Droga, którą znam na pamięć. Mogłabym kroczyć nią w ciemności z zawiązanymi oczami. Pełna detali utrwalonych na stałe. Szlak do baru. Przez szybę

widzę, że jest pusto, zupełnie inaczej niż ostatnio. Ivo siedzi przy stoliku, pochylony nad książką. W tle słychać ciche dźwięki bluesa. Jest jakoś inaczej, przyjemniej. Dobrze, że przyszłam.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – mówię szeptem, pewna, że nie zauważył, kiedy weszłam.

– O, to ty – podnosi głowę. – Nie, jasne, super, fajnie, że wpadłaś – oznajmia zamyślony, jakby wciąż nie kojarzył.

– Co cię tak pochłonęło?

– Dostojewski – wzdycha, zamykając pokaźny tom.

– Ciężki kaliber.

– Próbuję nadrobić zaległości.

– Ambitnie – siadam naprzeciwko. – Co tu tak pusto?

– Po prostu wcześniej. A ciebie co, zwolnili?

– Nie wiem – wzruszam ramionami. – Być może, jutro się okaże.

Powiedzmy, że zdezerterowałam.

– Nieładnie. Samowolne opuszczenie stanowiska pracy grozi poważnymi konsekwencjami – stwierdza z udawaną troską. – Pewnie chciałabyś to oblać?

– Jak zwykle czytasz w moich myślach.

Ivo wstaje od stołu i znika za barem.

– To, co zawsze? – krzyczy odwrócony tyłem.

– Obojętnie. Cokolwiek.

Przyglądam się grubej, oprawionej szorstkim brązowym materiałem okładce. Jest piękna. Opuszkami palców delikatnie przesuwam po krawędzi. Unikatowy egzemplarz. Nigdy takiego nie widziałam.

– Skąd to masz? – pytam, kiedy Ivo przynosi drinki.

– Dostałem – robi tajemniczą minę.

– Serio? – zerkam na niego podejrzliwie. – Kto aż tak cię docenił? Niezła sztuka. Musiała kosztować fortunę.

– Przychodzi tu taki jeden.

– A już myślałam, że Lisa.

– Daj spokój – wzdryga się. – Nie było tematu.

– Co? – parskam śmiechem.

– Pomyłki się przecież zdarzają.

– Oczywiście – uśmiecham się kącikiem ust.

– No co?

– Nic – wzruszam ramionami. – Po prostu miałam nadzieję, że w końcu będziesz szczęśliwy.

– Widać, taka karma.

– To co z tym gościem? – spoglądam na książkę.

– Od jakiegoś czasu stały klient. Rosjanin. Kiedyś zabalowaliśmy we dwójkę

do rana. Zabrakło mu kasy, a ja postawiłem następną kolejkę...

– I w zamian odwdzińczył się bezcennym dziełem? – wchodzi mu w słowo.

– Nie od razu. Zaprzyjaźniliśmy się.

– Uważaj Ivo. Coś mi tu śmierdzi. Jest sam? – badam go wzrokiem. – Może po prostu ma na ciebie chrapkę?

Milknie na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie – kręci głową. – Nie wydaje mi się. Właściwie, nie wpadłem na to.

– Tylko drobna sugestia, tak na wszelki wypadek – przechylam szkło. – Fajny z ciebie kasek, więc i bogaty Rosjanin może się skusić. Zresztą, kto jak kto, ale ty powinieneś wyczuć od razu, przecież jesteś barmanem, nie byle jakim, z wieloletnim doświadczeniem.

– No właśnie. Nie wyczułem podtekstu. Może ta cała jazda z Lisą trochę mnie uśpiła? – pyta sam siebie. – Pożyjemy, zobaczymy, ale będę miał to na uwadze. W razie czego, przeczytam, a potem oddam książkę – zaczyna się śmiać. – A co u ciebie? Wczesne popołudnie w środku tygodnia to nie jest wymarzona pora na drinka – mruży oczy, świdrując mnie spojrzeniem.

– Łazi za mną jakiś palant.

– To powód, dla którego związałaś z roboty?

– Nie. Ale ten dupek działa mi na nerwy.

– Znasz go?

– Podobno ze studiów. Tak twierdzi, ale ja go nie pamiętam. Przyczepił się jak rzep. Nalej mi jeszcze – podsuwam mu szklankę. – Muszę ochłonać.

– Nie musisz się tłumaczyć. Znam cię. I bez powodu lubisz sobie chlapanąć – puszcza mi oko, a potem zabiera szklanki i wraca za bar.

– Pamiętasz sprawę Mirandy Lesley?

– Coś obito mi się o uszy. To ta laska zaciukana na Upper?

– Ta sama.

– I? – pyta, siadając z powrotem przy stole.

– Wtedy się pojawił. Wyciągnął mnie z samego kotła, uratował telefon... teraz myślę, że to nie był przypadek.

– Kiedy to było? – robi dziwną minę.

– Nie wiem, jakiś miesiąc temu?

Ivo wypija niewielkiego łyčka. Wygląda jakby intensywnie nad czymś myślał.

– Nie wiem, czy ma to jakiś związek, ale jakiś czas temu wypytywał ktoś o ciebie. I nie był to pies tym razem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – cedzę z wyrzutem, prawie krztusząc się zbyt zachłannym łykiem.

– Nie miałem pojęcia, że to takie ważne – podnosi głos. – Zresztą, ostatnio rzadko wpadasz, do pracy nie pozwalasz dzwonić, cholera wie, co i gdzie



porabiasz. Nie chciałem przeszkadzać.

– Jasne.

– Przecież nie wiadomo, czy to ten sam.

– Opisz.

– Wysoki, chyba blondyn, takie jakby dłuższe włosy... w cienkim, jasnym prochowcu, elegancki – przerywa na chwilę. – Ale fakt, dziwnie mu z gęby patrzy.

– Ten sam – czuję skurcz żołądka. – O co dokładnie pytał?

– O ciebie. Tak od razu z grubej rury, czy nie wiem, kiedy wpadniesz.

– Co powiedziałeś?

– Że nie wiem.

– Cholera! Powinnam zadzwonić na policję. Ten świr pewnie wie, gdzie mieszkam. Był tylko raz?

– Tak. Nawet nie wypił piwa, zapytał i polazł. Myślałem, że to jakiś twój znajomy, że się umówiliście, czy coś? – mówi zmieszany.

– Znajomy – parskam z kpiną.

– Ty to masz szczęście. Zawsze się w coś wpakujesz.

Drzwi do baru otwierają się z impetem. Dwóch lekko zawianych gości ładuje się do stolika obok. Znam ich. Mieszkają w okolicy. Często tu zaglądają, ale nigdy nie widziałam ich tak wcześnie. Ivo kiwa porozumiewawczo głową, a potem wstaje.

– To co zawsze? – pyta, poklepując jednego po plecach.

– Ma się rozumieć – facet bełkocze mało wyraźnie. – Dwa razy, kierownik.

Wyciągam z kieszeni marynarki telefon. Żadnych połączeń i wiadomości. Czyżby aż tak zatkało naczelnego? A może już spisał mnie na straty? Claire też się nie odzywa. Pewnie krąży między prawnikiem, szpitalem, a domem pogrzebowym. Na razie nie będę jej przeszkadzać. Zawsze drażnił mnie dźwięk jej piskliwego głosu. Mogę go znosić rzadko, tylko w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Poza tym, nie mam zamiaru dokładać sobie problemów. Moje nerwy na dzisiaj są wystarczająco skolatanne.

Nie pisałam słowa o śmierci ojca. Jakby jakiś McCormick był ważniejszy. Ivo pewnie nie wie, że go w ogóle miałam. Podobnie jak wszyscy. Znowu zaczynam się bać. Ogarnia mnie strach na samą myśl o powrocie do domu. Powinnam zaopatrzyć się w spluwę, albo przynajmniej zapas gazu pieprzowego. Może pójść na kurs samoobrony? Tylko po co? Przecież wiem, jak to się robi. Wiem, jak pozbyć się natrętnego faceta. Ciekawe, ile razy trzeba zabić, by dojść do wprawy? Po jakim czasie morderstwo staje się zwykłą rutyną?

– Pójdę już – mówię do Iva, kiedy wraca do stolika.

Za sobą słyszę radosne mlaskanie i odgłos wypijanego w pośpiechu piwa.

– Mogę jakoś pomóc? – pyta troskliwie. – Jakby co, wiesz gdzie mnie szukać.

– Dzięki. – Kładę na stole dychę, zabieram manatki i opuszczam bar.

Pusta uliczka za dnia i w nocy. Tutaj nigdy nic się nie dzieje. Mimo tego, nie mogę pozbyć się wrażenia, że on gdzieś tu jest, że nagle wyłoni się zza rogu. Ja, która igra z życiem? Zaczynam się zastanawiać, czy czasami ono nie igra ze mną.

Zbliża się wieczór, a wciąż jest jasno. Dobrze, że już wiosna, że wiatr przynosi powiew świeżości i złudzenie szczęścia. Optymistyczna wersja egzystencji. Nie muszę się jej doszukiwać. Moje życie i tak nic nie znaczy, jest tylko niepotrzebną wegetacją.

Niespiesznie mijam kolejne przecznice. Lęk nie przestaje mi towarzyszyć. A może wcale nie ma on związku z pojawieniem się McCormicka? Może na gwałt potrzebuję terapii?

Z daleka widzę przybrudzone okna mojej kamienicy. Nikt z lokatorów nie zabrał się za wiosenne porządki. Nie chcą przegrywać walki z deszczem, który za każdym razem, uderzając o metalowy parapet, niweczy misternie wykonane dzieło. Wokół wciąż pustka, jakby wszyscy wymarli, albo zamienili Brooklyn na inną dzielnicę.

Powoli skradam się po schodach. Jest taka cisza. Słyszę tylko odgłos swoich kroków i przyspieszony oddech.

Głośny dźwięk dzwonka telefonu nagle wrywa mnie z rozmyślań. To Claire. Krótka rozmowa, właściwie żadna, tylko jedno piskliwe pytanie, czy przyjadę. A powinnam? Ojca i tak już nie ma, już wysłała go w zaświaty. Teraz chodzi tylko o pieniądze, majątek, którym Claire nie chciałaby się dzielić. Wyznaczyli termin pogrzebu. Za pięć dni, wcześniej się nie dało, a pewnie oplakująca żona wolałaby wcześniej, wolałaby mieć to z głowy.

Słucham swoich myśli i nie dowierzam. Jak łatwo jest oceniać ludzi, zarzucić wszystko, co najgorsze. Skąd we mnie tyle jadu? Skutek prawie tysiąca i dziewięćdziesięciu pięciu nocy, które przecierpiałam w ciemnym pokoju za zamkniętymi drzwiami? Czy może słuszny osąd?

Pojutrze się z nią spotkam. Obiecałam, choć nie mam najmniejszej ochoty. W piątek po pracy pojadę do Bostonu. Ona wciąż tam jest. Czeka na termin w krematorium. W sobotę w południe z ojca zostanie już tylko proch. Pogrzeb jest w poniedziałek, w rodzinnym Charleston, w Południowej Karolinie.

W przedpokoju rzucam torbę i kieruję się prosto do sypialni. Ociężale opadam na łóżko. Nawet nie mam siły uchylić okna, choć w mieszkaniu nie da się oddychać. Marzę, by zasnąć i już się nie obudzić, więc dlaczego tego nie zrobię? Na co wciąż czekam, co takiego trzyma mnie przy życiu? Chciałabym zrozumieć.

Telefon brzęczy na poduszce. Za oknem już dawno noc, tylko światło starej latarni pozostawia delikatną smugę na ścianie ginącego w mroku pokoju. Ospale zerkam na ekran. Ivo dobija się po raz trzeci. Musiałam spać jak zabita.

- Halo? – odzywam się zachrypniętym głosem.
- On tu był.
- Kto?
- Blondyn w prochowcu – mówi podniesionym tonem.
- Kiedy?
- Godzinę temu. Ale już nie pytał, tylko się rozejrzał i zniknął. Gdzie jesteś?
- Spałam.
- I co teraz?
- Nie wiem Ivo. Nie panikuj. Zastawię drzwi szafą, nabiję broń i przesiedzę noc w fotelu – próbuję żartować.
- Jakby co, dzwoń.
- Jasne.
- Będę dzisiaj trochę dłużej, jest sporo ludzi. Chcesz, żebym potem wpadł?
- Nie trzeba. Jedź do domu i odpocznij. Gdyby coś się działo, na pewno się odezwę. Pa.
- Pa.

Odkładam telefon z powrotem na poduszkę. Zwlekam się z łóżka i podchodzę do okna. Pusto, jak zawsze. Pozorny spokój i porządek. Opuszczam rolety, zapalam światło i cicho skradam się do drzwi w przedpokoju. Zerkam przez dziurkę, potem upewniam się, że są zamknięte. Czuję znajomy ucisk w żołądku, jak wtedy, wieki temu. To jakiś koszmar. Dlaczego wraca? Czyżbym znowu była skazana na odliczanie zbliżających się kroków?

Idę do kuchni. Mocna kawa i butelka burbona. Wszystko, czego mi trzeba. Włączam elektryczny czajnik, ze zlewu wyciągam opłukaną filiżankę, z szafki nad lodówką rozpocząłem butelkę. To będzie długa noc.

## **EPIZOD XIV**

Pogrzeb ojca odbył się bez fajerwerków, w ciszy, spokoju i nieco wzniosłej atmosferze. Garstka rodziny i tłum znajomych, tych z życia i pracy. Zza ciemnych okularów wertowałam wrogie spojrzenia, zwłaszcza kilku nawiedzonych ciotek, dla których świętością jest kościół, pozory i pełna hipokryzji, obłędna mistyfikacja rzekomo udanego życia. One już dawno poddały mnie ocenie, której nawet prawda pod przysięgą nie byłaby w stanie zmienić. Liczy się tylko iluzja, pięknie podana gestem i słowem. Światem od zawsze rządzi błędny osąd. Należę do grona tych wyrodných, które bez cienia skrupułów porzuciły kochającego ojca i równie

kochającą macochę, podczas gdy oni chcieli jak najlepiej, mieli na względzie tylko i wyłącznie moje szeroko pojęte dobro. Odwróciłam się od rodziny, uciekłam, przez lata sprytnie zacierając ślady. Jestem zła i wyklęta, a wszystko dlatego, że nigdy nie próbowałam się skarżyć.

Claire wygłosiła mowę. Pożegnała ojca jak przystało na pogrążoną w żalobie i zrozpaczoną po śmierci wdowę. Misternie przygotowane przedstawienie niemal zakończone owacjami na stojąco, gdyby tylko okazja była inna. Patrzyłam na nią i nie mogłam wyjść z podziwu. Nie wiem, czy więcej trzeba mieć szczęścia czy sprytu, by idealnie zaplanować życie, a może Claire znalazła przepis? Może postępuje zgodnie z zawartymi w nim wskazówkami? Jako jedna z nielicznych posiada receptę na wyjątkowy i pomyślny byt.

Spotkałyśmy się w piątek przed pogrzebem. Pojechałam od razu po pracy. Okazało się, że nie zostałam zwolniona ani oddelegowana na niższe stanowisko. Naczelný chyba darzy mnie sympatią, a może ma więcej zrozumienia niż myślałam.

Ciemne, przygnębiające wnętrze kancelarii notarialnej, w której odczytano testament, przywołało gorzkie wspomnienia, a potem wywołało poczucie ogromnego żalu. Ojciec podzielił majątek lata temu, wkrótce po tym jak pojawiła się Claire i po tym, jak spisałam go na straty. Teraz wiem, że nigdy nie przestał mnie kochać. Skazałam go na życie w niewiedzy i w permanentnym poczuciu winy do samego końca. Nie dałam nam szansy. Kolejne brzemię, które muszę udźwignąć, mimo że moje wnętrze to już kupa gruzu, tona rozbitych skał i kamieni.

Dostałam ponad połowę, niby więcej niż ona, ale to przecież kompletnie bez znaczenia, pieniądze bez wartości. Chciałabym cofnąć czas. Niech Claire zabiera wszystko, do ostatniego miedzianego centa, byleby tylko wrócił i mnie wysłuchał.

Czasu nie można cofnąć, ubiec czy oszukać. Czas nie bywa łaskawy. Popełniłam wielki błąd, nie pierwszy, nie jedyny, nie ostatni, lecz najgorszy z możliwych, którego w żaden sposób nie da się naprawić. Dopiero teraz czuję, że wraz z odejściem ojca straciłam wszystko.

Na chwilę zapomniałam o natrętnym McCormicku. Usunął się w cień, ale podświadomość bije na alarm, ostrzega, by nie dać się zwieść pozorom.

Jeszcze przedwczoraj byłam w Charleston. Spacerowałam starymi uliczkami rodzinnego miasta, w którym pustka zatarła wspomnienia. Teraz to dom Claire i jej córki, ich miejsce na ziemi, które otrzymały w ramach godziwej zapłaty za miłość.

Nie mam żalu. Już nie. Nawet nie pamiętam, jak ma na imię ta mała, moja przyrodnia siostra. Ojciec wiedział, że tam nie wrócę, podjął słuszną decyzję.

Otrzymałam wystarczająco dużo. Niebawem fortuna zasili moje konto. Starczy na nowy apartament w nie najgorszej dzielnicy, choć nie jestem pewna, czy chce cokolwiek zmieniać, czy ten magiczny przelew odmieni moje życie?

Ślęcę nad tekstem, jak zwykle o tej porze. Dochodzi południe, czas na

podjęcie ostatecznej decyzji co do tematu na artykuł, krótką przerwę i kolejną mocną kawę.

W redakcji znowu spora frekwencja. Wszystko wraca do normy. Nie trzeba pisać na zapas, dwoić się i troić by nadgonić czas.

Po powrocie otrzymałam mnóstwo słów pocieszenia, morze współczucia i pełnych patosu kondolencji. Obym nigdy więcej nie była skazana na podobne katusze. Wciąż mi głupio po ostatniej hysterii, po tym, jak zrobiłam z siebie idiotkę i obnażyłam przed światem. Czuję na sobie niektóre spojrzenia, palą jak żar, pozostawiając znamię. Po redakcyjnych kątach chowa się szept. Udaję, że go nie słyszę, przecież zawsze tak robię. Może wkrótce wydarzy się coś, co pozwoli im zapomnieć.

Ważne, że w gabinecie panuje cisza. Wystarczy się tu zamknąć, by ucichły szepty, zniknęły spojrzenia, a świat za drzwiami przestał na moment istnieć.

Dwa tematy do wyboru i żaden nie jest ciekawy. Sprawy jakich milion w tym mieście, codzienna szara nowojorska rzeczywistość obnażona przez światło poranka. Morderstwa, kradzieże, gwałty, przekręty finansowe, pobicia, uprowadzenia, tajemnicze zniknięcia, ataki terrorystyczne, samobójstwa w imię religii i z powodu smutku, podpalenia, wojny narkotykowe, wyłudzenia, handel żywym towarem, korupcja i nikt nie wymyślił nic nowego. Dzisiaj trudno czymkolwiek zaskoczyć. Świat widział i słyszał już wszystko, ogrom zła ma podany na talerzu wraz ze śniadaniem, tuż obok soku z pomarańczy i jajek na bekonie.

Kończę tekst o wypadku szkolnego autobusu w drodze na wycieczkę do parku wodnego. Ktoś zawinił, bo zapomniał o przeglądzie, nikt z opiekunów nie wezwał tym razem policji na czas, pech czy uśpiona czujność? Na szczęście bądź nie, niewiele się stało. Oprócz rannej nauczycielki i kilku zadrapań, obeszło się bez strat ludzkich. Ucierpiał przewoźnik. Nie dość, że bok furgonetki niemal wydarła barierka, to jeszcze czeka go zaciekły bój o dobre imię, którego raczej nie wygra. W tym przypadku nie ma innego winnego, spada na niego cała odpowiedzialność. Jedno niedopatrzenie i koniec. Już po nim. Może zacząć zwijać interes. Poobijane dzieciaki są w szoku, a wściekli rodzice toczą pianę i nie odpuszczają. Odszkodowania, proces i kara zepchną go na samo dno. Nawet z układami, w tym mieście nie ma szans. Narażenie na utratę zdrowia lub życia rozkrzyczanej bandy kilkudziesięciu ośmioletnich uczniów prywatnej szkoły jest niczym zamach na głowę państwa.

Drugi temat to kilka trupów, upchanych w szafie niczym sardynki w puszcze, w zatęchłym opuszczonym magazynie w najciemniejszej dzielnicy Nowego Jorku. Zaprzeszczone porachunki ciemnoskórych obywateli bez prawa pobytu. Ciała w całkowitym rozkładzie. Jeszcze moment, a nie byłoby co zbierać. Przynajmniej robaki miały ucztę. Wciąż nie wiadomo, skąd dokładnie przybyli i ile czasu

spędzili w Stanach, zanim ktoś roztrzaskał im głowy.

Telefon wibruje wciśnięty głęboko w dziurawą kieszeń pełnej niepotrzebnych drobiazgów torby. Nie zdążyłam go wyjąć. Dzwonek cichnie zanim udaje mi się wydobyć aparat. Numer nieznany. Może nic ważnego, a może ktoś spróbuje raz jeszcze.

Przegapiłam moment na kawę. Czuję, że zaczynam się przewracać. Niedobór kofeiny prowadzi do zagłady, zwłaszcza tutaj w redakcji. Wkładam telefon do kieszeni spodni, dokonuję krótkich oględzin biurka i jak kot wymykam się z pokoju. Odkąd Martin nas pożegnał, funkcjonuję nieco spokojniej i nie barykaduję drzwi. Zapomniałam co znaczy nosić klucz wiecznie przy sobie. Niezauważona przemykam przez główne centrum, potem sunę wąskim korytarzem prosto do niewielkiego pomieszczenia, pełniącego funkcję redakcyjnej kuchni. Nikt nawet nie podniósł głowy, nie wychylił zza ekranu komputera. Rzadko widuje się aż takie skupienie.

Włączam ekspres i bezmyślnie spoglądam na ścianę pełną kolorowych wycinków. Od ponad pół roku tworzymy mozaikę. Pomysł kogoś z reklamy. Tylko barwne jasne obrazki, wesołe dla miłej odmiany, które z czasem mają ułożyć się w całość. Efekt końcowy pozostaje wielką niewiadomą.

Biorę kubek, z którego unosi się para, wypełniając pomieszczenie intensywnym aromatem. Siadam przy stoliku. Ponowny dźwięk dzwonka telefonu przerywa błogą ciszę.

- Słucham? – pytam, biorąc łąpczywie łyka i parząc sobie usta.
- Czekam na rogu, tam gdzie ostatnio – odzywa się chrapliwy głos.
- Kto mówi?
- Bądź za pięć minut.
- Pali się? – parskam z drwiną, rozpoznając informatora.
- To będzie kosztowna przysługa.
- Umieram z ciekawości.
- Mam nadzieję, że już jesteś w drodze – oznajmia rozkazującym tonem i się rozłącza.

Iść, czy nie iść? Oto jest pytanie. Właśnie zrobiłam sobie kawę. Nawet nie zdążę jej wypić. Poza tym, na dzisiaj mam prawie gotowy materiał. Myśli prześcigają się w głowie, a cenne sekundy uciekają, pozostawiając coraz mniej czasu.

Nagle zrywam się z krzesła. Nie dzwoniłby, gdyby nie było warto. Nie on. Jak szalona rzucam się biegiem w stronę biura, łapię torbę i pędzę do windy. Potem w lewo szóstą w stronę metra. Po drodze próbuję sobie przypomnieć dokładne miejsce ostatniego spotkania. Chyba chodzi mu o peron, tam gdzie mnie złapał, kiedy wracałam z Upper East Side. Trudno, najwyżej nie zdążę, albo pomylę stacje.

Jeden przystanek i będę na miejscu. Tuż przed zejściem na dół, ktoś szarpie mnie za rękaw. Tylko jedna osoba przychodzi mi na myśl. Odwracam się, próbując wymierzyć atak. To nie McCormick, na szczęście. „Bezimienny” informator ma minę jak zwykle, niezbyt zadowoloną.

– Wyszedłem naprzeciw, wiedziałem, że nie dasz rady w pięć minut – dudni chrypiącym głosem. – Poza tym, stąd będzie bliżej, o ile w ogóle jest sens – oznajmia schodząc na peron.

– O co chodzi? – Wlokę się tuż za nim.

– Dwieście dolców.

– Co?!

– Należy się za usługę, jeśli oczywiście zdążymy.

– Chyba żartujesz! – oburzona wybucham śmiechem. – Wracam do roboty.

Mam już temat na dzisiaj.

– Jak chcesz – wzrusza ramionami, wpatrując się w tablicę z rozkładem. –

Obyś potem nie żałowała.

– Czego mam żałować?

– Trzecie dzieło psychologa z Long Island, albo naśladowcy.

– „Rzeźnika”?

– Nie wiadomo do końca. Tym razem się nie obnosi. Ukrył porozwieszane resztki w piwnicy. Jakaś kobieta wezwała gliny, bo zaniepokoił ją dziwny odór i rzesze szcurków, kręcące się w pobliżu. Może zmienił strategię – mówi jakby do siebie. – Wsiadasz?

– Sama nie wiem – waham się przez moment. – Dobra, niech ci będzie – wskakuję w ostatniej chwili. – Kiedy to wyszło?

– Jakąś godzinę temu.

– Matko, skąd ty masz takie informacje?

– Może być ciężko, gliny na pewno obstawily teren. Nikogo nie wpuszczają.

– Cholera, dlaczego się schował?

– Coś kombinuje, albo na serio ma wielbiciela.

– Wiesz coś jeszcze?

– Tylko tyle, że reszta się zgadza. Młoda, ciemne długie włosy. Wszystko w kawałkach i na rozwieszonym w kwadrat sznurze. Podobno poprzednią wypatroszył na żywca.

– Zaczynam się bać. Gdzie w ogóle jedziemy?

– Na Queens.

– Byłeś tam?

– Nie, ja też mam swoich informatorów.

– A ta piwnica...

– W domu ofiary – przerywa mi. – Mieszkała sama. Rodzice wyjechali na miesiąc na Florydę.

- Sukinsyn, musiał wiedzieć. Może nawet ją znał.
- Albo miał dużo szczęścia.

Wysiadamy na następnej stacji. Ostatnia przesiadka. Czuję przypływ energii, niepokój i ekscytację, jak zawsze w takich sytuacjach. Powinnam zadzwonić do redakcji. Nie ma szans bym wróciła do szesnastej. Jeden z tekstów jest gotowy. Grafik się tym zajmie. „Bezimienny” stoi obok ze skupieniem śledząc wiadomości w telefonie. Pewnie zleca robotę całemu miastu. Dziwny człowiek, ale wyjątkowo skuteczny. Czuję, że poda mi „Rzeźnika” na talerzu, żebym tylko zdążyła cokolwiek zapisać w kadrze. Do piwnicy nikogo nie wpuszczają, to pewne. Będzie przynajmniej dom i zbiegowisko oraz sprawnie ułożona historia. Szkoda, że tym razem schował się pod ziemią, chociaż przede wszystkim powinnam żałować dziewczyny. Nikt nie zasłużył na tak potworne tortury. Z najbardziej parszywymi wyrzutkami społeczeństwa los obszedł się łaskawiej. Taki Rick. Niewiele cierpiał, choć zasłużył na piekło jeszcze za życia.

Z torebki wyciągam telefon, wybieram numer do naczelnego. Krótka i zwięzła rozmowa. Bez problemu. Szef już zaciera ręce na samą myśl o następnym numerze. Grafik ogarnie dzisiejszy artykuł. Temat o wypadku szkolnego autobusu jest skończony i czeka w moim komputerze. Jest też kilka fotek. Trupy w szafie muszą poczekać. Dokończę jak wrócę i pójdzie pojutrze, w parze z dziełem psychopaty z Queens.

Posłusznie krocę za informatorem. Mam nadzieję, że na miejscu dowiemy się o wiele więcej, że pojawi się szansa na szczegóły. „Bezimienny” ma wtyki i układy w policji. Bez tego nie funkcjonowałby tak efektywnie.

- Nie jest dobrze – odzywa się nagle, kiwając nerwowo głową. – Blokada ulicy. Nikogo nie wpuszczają.
- Dostałeś cynk?
- Na miejscu jest mój człowiek.

Przynajmniej wiem, dlaczego każe sobie tak słono płacić. On też wynajmuje ludzi na zlecenie, i to całe rzesze. Przyśpiesza, a ja razem z nim, krok w krok, jak przystało na zgrany duet. W oddali widzę osiedlowe, dobrze mi znane zamieszanie. Jesteśmy prawie u celu. Za chwilę wtopimy się w żądny sensacji tłum. Już słyszę pełne domysłów szemranie, szept podejrzeń, przypuszczeń i teorii wyssanych z palca, napędzanych ludzką wyobraźnią. Informator nagle mnie zostawia, oddala się na bok poza zbiegowisko, staje i rozgląda wokół, jakby kogoś szukał.

Widzę nadjeżdżające wozy transmisyjne, jeden po drugim. Za chwilę będzie tu prawdziwy kocioł. Trudno przepchnąć się bliżej policyjnej taśmy rozwieszanej w promieniu kilkuset metrów. Stąd niewiele można zobaczyć. Nawet nie wiem dokładnie, w którym z domów bestia dokonała zbrodni.

Kątem oka zerkam w stronę informatora. Rozmawia z dziewczyną, która na



pierwszy rzut oka wygląda jak ćpunka zebrząca o kilka dolców na działkę. Wychudzona, w niechlujnie założonych, niezbyt czystych ciuchach, z resztką cudem ocalałych farbowanych włosów i tatuażem na policzku, nie wzbudza zaufania, a jednak ich spotkanie trwa, jest pełne gwałtownie wyrażanych opinii i silnej gestykulacji. Czyżby ta niepozornie wyglądająca narkomanka była głównym koordynatorem dzisiejszej akcji? W miarę upływających sekund wydaje mi się to coraz bardziej możliwe, zważywszy, że takiej niewiele trzeba, wystarczy dycha na marnego skręta lub „pigułkę cud”, chociaż pewnie wolałyby w żyłę.

„Bezimienny” macha na mnie ręką na znak bym podeszła. Z trudem wydostaję się z rosnącego w siłę tłumu. W tym czasie dziewczyna rozplywa się jak we mgle.

– Co jest? – pytam nerwowo. – Chyba nici z pokaznej zapłaty. Nie ma szans. Nawet mysz się nie przemknie – mówię, spoglądając w stronę wciąż rosnącej liczby gapiów.

– Mała ma świadka.

Robię pytającą minę.

– Zaraz przyprowdzi sąsiadkę.

– Ta ćpunka?

– Ksywka „Betty” i jest bardzo skuteczna.

– Widzę, że niezłą ekipę sobie dobrałeś – uśmiecham się z ironią.

– Przekonasz się.

– Nie była zbyt zadowolona. „Betty”. Może za mało jej płacisz?

– To już nie twoja sprawa. Ważne, żebyś ty zapłaciła.

– Najpierw muszę mieć za co.

– O to się nie martw – chrypie, mierząc mnie pewnym siebie spojrzeniem.

Z boku obserwuję zamieszanie. Nadjeżdżają posiłki. Gliny chyba przestają sobie radzić z dociekliwą masą. W oddali, przed jednym z domów widzę kilku policjantów i ekipę do zadań specjalnych. Pewnie zbiorą materiał do analizy, resztki ludzkich strzępów, jeśli cokolwiek z niej zostało. Im wystarczy, psy zadowolą się każdym najmarniejszym ochłapem.

Za daleko, by zrobić dobre zdjęcie. Zaczyna ogarniać mnie wściekłość i poczucie straconego czasu. Robi się późno, a ja nie mam nic za wyjątkiem widoku ulicznego zbiegowiska i kilku niepotwierdzonych informacji. Zaczynam żałować, że tu przyjechałam. Równie dobrze mogłabym jutro ściągnąć materiał z sieci. Jeśli wrócę z niczym, „Bezimienny” pójdzie w odstawkę. Jest za drogi i ma chorobliwie wysokie mniemanie na temat swojej misji i osoby.

– Idziemy – nagle szarpie mnie za ramię, po czym rusza w stronę wąskiej ścieżki pomiędzy domami.

Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale znowu posłusznie wykonuję rozkazy, bezmyślnie krocząc za informatorem. Uliczne widowisko zostaje daleko w tyle.

Pokonujemy kilkaset metrów, zanim moim oczom ukazuje się dziwny, zapuszczony budynek przypominający leśny szałas. Jest tylko nieco większy, stoi na stabilnym fundamencie i z jednej strony pokrywa go siding. Informator mruga porozumiewawczo na znak, że wchodzimy. Nigdzie nie widzę „Betty”. Zastanawia mnie, jakim cudem wiedział gdzie iść. Niemal wpycha mnie do środka zatraskując za nami drzwi.

Pomieszczenie cuchnie stęchlizną i kocimi odchodami. Przesiąknięta zwierzęcym moczem wykładzina klei się do butów. Jest mi niedobrze. Z trudem staram się pohamować odruch wymiotny.

Przy ścianie w rogu, obok drewnianych, obdrapanych drzwi stoi niewielka kanapa, na której wyleguje się stare kudłate psisko. Chyba nawet nie wie, że ktoś obcy jest tuż obok. Środek pokoju zajmuje stół pokryty ceratą w srebrne kwiaty, na nim zalega sterta brudnych naczyń i resztki zaschniętego jedzenia. Na drewnianej niskiej szafce cicho gra włączony telewizor, obok którego siedzą dwa koty, przyglądając się nam ciekawie. Jest jeszcze szafa. Przez jej uchylone drzwi widać pełne sierści legowisko, zapewne należące do reszty tutejszego zwierzyńca.

Nie mogę wydusić z siebie słowa. Wszechobecny intensywny smród gryzie w oczy, nozdrza i gardło. Jest mi niedobrze na samą myśl, że muszę tym oddychać. Staram się zapanować nad żołądkiem, który mam wrażenie, jakby utknął w przełyku.

„Bezimienny” stoi nieruchomo. Jemu nie przeszkadza odór. Cierpliwie czeka. Chyba zależy mu na tych dwustu dolcach.

Mijają kolejne minuty. Atmosfera w cuchnącym pomieszczeniu jest niczym gęsta zawiesina i staje się męcząca. Zaczynam czuć się nieswojo, a dziwne myśli krążące po głowie wzbudzają niepokój. Może ta nora to pułapka, do której zostałam celowo zwabiona? Czyżbym była częścią niecnego planu, ofiarą dziennikarskiej ciekawości, która potrafi zgubić? Za moment się okaże, że informator to „Rzeźnik”, a ja jestem naiwną idiotką pozbawioną intuicji i rozumu, która nagle straciła czujność i dawny spryt.

Podstępnie zwabiona w samą paszczę lwa, czekam jak na ścięcie, nie mogąc się ruszyć, słysząc swój przyspieszony oddech i łomotanie serca.

– Muszę wyjść – cedzę przez zęby. – Za chwilę się zrzygam.

– Nie możesz teraz – rzuca mało przyjazne spojrzenie. – Ona zaraz przyjdzie.

– Serio, nie wytrzymam – mówię błagalnym tonem, jakbym potrzebowała jego zgody.

Nagle drzwi obok kanapy otwierają się z hukiem, wydając nieznośny zgrzyt, a w nich pojawia się niska zgarbiona postać. Pomarszczona staruszka powoli rusza w naszą stronę podpierając się laską. Staje naprzeciw i unosi głowę. Przenikliwie filtruje nas wzrokiem, a potem niezgrabnie odchyła rękę, jakby chciała zaprosić do

stołu.

– Usiądźcie – odzywa się śmiesznym, skrzeczącym głosem.

– Dziękujemy. – „Bezimienny” siada bez chwili namysłu.

Trochę zdezorientowana zajmuję miejsce obok, jakby bliżej znaczyło bezpieczniej. Kobieta stoi nieruchomo wpatrzona w podłogę. Chyba intensywnie nad czymś myśli. Sprawia wrażenie zagubionej. Widać, że lata odcisnęły piętno nie tylko na jej fizjonomii.

– Napijcie się czegoś? – pyta po chwili niczym wyrwana z letargu. – Mam dobrą herbatę.

Oboje kiwamy przecząco głowami. Spożywanie czegokolwiek w tutejszych warunkach może być wysoce ryzykowne i mieć poważne konsekwencje zdrowotne.

Staruszka bez słowa znika za drzwiami obok kanapy, by za moment pojawić się z powrotem z małym, zaśniedziałym imbryczkiem w drobnej, pomarszczonej dłoni.

– To na pewno dobry adres? – pytam szeptem informatora, starając się nie zwrócić jej uwagi.

„Bezimienny” nieznacznie pochyla głowę, wciąż siedzi bez ruchu, spokojnie, jakby pobyt w tym dziwnym miejscu wymagał wyjątkowego skupienia.

– Po co przyszliście? – Kobieta nalewa odrobinę ciemnej cieczy do jedynej w miarę czystej filiżanki. – Skoro nie chcecie herbaty?

Dopiero teraz podnosi głowę, zmienionym, bardziej bystrym wzrokiem przeszywa nas na wskroś, aż przechodzi mnie dreszcz.

– Chcieliśmy porozmawiać – „Bezimienny” jest cierpliwy i zachowuje zimną krew.

Mam nadzieję, że wie co robi, że nie tracimy tu niepotrzebnie czasu.

– O czym?

– O pani sąsiadach, właściwie...

– O Miriam? – wchodzi mu w słowo.

– Nie wiem, czy tak miała na imię.

– Miriam Rochester. – Kobieta upija niewielkiego łyeczka.

O ile zdążyłam przyzwyczaić się do smrodu, widok smolistej cieczy w obklejonej chyba resztką pomidora filiżance, budzi we mnie odrazę i wywołuje mdłości. Odwracam głowę, starając się skupić wzrok na wiszącym na ścianie obrazie. Przedstawia gromadkę kociąt w wiklinowym koszyku, bawiących się kłębkami wełny. Trochę kiczowaty, sprawia wrażenie nieudolnej pracy malarskiej bezkrytycznego gimnazjalisty, który ma ochotę wygrać w szkolnym konkursie.

– Miriam nie była dobrze wychowana i za często zostawiali ją samą.

– Co pani ma na myśli?

– Różni się tu kręcili. Przyłazili po nocy. Nawet syn sąsiadów, tych z

naprzeciwka, ale ostatnio dostał robotę w Philadelphi, przy jakiejś budowie. Wyjechał trzy tygodnie temu. – Staruszka ponownie wypełnia filiżankę, rozlewając herbatę po i tak już mocno zaplamionym obrusie. – Ona nie lubiła się uczyć. Jak zostawała sama, nigdy nie chodziła do szkoły.

– Państwo Rochester często wyjeżdżali?

– Odkąd kupili dom na Florydzie, będzie jakieś cztery lata. Kilka razy w roku.

– Dobrze ich pani znała?

– Jak wszystkich tutaj. – Uśmiecha się, ukazując kilka ocalałych zębów.

– To pani zadzwoniła na policję?

– Moje koty przestały wychodzić, one strasznie nie lubią szczurów, boją się ich.

– Przecież dom Rochesterów jest oddalony o jakieś kilkaset metrów. Dzielą was jeszcze dwie posesje.

– Myśli pan, że koty chodzą tylko wokół domu?! – podnosi głos. – Nie moje. One znają całą okolicę. To ich teren.

– Rozumiem, a co z innymi sąsiadami? Nic nie zauważyli?

– Nie ma ich. Tutaj już w ogóle prawie nikt nie mieszka. Wszyscy pouciekali.

„Bezimienny” łypie na mnie okiem, mrugając porozumiewawczo. Oprawca miał pole do popisu. Wymarzone miejsce na zbrodnię doskonałą. Jednak, mimo podobieństw, coś mi mówi, że to chyba naśladowca. „Rzeźnik” nie poszedłby na taką łatwiznę, nie ukrył w piwnicy jak zbieg, to nie w jego stylu. On obnosi się ze swoim arcydziełem, pokazuje do czego jest zdolny, chce, by go podziwiano, budzi strach i respekt. To raczej ktoś z towarzystwa Miriam, ktoś zafascynowany albo po prostu próbujący w ten sposób zatrzeć ślady.

– Kiedy to mogło się stać?

– Tydzień temu, nad ranem. Potem już jej nie widziałam.

– Skąd to przypuszczenie?

– To nie przypuszczenie. Słyszałam, że tam się coś dzieje. Odgłos piły o trzeciej nad ranem, przyzna pan, to niezbyt powszechne zjawisko. Zazwyczaj nie śpię. Od lat cierpię na bezsenność. Tym razem, zdrzemnąłam się chwilę na kanapie, z moim Terkiem. – Spogląda czule na kudłate psisko, które odkąd przyszliliśmy nawet nie otworzyło oka. – Wysłałam na zewnątrz. Wokół było spokojnie, nigdzie nie paliło się światło, tylko kilka latarni przy ulicy. Dźwięk ucichł po kilku, może kilkunastu minutach, ale na pewno dochodził z domu Rochesterów.

– Nie zdziwiło to pani?

– Niezbyt. Tam często bywało głośno, muzyka, pijani ludzie, motory, samochody, bijatyki. Pomyślałam, że wygłupiają się po kolejnej zakrapianej

impresie. Chociaż... – waha się przez chwilę – zastanowiło mnie, że przed domem nie ma żadnego samochodu, a przecież syn sąsiada z naprzeciwka wyjechał, tylko on nie potrzebował środka transportu. Reszta nie była stąd.

– Reszta?

– Chyba z sześciu. Przychodzili na zmianę, czasem razem. Nie wiem, skąd ona ich brała? Jeszcze jakieś dwie dziewczuchy, ale tylko co jakiś czas.

– Nie zna ich pani?

– Nie. Znałam tylko syna sąsiada. Pasował do tej bandy. Na bakier z prawem, taki typ spod ciemnej gwiazdy. Dobrze, że wyjechał, bo był z nim tylko kłopot. On uwielbiał się tłuc i znęcać nad zwierzętami – milknie na moment, jakby coś sobie przypominała. – Kilka razy mi groził, a dwa lata temu zabił mojego kota, wypruł mu flaki i powiesił na ganku.

– Przykro mi.

– To było zaraz po tym jak do Miriam zaczął przychodzić ten blondyn. Chodził wściekły, nabuzowany jakby miał eksplodować. Boże, co on wtedy wyrabiał – kobieta dopija resztkę herbaty, potem nagle wstaje i ponownie znika za drzwiami.

– Co myślisz? – „Bezimienny” jest podekscytowany. Słyszę to w jego głosie.

– Jasna cholera – syczę przez zęby, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Jeśli staruszka zezna to glinom, będzie po sprawie. Szkoda, że to nie „Rzeźnik” – wdycham ciężko. – Spadamy? – Próbuję podnieść się z krzesła.

– Poczekaj – przytrzymuje mnie za ramię. – Może jeszcze coś pamięta? Jakiś szczegół?

- Daj spokój, i tak jest niezła.

– Myślę, że ona wie dokładnie, tylko się boi.

– Też bym się bała na jej miejscu. Rozejrzyj się.

– Piękne ma facet alibi. Robota w Philadelphi i podpiął się pod idola. Świr.

– Dorwą go. Psy wywęszą pozory od razu, a po jej zeznaniach będą go mieli na widelcu, chyba że podrzucimy im niewielką przynętę? – marszczę czoło, robiąc głupią minę.

– Może być tak, że babcia nie piśnie słówka, oni zwałą wszystko na „Rzeźnika” i szybko zamkną sprawę, a synalek będzie dalej bezkarnie bawił się piłą.

– Może, ale to już nie nasz interes. Myślę, że powinniśmy się ewakuować. Chyba mam już materiał, a ty swoją premię – mówię z przekąsem.

– Dałbym sobie uciąć głowę, że wlała do tej piwnicy.

Kobieta z powrotem pojawia się w pokoju. Nagle staje w bezruchu, wbijając we mnie błędny wzrok, jakby widziała nas po raz pierwszy.

– Coście za jedni? – pyta podejrzliwie.

– Dziennikarze, rozmawialiśmy przed chwilą – tłumaczy informator, lekko

zdezorientowany.

– Napijecie się herbaty?

– Nie, dziękujemy – posyłam jej wdzięczne spojrzenie – musimy już iść.

– Biedna Miriam, doigrała się – staruszka mamrocze pod nosem, siadając przy stole. – Cała w strzępach.

Dostrzegam błysk w oku „Bezimiennego”.

– W strzępach? – rzuca mimochodem, patrząc w poplamiony obrus.

– Drobną była, wcale nie musiał się męczyć. Może z piętnaście minut. – Kobieta zaczyna wyjadać resztki okruchów z zalanego syropem talerza. – A potem zrobiło się cicho. Mogłam się zdrzemnąć.

– Widziała pani jak ktoś wychodził z domu Rochesterów?

– Nie, ale ją jakby rozszarpały hieny, choć żadne zwierzę nie byłoby w stanie dokonać tego, co on.

– Kto?

– Musicie już iść, prawda? – zerka na mnie zmienionym wzrokiem, jakby dopiero się ocknęła.

– Dziękujemy – uśmiecham się, wstając z krzesła – do widzenia.

– Przyjdziecie jeszcze?

– Nie chcemy przeszkadzać, pewnie chętnych do rozmowy pojawi się więcej.

– Policja już tu była – czyta w moich myślach.

– To dobrze, może uda im się złapać sprawcę – rzucam, zbliżając się do drzwi. Dopiero teraz informator podnosi się i staje obok.

– Nie złapią go – mówi pod nosem, a potem nie patrząc w naszą stronę wstaje.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Idźcie już, jestem zmęczona, źle sypiam.

– Do widzenia. – „Bezimienny” zamyka za nami drzwi.

W milczeniu ruszamy w stronę ulicy, na której wciąż kłębi się wścibski tłum. Mam wrażenie, że policyjne szeregi rosną w siłę, mnożą się w zawrotnym tempie. Już chyba wiedzą, że to dzieło wielbiciela, a nie mistrza. Rozumieją, z kim mają do czynienia. Ciekawe, jaki popełnił błąd, co przeoczył, próbując go naśladować? Drobną szczegół, pozornie nieistotny, a jednak na tyle ważny, by dostrzec różnicę.

Na moment zatrzymuję się przed ulicznym zgromadzeniem. Wyjmuję telefon i robię kilka zdjęć. Zapisuję twarze, na których maluje się strach, czasami niedowierzanie. Są też takie, które nadal wątpią, póki nie zobaczą, pełne przypuszczeń i spekulacji. Z boku widać policyjne szeregi. Wyglądają dostojnie, a zarazem groźnie. W oddali dom, miejsce zbrodni, na zbliżeniu nie widać zbyt wyraźnie. Jest jak okryty mgłą, tajemnicą, której być może nikt nie pozna.

– Idziemy? – Informator zaczyna się niecierpliwić. Tkwi przy mnie niczym

wierny pies, który za chwilę zostanie obdarowany kawałkiem kiełbasy.

– Chyba tak – brzęczę pod nosem, przeglądając zdjęcia. – Myślisz, że można jej wierzyć?

– Coś mi mówi, że tak.

– Sama nie wiem, czasami zachowywała się dziwnie.

– Nawet jeśli ma starczą demencję, początki alzheimera lub wybujałą wyobraźnię, jestem pewien, że w tej kwestii nie zmyśla i że zdała nam prawie wyczerpującą relację.

– Co zataiła?

– Widziała go.

– Dlaczego nie chce powiedzieć?

– Żartujesz?! – „Bezimienny” prychnął, udając śmiech przy czym kiwał zabawnie głową. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby podzielić losu Miriam.

– Myślisz, że już nie żyła, kiedy ją kroił?

– Wątpię, jak i w to, że glinom uda się to stwierdzić.

Powoli schodzimy schodami w dół. Opustoszały peron metra robi przygnębiające wrażenie. Czuję się jak na odludziu, a przecież wciąż jesteśmy w Nowym Jorku. Zrobiło się dość późno. Mimo tego, wracam do redakcji, pochwalę się naczelnemu, a potem zabiorę za artykuł. Szkoda, że nie zdążymy wypuścić go na jutro. Pozostaje mi jedynie wiara w powściągliwość dociekliwej staruszki i nadzieja, że w stosunku do innych nie okaże się równie wylewna.

Zamyślona zajmuję miejsce przy drzwiach. Informator siada naprzeciwko. W milczeniu przejeżdżamy kilka stacji. Dopiero teraz zaczyna do mnie docierać skala zbrodni, bezmiar jej okrucieństwa. Jednak tli się gdzieś w głębi iskierka współczucia wobec niewinnie skrzywdzonych. Czy moje cierpienie może równać się z tym, co przeżyła Miriam? Czy czuła podobnie, kiedy strach paraliżował jej zmysły, kiedy już wiedziała, co ją czeka? Być może, chociaż ból fizyczny trwał krócej. Ja muszę się męczyć całe życie, walczyć z obrazami, które wracają nieproszone w najmniej oczekiwanych momentach. Po latach wcale nie boli mniej, wręcz przeciwnie. Ból wspomnień wkrada się w każdą komórkę, rozrywając ją na drobne kawałki. Potrafi być nie do zniesienia. Alkohol ujarzmia go tylko na chwilę, jest krótkotrwałą formą terapii. Żadna z nas nie zasłużyła na cierpienie, na zło w najczystszej postaci.

Dojeżdżamy do miejsca przesiadki. Tutaj nasze drogi się rozchodzą. Bez zbędnych słów i negocjacji wypłacam pieniądze. Brak mi sił i argumentów, by próbować się targować. Zresztą, peron to nie bazar.

„Bezimienny” żegna się z uśmiechem. Jego dotychczas pozbawiona emocji twarz zdradza pełną satysfakcję. Czy ja też powinnam się cieszyć, czuć bezwstydną

radość z żeru na prawdziwym nieszczęściu, na śmierci w męczarniach, których nie da się opisać i zrozumieć? Do czego zdolna jest ludzka wyobraźnia pobudzona dziełem kata? Widzę Miriam, przerażoną, błagającą o litość, bezsilną, obezwładnioną bólem i strachem. Już wie, że nie ma szans, że on nie zrezygnuje, a jednak nikły płomyk nadziei tli się w niej do końca. Straci go wraz z utratą przytomności, kiedy ostre zęby mechanicznej piły, z warkotem wgryzą się w jej ciało, by rozszarpać je na strzępy.

Dzielę los tej dziewczyny oraz całej ogromnej rzeszy kobiet, z których nic nie pozostało. Umarłam podobnie jak one, dawno temu, w pokoju za zamkniętymi drzwiami.



## EPIZOD XV

Lato w Nowym Jorku to jedna z najbardziej dokuczliwych pór roku. Nie trzeba opuszczać miasta, by poczuć dotkliwy afrykański żar. Nie mam pojęcia, kto był pomysłodawcą klimatyzatorów, ale z pewnością należy mu się pomnik na samym środku Time Square.

Nie opuszczam redakcyjnego biura. Zresztą nie ja jedna. Reszta ekipy również znajduje ukojenie w przyjemnie schłodzonych pomieszczeniach dwudziestego drugiego piętra.

Mimo tego, nie potrafię się skupić. Wraca do mnie koszmar minionej nocy. Wczoraj zasnęłam dość wcześnie, co raczej rzadko się zdarza. Najpierw przyśniła mi się mama. Po prostu do mnie przyszła. Nie widziałam jej twarzy, postać była rozmyta, jakby tonęła w gęstej mgłę, ale wiedziałam, że to ona, czułam. Uśmiechnięta wyciągała ręce, tak jak kiedyś, gdy chciała mnie przytulić. Sama nie wiem, czy naprawdę ją pamiętam, czy to tylko złudzenie, obraz ze zdjęcia utrwalony w niewielkiej komórce mózgu odpowiedzialnej za wspomnienia. Obraz, który zaciera czas.

Na chwilę zawładnęło mną dawno zapomniane uczucie nieziemskiej błogości, jakby spokój stał się nierozzerwalną częścią składu krwi w pędzącym krwiobiegu. Przedziwne doznanie i bardzo przyjemne. Wreszcie poczułam się bezpiecznie. Przez moment było jak dawniej, a potem zniknęła równie szybko jak się pojawiła, pozostawiając niedosyt i żal. Wiatr nagle rozpuścił burzę i zdmuchnął ją z zasięgu mego wzroku, nastąpiła ciemność i cisza, podświadomie potęgując strach.

Minęło kilka dłużeńych się minut zanim wzmagający się, trudny do określenia dźwięk przerwał pozorną harmonię. Odgłos przypominający warkot wkraść się w moje myśli, krążąc bez ładu, jakby szukał wyjścia zagubiony w labiryncie.

Przeniosłam się do piwnicy cuchnącej stęchlizną i kocimi odchodami. Leżała naga, posiniaczona i brudna. Ze skrępowanych grubą liną nadgarstków i kostek powoli sączyła się krew. Łańcuch mocno zaciśnięty na pełnej zadrapań szyi był przytwierdzony hakiem do ściany. Niczym niechciany, katowany za życia kundel, czekała na śmierć. Warkot stawał się coraz głośniejszy, wgryzał się w bębunki jak wygłodniały kleszcz. Drażnił je, powodując tępy ból. Rozpoznałam ten dźwięk. Już wiedziałam, co za chwilę się stanie. Wyłonił się nagle, jak potwór z ciemności, pozbawiony ludzkich odruchów i odczuć. Z włączoną na maksymalne obroty mechaniczną piłą, ostrą niczym brzytwa i długą na kilkadziesiąt centymetrów, powoli zmierzał w jej kierunku. Stanął na moment, pożerając zachłannym wzrokiem jej nagie, młode ciało. Potem wcisnął metalowe ostrze między obolałe

uda i silnym ruchem pchnął do przodu. Uniosła nieznacznie powieki, ukazując białka nieprzytomnych oczu, wydała długi, cichy jęk, który przerodził się w zatrważający skowyt, a potem nagle ucichła.

Poczułam przeraźliwy ból, przesywający, rozrywający żywcem wnętrzości, miażdżący każdą najmniejszą cząstkę mego bezbronnoego ciała. I wtedy wszystko wróciło.

Za oknem zamkniętego pokoju zapada zmrok. Za chwilę świat okryje ciemność. Zło wtargnie niepostrzeżenie, przemknie bezkarnie pod osłoną nocy. Zaczyna padać. Niewielkie krople najpierw uderzają cicho, rozbijając się o szeroki parapet. Grzmot pioruna dopiero je rozkręca, a światło błyskawicy zasila dawką nieziemskiej energii. To preludium. Delikatny, niepozorny wstęp do gwałtownej, gigantycznej nawałnicy, niewielkie wrota do olbrzymich bram piekieł, drobna eksplozja przed całkowitą zagładą.

On już wie, że wewnątrz mnie bije jeszcze jedno serce. Jest wściekły, nie przewidział tego, a przecież swój plan układa perfekcyjnie, tak, by uniknąć kłopotów. Mam być cicho, potulna i grzeczna jak zawsze, a wszystko będzie dobrze. Nic nikomu się nie stanie, oprócz serduszka, które czeka, by je pokochać. Wydaje mi się, że słyszę jego szmer, ale potem szybko zapomnę. Nie będzie bolało. Obiecał, jak i nagrodę, bo to taka nasza słodka tajemnica, o której nie wolno pisać słówka, nigdy nikomu.

Zaraz przyjdzie ze znajomą. Ona nam pomoże. Zabierze niepotrzebne serduszko, żebym mogła żyć i rozwijać się szczęśliwie, nie przynosząc wstydu i hańby sobie i bliskim.

Leżę spokojnie, nieruchomo, na wznak. Za oknem coraz ciemniej. Jeszcze tylko kilka krótkich chwil i będzie po wszystkim. Czarna noc okryje swoim płaszczem winnych, uczyni ich niewidzialnymi, a potem po prostu znikną. Nowy dzień w słońca promieniach przepędzi zło, zetrze ostatnie ślady, najbliższy deszcz zmyje resztki wspomnień, życie zacznie się od nowa.

Zakradają się niemal bezszelestnie. On i ona zaopatrzona w sporą skórzaną torbę. Nawet nie zauważam, kiedy oboje pochylają się nad łóżkiem. Na moment wstrzymuję oddech. Mam wrażenie, że wznoszę się ku górze, a tam na dole leży moje bezduszne ciało, zwykły kawałek ludzkiego mięsa, pozbawiony oznak istnienia. Patrzę na nich jak zaczynają krzątać się po pokoju. Wciąż jest ciemno, tylko jego latarka daje znikomą ilość światła.

Ona zasuwa zasłony, kładzie torbę na biurku, powoli wyjmuje jej zawartość, rozkładając narzędzia na prawie całej powierzchni. Na dłonie wsuwa gumowe rękawiczki, bierze strzykawkę i napełnia ją białawą cieczą. Skinieniem głowy daje mu znak.

Podchodzi jak zwykle, ślamazarnym, chwiejnym krokiem. Tym razem nie

gubi po drodze spodni. Wcale na mnie nie patrzy, tylko szorstkimi dłońmi dotyka moich kolan, a potem szeroko rozchyła uda. Nie stawiam oporu. Wiem, że nic to nie zmieni. Jest mi wszystko jedno, jak zawsze o tej porze.

Czuję ukłucie igły, tępy ból wtłaczania w żyły gęstej substancji, ciepło. Ciało opada coraz ciężej, wgniatając się mocno w materac.

Myślę, że śpię, bo mam zamknięte oczy, ale to tylko powieki z ołowiu nie pozwalają mi ich otworzyć. Słyszę dźwięk metalowych narzędzi, czuję ich chłód między nogami. Nagły ostry ból rozrywa wnętrzności, jakby chciał je ze mnie wyrzeć. Zaciskam zęby, po skroniach ciekną łzy, które z trudem wydostają się spod ciężkich powiek. W myślach błagam Boga, jeśli istnieje, by zabrał mnie do siebie. Pierwszy raz śmiem o to prosić, ale nikt nie słucha.

Zbrodnia na serduszkach odbywa się w ciszy. Kolejny ostry cios czymś w rodzaju dłuta, kolejny rozpaczliwy krzyk mojej duszy i tego życia we mnie, które wydaje ostatnie tchnienie. I znowu, i znowu, aż stracę przytomność, a do pokoju zawita świt i wstanie nowy dzień.

Budzę się w południe. Moje ciało tonie we krwi. Nie mogę ruszać nogami, każdy ruch to kolejny rozrywający ból, jakby koszmar minionej nocy trwał. Może śnię? Może wciąż jestem otumaniona lekami? Zamykam oczy i zasypiam ponownie.

Znowu jest ciemno, za oknem i w pokoju. Czuję jego obecność. Siedzi na krześle przy łóżku. Wokół nie ma już krwi, jest zmieniona pościel, czyste prześcieradło i ja w innej koszuli. Tylko dlaczego wciąż czuję się tak samo? Jest mi gorąco, potwornie gorąco, żar pali moją głowę, łądzwie, kości, płuca. Z trudem oddycham. Jakim cudem jeszcze żyję?

Mija kilka długich godzin, zanim znowu pojawia się ona. Zadzwoił, powiedział, że jest ze mną źle. Boi się. A przecież miało pójść tak gładko. Zrobi wszystko, by mnie uratować, by nikt się nie dowiedział. Zasypiam po serii zastrzyków.

Siedem długich dni i nocy. Przychodziła codziennie. Wystarczyło, by zaleczyć krwawe rany po bestialskiej zbrodni. Trwało tyle co katar. Wszyscy właśnie tak myśleli, że dopadła mnie grypa. Nawet ojciec dzwonił codziennie. Na odległość kontrolował wahania temperatury. Pozornie rzetelna informacja pomagała uspokoić sumienie. Dobrze, że nie znalazł czasu na krótkie odwiedziny. Niefortunnie mógłby ujrzeć prawdę.

Pamiętam niewiele. Tydzień wegetacji i walki organizmu o przetrwanie. Sponiewierane ciało, brutalnie okaleczone, z którego wyrwano część życia wraz z częścią mnie, tylko ono toczyło bój. Pragnęłam już się nie obudzić, ale widocznie los zdecydował inaczej.

Są dwa rodzaje ran. Te, które zblizniają się szybko pod wpływem naturalnych zmian naprawczych, zdolności tkanek i komórek ludzkich do

regeneracji oraz takie, które nie zagoją się nigdy.

Pięć lat później dowiedziałam się, że nie mam szans na dziecko. Nieudolnie przeprowadzony zabieg, a potem zakażenie spowodowały nieodwracalne zmiany jednocześnie odbierając mi możliwość wyboru, pozbawiając ostatniej iskiej nadziei na sens istnienia, na przyszłość, gdzie nie musiałabym żyć w cieniu zła, gdzie mogłabym sama zdecydować, obdarować miłością bezgraniczną i wieczną, której nigdy nie miałam.

Diagnoza brzmiała niczym wyrok śmierci. Odarta ze złudzeń zamknęłam pewien etap życia, świadomie wybierając ścieżkę w mroku, za dnia krocząc w ciemności drogą prowadzącą do samego piekła.

Czy zemsta w jakiegokolwiek formie potrafi dać ukojenie? Może na ułamek sekundy, bo właściwie kogo i w jaki sposób mam karać? Tutaj nie można wyrównać rachunków. Nikt nie jest w stanie zapłacić za krzywdy, których doznałam. Nikt nie cofnie czasu, nie odda straconego dzieciństwa, godności, kobiecości, nie przywróci życia na nowo.

Błądzą, zdając się na przeznaczenie, igrając z losem, czasem, światem i sobą.

– Masz tekst? – Łysa głowa grafika znowu tkwi między drzwiami a futryną.

– Zaraz – odpowiadam pod nosem, nie patrząc w jego stronę, nawet nie słyszę, o co pyta, wciąż jestem nieobecna.

– Późno już.

Bezmyślnie zerkam na zegarek i wzruszam ramionami.

– Co wybrałaś? – drąży bez wycucia.

– Nic.

– Bardzo śmieszne. Ty jak zwykle w cudownym nastroju, że też tyle lat muszę to znosić! Już dawno powinienem był przekonać szefa! Chyba najwyższy czas na zmiany!

– Możesz zabrać swój łeb i zamknąć drzwi z drugiej strony? – pytam, starając się zachować spokój.

– Wal się! – wrzeszczy, po czym znika.

Staram się opanować myśli. Czas wrócić i stawić czoła rzeczywistości. Nie mam koncepcji, za to ogromne opóźnienie. Brak tematu na dziś. Zdarza się równie rzadko jak przespana noc.

Dopiero teraz włączam komputer. Nawet nie zauważyłam, że ślęcę przed czarnym ekranem. Poszperam w sieci. Raz na jakiś czas nie muszę aż tak się poświęcać. Wystarczy odrobina inspiracji, wciąż świetnie prosperująca wyobraźnia, szczypta weny i wieloletnie dziennikarskie doświadczenie. Lekki temat, o takim właśnie marzę. Muszę na moment odpocząć od ciemnych, zatechłych piwnic, w których szczury żywią się resztkami ludzkiego mięsa, poćwiartowanego piłą niczym drewno na opał.

Napad z bronią na stację benzynową w rejonie lotniska. Bez ofiar i bez szmalu. Kilku młodocianych nieudaczników chciało się zabawić. Pewnie ulegli złudzeniu, ale zdarzenia wirtualnego świata nie zawsze można odnieść do rzeczywistości. Odpada. Temat równie gówniany co nieudany napad.

Porachunki narkotykowej mafii, standard nie budzący już żadnych emocji. Walka toczy się od wieków, zdążyli przyzwyczaić znudzone społeczeństwo. Człowiek jest żądny krwi, naprawdę mocnych wrażeń. Tylko silne bodźce z zewnątrz są w stanie zaspokoić głód.

Kłótnie na polu politycznym również możemy pominąć. Temat powszedni i powszechny nie nadaje się na pierwszą stronę naszego dziennika.

Będę musiała kogoś zabić i to w niebyle jaki sposób, żeby na powrót zaciekać świat, dać mu to na co czeka, wielką paczkę pełną nieprzeciętnych i niepowtarzalnych doznań.

Może powinnam zająć się publikacją notowań giełdowych. Przynajmniej nie trzeba szukać tematu. Wystarczy śledzić wykresy i zmieniające się cyferki.

W kanale rzeki, niedaleko Rikers Island wyłowiono zwłoki w stanie totalnego rozkładu, co uniemożliwia identyfikację. Będą konieczne szczegółowe badania, na szczęście kod genetyczny zapisany jest także w gnijących resztkach. Jedyna metoda poznania człowieczej tożsamości w skrajnie trudnych przypadkach, kolejne niebywałe odkrycie w dobie współczesnych czasów, zasługujące na dożgonne uznanie i pomnik.

Zabieram się do pracy, żałując, że nie było mnie na miejscu, kiedy wyciągali ciało lub to, co z niego zostało. Nie lubię zżynać żywcem tematu. To nie w moim stylu, ale czasem, na szczęście rzadko, muszę przymknąć oko i zagryźć zęby. Stan zwany sytuacją kryzysową. Niezbyt profesjonalnie i wyłącznie z mojej winy. Nie powinnam pozwalać wspomnieniom na częste powroty. Nie mogą tak po prostu rozpychać się w głowie, próbując całkowicie zawładnąć myślami.

Szef będzie niepokieszony. Zawsze staram się być z nim szczerą. Zresztą jego niełatwo oszukać.

Dzisiejszy koszmarne dzień należy do tych, w którym ciężko zapanować nad wewnętrznym niepokojem i skupieniem. Nawet nie wiem, kiedy minęło kilka godzin. Czas przelatuje mi przez palce. Trwonię go bezmyślnie, pozbawiona choćby odrobiny kreatywności. To się nazywa odwalenie roboty. Kradzież pomysłu i kilkudziesięciu słów zdarza się tylko w skrajnych przypadkach.

Za drzwiami słyszę głośny bełkot zirytowanego grafika. Po raz kolejny nerwowo spoglądam na zegar. Późno. Mam pół godziny, żeby doszlifować tekst. Czuję, że muszę napić się kawy, uzupełnić poziom bezcennej kofeiny. Jak oparzona zrywam się z fotela. Odgłos z siłą naciśniętej klamki dźwięczy w uszach. Przemykam długim korytarzem, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, ignorując nienawistne spojrzenie spoza wielkiego biurka grafika.

W redakcyjnej, niewielkiej kuchni raczej trudno o towarzystwo, zwłaszcza o tej porze. Siadam na moment przy stole wsłuchując się w szum ekspresu do kawy.

Przeszłość wraca nieproszona, rozpycha umysł łokciami, nie można się od niej uwolnić. Wpatrzona w pełną filiżankę jak w wyrocznię, jakby pierwszy łyk miał wszystko zmienić, odgonić złe myśli, przywrócić dawną sprawność bystrego umysłu, upijam niewielką ilość parząc sobie język. Zabieram filiżankę i wracam do biurka, na którym piętrzą się papiery, bo od kilku dni rośnie stos nieuporządkowanych dokumentów. Kiedy w białoniebieskiej filiżance zostaje połowa, ponownie zabieram się do pracy. Kończę artykuł, po czym wybieram zdjęcie, jedno spośród czterech. Czas dobiega końca, więc jak zwykle drukuję tekst. Idę do szefa z nadzieją na akceptację.

– Wejdz. – Słyszę zza drzwi, kiedy tylko przed nimi stoję.

– Gotowe. – Wręczam mu zapisaną kartkę.

Bierze bez słowa. Długo wpatruje się w rzędy liter, co jakiś czas marszcząc czoło. Potem mlaska z dezaprobatą, wykrzywia twarz z wyraźnym niezadowoleniem.

– Źle spałeś? – pyta nagle.

– Średnio – staram się być szczerą, jak zawsze.

– Znasz mnie na tyle, że chyba wiesz o co chodzi?

– Wiem.

– I?

– Ciężki dzień – wzdycham głośno – właściwie bardzo, taki jedyny w swoim rodzaju.

– Nie lubię się powtarzać, ale z chęcią przypomnę, że tutaj pracujemy na sto procent, tak? – świdruje mnie wzrokiem. – Nie łączymy spraw prywatnych z redakcyjną robotą, całe to cholerne gówno zostawiamy za drzwiami, tam kurwa na szóstej alei, zanim przekroczymy próg budynku!

– Rozumiem, ale...

– Nie ma, ale! – przerywa z wrzaskiem. – Żadnego „ale”!

– Poprawić? – pytam skruszona, starając się nie rozwścieczyć go jeszcze bardziej.

– A masz coś innego?!

– Nie.

– A zegarek?!

– Mam.

– No to kurwa wiesz, co robić!

– Sorry, szefie, ma iść na pierwszą?

– Jeśli za pół sekundy dasz mi coś lepszego, to nie!

– Przykro mi.

– Mnie też, a teraz żegnam, zanim powiem lub zrobię coś, czego będę

żałował!

Opieram się o drzwi z drugiej strony. Dobrze, że gabinet naczelnego jest na końcu długiego korytarza. Poległam na całej linii. Zawałam. Nienawidzę tego, nie cierpię czuć się tak jak teraz. Biorę kilka głębokich oddechów i ruszam przed siebie. Po drodze mijam grafika, siedzi za biurkiem podpierając łysiejącą głowę, czuję na sobie triumfujące spojrzenie. Po ostatnich spięciach, moja porażka jest balsamem dla jego obolałej duszy.

– Dajemy na pierwszą – rzucam tekst na pełen rupieci blat – zaraz wyślę zdjęcie – dodaję, nie patrząc mu w oczy.

Mam dość, na dzisiaj i na dłuższą chwilę. Jestem zmęczona atakiem natarcywych myśli, widmem przeszłości, która nie daje spokoju, nie pozwala zapomnieć. Co takiego wciąż trzyma mnie przy życiu, powstrzymuje przed ostatecznym krokiem? A jeśli to tylko strach? Jeżeli powód, dla którego ciągle tu jestem, wcale nie tkwi głębiej, nie jest częścią wielkiego planu, następstwem losu, dziełem przeznaczenia? Skąd we mnie lęk, którego wyzbyłam się wieki temu? Dlaczego nagle powrócił?

Pośpiesznie klikam w czarną klawiaturę. Gotowe. Może nie tak, jak bym chciała, ale ważne, że jest, że spokojnie da się zamknąć numer.

## EPIZOD XVI

Na skrzyżowaniu wąskich ulic, nieopodal starej kamienicy, czai się cień. Ktoś przywarł do chłodnej ceglanej ściany, próbując być niewidzialny. Ciemność nocy, której wtórują światła wysokich latarni zdradzają jego obecność.

Idę powoli, czujnie, niemal bezszelestnie zbliżam się do drzwi. Odkąd go zobaczyłam, prawie się skradam, niczym złodziej, próbujący zakraść się do wrót skarbcza. Nie wiem, kto ukrywa się za rogiem, jednak wolę być wierna przeczuciom, one zazwyczaj pozostają nieomyłne.

W życiu naznaczonym piętnem zła należy postępować przezornie, z zachowaniem najwyższej ostrożności.

Wreszcie udaje mi się przemknąć do środka. Mam nadzieję, że niezauważalnie. Szybki trucht po kolejnych stopniach wiodących na górę przynosi ulgę. Im jestem wyżej, tym jest bezpieczniej. Wpadam do mieszkania niczym szalejąca burza, niemal rygluję za sobą drzwi. Kilka razy z rzędu szarpię za klamkę, chcę się upewnić, że są zamknięte. Dopiero teraz zrzucam z ramienia torbę. Czuję, jak zwalnia przyspieszony oddech. Ruszam prosto do szafki, w której ukryłam resztkę burbona. Przechylam butelkę do ust i wypijam haustem. Bezwładnie opadam na fotel. Na moment zamykam oczy w oczekiwaniu na zbawienne działanie bursztynowego trunku.

Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Niektórym lęk towarzyszy przez całe życie. Czyżbym do tej pory tylko sobie wmawiała, że niczego się nie boję? Czym zatem było wieloletnie poczucie balansowania na krawędzi, jeśli nie zwykłą prowokacją losu? Nagle wszystko stało się mniej oczywiste. Za sprawą wieku, śmierci ojca, czy może z innej, bardziej skomplikowanej przyczyny? I czy w ogóle powinna obchodzić mnie odpowiedź?

Jest mi dobrze, błogo. Alkohol zaczyna krążyć w żyłach, akcentując swą niezwykłą moc. Jedyne przyjemny stan, w którym znajduje się człowiek, kiedy ogarnia go całkowita obojętność. Szkoda, że tylko na chwilę.

Ociężale podnoszę się z fotela. Muszę otworzyć okno. Połączenie burbona z temperaturą panującą w mieszkaniu stanowi zabójczą mieszankę.

Do pokoju wkrada się chłodne powietrze. Biorę kilka głębokich oddechów, zachłannie, jakbym chciała nałykać się na zapas.

Ostatnio Nowy Jork obłaskawił nas kilkoma chłodniejszymi dniami. Zimny front z północy trochę ostudził letnią gorączkę, przynosząc niespodziewaną ulgę. Mimo tego, nadal późno wychodzę z redakcji, jakby wciąż z nieba lał się żar, a ja szukałabym schronienia wśród huku klimatyzatorów.

Nie dlatego przesiaduję tam po nocy. Mam dług wobec wiernych czytelników naszego dziennika i szefa, który po raz kolejny przymknął oko na



dziennikarskie zaniedbanie. I chociaż wiem, że każdemu może się zdarzyć gorszy dzień, albo nagły spadek formy, nie potrafię znaleźć usprawiedliwienia, ani tym bardziej pogodzić z porażką. Moja praca to prawdopodobnie jedyna rzecz na świecie, którą traktuję śmiertelnie poważnie. Cała reszta jest tylko wielką farsą.

Dziwny dźwięk wyrywa mnie z rozmyślań. Mam wrażenie, jakby ktoś był pod drzwiami. Staję w korytarzu i nasłuchuję przez chwilę. Długa cisza wcale nie uspokaja, wręcz przeciwnie. Nagle metalowa klamka powoli odchyła się w dół, a moje ciało paraliżuje silny skurcz. Już wiem, że to nie złudzenie, że cień, który widziałam na rogu, przy ścianie kamienicy, czyha teraz pod moimi drzwiami i próbuje dostać się do środka. Ktoś chce mnie zaskoczyć, a sposób, w jaki to robi świadczy bezsprzecznie o niecnym zamiarach.

Cicho podchodzę do okna, po czym zamykam je delikatnie. Gaszę światło i wracam na fotel. Dwa solidne zamki stanowią twierdzę trudną do zdobycia. On tylko sprawdza, pragnie wtargnąć ukradkiem, niezauważony, w przeciwnym razie już dawno byłby w mieszkaniu, chociaż nawet nie wiem, czy to on. Myśliwym nie zawsze musi być mężczyzna.

Cisza staje się nie do zniesienia, potrafi być równie przerażająca co przenikliwy wrzask lub paraliżujący skowyt. Minęło zaledwie parę minut, a ja mam wrażenie, jakbym tkwiła w niej od wieków. Wgryza się w uszy powodując szum. Mija kolejne kilka minut, podczas których siedzę w bezruchu, wyęzając słuch i wyostrzając resztę zmysłów.

Chyba cień usunął się spod drzwi, więc powinnam odzyskać spokój, przynajmniej ten zewnętrzny, bo w środku cała drzę. Już nie wyczuwam niczyjej obecności. Jeśli nie zwariowałam i nie zmartwychwstała żadna z moich ofiar, jestem prawie pewna, że to był McCormick. A przez chwilę uległam złudzeniu, że mam go z głowy.

Zaczyna zagrażać mi każdy ruch, a nawet oddech. Nie mam odwagi uchylić drzwi, choć wiem, że już go nie ma. Brak mi sił, by pokonać kilkaset metrów i wylać swój żal prosto do kieliszka, tańczącego na drewnianym blacie w barze Iva.

Na dnie butelki krąży bursztynowa kropla. Przez dłuższą chwilę obserwuję ją, bawiąc się smukłym szkłem. Z każdą sekundą popadam w coraz większą obojętność. Właściwie mogłam pozwolić mu wejść, otworzyć drzwi mieszkania i wrota serca przed natrętem. Oboje dobrze wiemy, że prędzej czy później to nastąpi, że nasze spotkanie jest nieuniknione.

Przenoszę się na łóżko w sypialni. Nie mam odwagi zapalić nocnej lampki, a przecież nie znoszę wegetować w ciemności. Może cień wrócił na skrzyżowanie, obserwuje teraz okna mieszkania, szukając oznak życia? Chyba jedyne, czego się boję, to ból. Jeśli mam raz na zawsze pożegnać się z szarą, bezsensowną egzystencją, niech odbędzie się to bezboleśnie. Wystarczająco wycierpiałam, moje ciało bolało latami, bez sekundy przerwy, nawet długo po tym, jak uwolniłam się

ze szponów internatowego oprawcy.

Koszmar tamtego miejsca pewnie trwałby o wiele dłużej, gdyby nie pewna pechowa noc.

Po moim odejściu były następne ofiary, w kółko i kółko, bez końca, aż do pewnego jesiennego wieczoru.

Ameryka przez wiele tygodni żyła tematem, który porażał. Każdy kolejny dzień odkrywał czarne karty, okrutne szczegóły składające się na trwający od lat mroczny sekret żeńskiego internatu. Przybywało faktów, okaleczonych dziewczyn, które nagle zapragnęły podzielić się złem.

Tylko ona zdobyła się na odwagę, by stawić mu czoła, by cierpieć, poczuł ból podobny do tego, na który skazywał nas przez wieki.

Pozornie tamten wieczór niczym nie różnił się od pozostałych. Elizabeth umyła się, przebrała w nocną koszulę, położyła na wznak na łóżku i czekała, nasłuchując kroków. Czekala, jak każda z nas. Jednak wcześniej zrobiła coś, co już na zawsze miało zmienić losy tamtych dziewcząt. Pod poduszką ukryła ostro zakończone nożyczki. Leżąc, dwukrotnie upewniła się, że są w odpowiednim miejscu. Wiedziała, że jeśli nie stchórzy, z łatwością wyciągnie je spod białego materiału i wbije tak, by już nigdy nie mógł napawać się widokiem młodego, bezbronno ciał.

Czuła, jak wali jej serce, kiedy zbliżał się do drzwi. Bała się, że nie wytrzyma, nie doczeka właściwego momentu, by zadać precyzyjny cios. Miała ochotę rzucić się na niego od razu, jak tylko przekroczy próg pokoju, ale musiała być cierpliwa, mieć jeszcze chwilę na zebranie sił, pozwolić mu w nią wtargnąć po raz ostatni.

Po cichu otworzył drzwi, upewniwszy się, że nikt nie widzi. Charakterystycznym chwiejnym krokiem wszedł do ciemnego pokoju. Przekręcił klucz od środka, potem rozpiął pasek i zrzucił spodnie. Codzienny rytuał zakończony gwałtem „wybranej”. Upajał się tym, zadawanie bólu i widok przerażonych dziewczęcych oczu wprawiały go w stan ekstazy, upewniały w siłę, dodawały energii, podnosiły wartość, którą zgubił jako dziecko. Tylko w ten sposób mógł na powrót czuć się mężczyzną.

Jak zawsze, bez zbędnej finezji przystąpił do dzieła. Najpierw gładził uda, powoli, niezbyt delikatnie, zadzierając ku górze bawełnianą koszulę. Po kilku dłużeń się minutach, kiedy poczuł, że jest gotowy, zwinnym ruchem ściągnął z siebie bieliznę. Wszedł w nią od razu, gwałtownie niczym rozpędzony w locie orzeł, który z precyzją wbija się w ofiarę. Jęknęła cicho, próbując zapanować nad rozdzierającym bólem, wytrzymać jeszcze chwilę, dopóki zupełnie straci czujność. Przecież nic nie mogło się wydarzyć. Nie spodziewał się ciosu, nie przygotował na obronę i karę w jakiegokolwiek najdrobniejszej formie. Był pewien, że Elizabeth,

podobnie jak jej poprzedniczki i potencjalne następczynie, skupione na bólu, zniewolone strachem, nie są w stanie mu się sprzeciwić, że w myślach błagają jedynie o przetrwanie, czekają aż nadejdzie świt, a poranny prysznic zmyje resztki nocy. Krople wody były niczym chrzest, a każdy kolejny dzień przynosił rozgrzeszenie, zarazem pogłębiając poczucie winy i wstydu.

Jego ruchy stawały się szybsze, głębsze, intensywne. Z każdym ułamkiem sekundy wpadał w coraz większy trans, jak dzikie, żądne krwi zwierzę. Już wiedziała, że jest blisko, że za moment osiągnie szczyt ekstazy, a wtedy ona zanurzy swoją drobną dłoń pod miękką poduszkę i delikatnym ruchem, zupełnie niepostrzeżenie wyciągnie ostre narzędzie i wymierzy sprawiedliwość.

Jego ciało zadrgało w konwulsjach, a potem wygięło się w łuk. Resztką sił próbował stłumić w sobie skowyt rozkoszy, zachowując ostatki rozsądku i ostrożności.

Nie wahała się ani chwili dłużej. Z całych sił zadała głęboki cios prosto w osłoniętą zamkniętą powieką oczodół.

Jego krew rozprysła się na jej niewinnej twarzy, a potem pociekła po policzku. Dopiero teraz poczuł ból, zrozumiał, co się stało. Już miał przystąpić do ataku, kiedy z precyzją wbiła się w drugie oko. Ryknął niczym niedźwiedź schwyty w sidła kłusownika. Rękoma zasłonił zakrwawioną twarz i wijąc się osunął na podłogę.

Elizabeth zerwała się z łóżka. W prawej ręce wciąż trzymając nożyce podbiegła do drzwi. Zamaszyście przekręciła klucz. Jej przeraźliwy, histeryczny krzyk niósł się długim ciemnym korytarzem, przenikał grube ściany budynku, odbijał echem, wgryzał w uśpione umysły koleżanek.

Przywarła plecami do ściany holu. Niczym zjawa uniosła na palcach drobne ciało schowane pod poplamioną koszulą. Szpiczaste, zakrwawione nożyce wypadły jej z dłoni, potargane włosy zakryły zapłakaną twarz.

Nastała długa cisza, zanim po kolei zaczęły otwierać się drzwi.

Elizabeth osunęła się na podłogę, potem straciła przytomność.

Atak ze szczególnym okrucieństwem, zarazem działanie w afekcie i obronie własnej. Na jej korzyść zeznawało kilkanaście ofiar, bez mojego udziału. Nie miałam odwagi roztrząsać przed światem bolesnych wspomnień. Nie chciałam, pozornie wierząc, że to zamknięty rozdział. Ale nigdy nie był. Póki myśli krążą w głowie, póki żyję, horror tamtych lat nigdy się nie skończy.

Elizabeth cierpiała trzy dni, ja okrywałam się hańbą przez lata. Czulałam wstyd tak potworny, że bolał. Nie potrafiłam przyznać się przed innymi do zasługującej na pogardę słabości. Wystarczyło, że zrobiłam to przed sobą.

Po trwającym ponad rok procesie został sprawiedliwie skazany. Z takim wyrokiem, milionem gwałtów na nieletnich na koncie, nie miał szans na więzienny

spokój. Nawet najbardziej strzeżona cela nie byłaby w stanie mu go zapewnić. Umarł w męczarniach, zgwałcony na śmierć.

Czy poczułam ulgę? Czy ulżyło którejś z nas? Gdyby ktoś zadał mi to pytanie, roześmiałabym się prosto w twarz, racząc pogardliwym spojrzeniem. Jego śmierć tak naprawdę nie ma dla nas znaczenia. Mogła być tylko wybawieniem dla przyszłych potencjalnych ofiar. Chociaż pewnie marnym. Zło imponuje, znajduje miłośników i wiernych naśladowców. Oprawcy odchodzą i przychodzą. Nigdy ich nie zabraknie.

Dochodzi pierwsza po północy. Wciąż leżę skulona w kłębek, bez szans na spokojny sen. Gdyby było wcześniej, poszłabym do baru, do Iva. Odwiedziny mogę zaryzykować, przecież czasami kończą nad ranem, ale nie jestem pewna, czy pokonanie ośmiu ciemnych przecznic nie będzie walką o przetrwanie. Może cień ciągle czai się w pobliżu? Czeka, aż w oknach zabłyszczą światła i dam mu znak będący zaproszeniem? Żaden z pomysłów nie jest dobry. Dzisiejszy wieczór i noc mogę wykreślić z kalendarza, uznać za stracony. Najgorsze, że zabrakło procentów, towaru pożądanego, na wagę złota. Nie mam leków na sen. Wyczerpałam zapasy, a ponieważ kolejna bezsenna noc gwarantuje znaczny spadek formy, wkrótce pewnie pożegnam się z redakcją. Naczelny wykazuje ogromne pokłady zrozumienia i cierpliwości wobec mojej osoby, ale wszystko ma swoje granice. Szef nie znosi braku zarówno kompetencji jak i światłego umysłu. Bezsprzecznie grozi mi to drugie. Brak snu i nachalne myśli wysysają ze mnie energię, pozbawiają sił. Jestem zmęczona.

Z trudem zwlekam się z łóżka, po cichu skradam w stronę okna, jakbym się bała, że ktoś usłyszy. Delikatnie odchyłam ciężką, ciemną zasłonę. Mam taką tylko w sypialni, tu sprawdza się idealnie, nie pozwalając promieniom porannego słońca zakłócać spokoju.

Na zewnątrz błoga cisza i ani śladu żywej duszy. Przynajmniej tak mi się wydaje, mogę ocenić jedynie obszar w zasięgu wzroku. Kto wie, co dzieje się za rogiem? Czy już zawsze będę musiała uciekać, czując na plecach jego oddech?

Wracam z powrotem do skulonej pozycji na środku wygodnego materaca. Nie mogę zasnąć, więc z nudów przeglądam wiadomości w telefonie. „Bezimienny” dawno się nie odzywał. Pewnie znowu czeka na uliczny bestseller. Jest kilka słów od Claire, sprzed tygodnia, że też nie zauważyłam wcześniej. Zresztą, mało istotne. Pogrzeb ojca zakończył nasze niezbyt czułe pseudo rodzinne relacje, przynajmniej dla mnie. Spadek został rozdzielony zgodnie z życzeniem zmarłego, wszystko odbyło się wedle prawa i w obecności świadków. Nie mam już ojca ani wspólnych spraw z jego niepospolitą żoną, obecnie dobrze sytuowaną wdową. Pewnie chodzi o tą małą, której imienia nie zapamiętałam. Claire chce się spotkać, a właściwie chciała tydzień temu. Brak reakcji z mojej strony może w

końcu ją zniechęci, może zrozumie, że niewiele wskóra, nie zwabi mnie bzdurną gadką o potrzebie siostrzanej miłości. Dla mnie, te wartości nie istnieją, nie liczą się od lat. Już nie umiem kochać. Nie pamiętam, jak się to robi, co czuje.

Odważnie zapalam światło. Pająk czmycha w pośpiechu do swojej kryjówki. Dochodzi czwarta nad ranem. Nie ma sensu walczyć o sen. Zaraz zacznie świtać.

Wstaję ociężale. Mój wyczerpany organizm domaga się gorącej i bardzo mocnej kawy. Raz na jakiś czas powinnam również zjeść coś w rodzaju śniadania.

W dawno niemytym zlewie piętrzą się naczynia. Czas ponarzekać na deficyt czystych kubków lub zakasać rękawy i zabrać się za porządki. Moja kuchnia wygląda tak, jakby nikt dawno jej nie odwiedzał. Trudno domyślić się, że właścicielem tych kilku zaniedbanych metrów jest kobieta. Jakoś nie czuję wstydu. Tego rodzaju drobiazgi, mało istotne, przyziemne, właściwie mnie nie obchodzą. Na co dzień nie zaprzątam sobie głowy bałaganem.

Słyszę dźwięk SMS-a dochodzący zza ściany. Ze zdziwieniem spoglądam na zegar resztką sił kołyszący się nad lodówką, aż cud, że wciąż tam wisi. Minęło zaledwie piętnaście minut. Czyżby ktoś zmagął się z podobnym problemem? Nawet jeśli, jak śmie wysyłać wiadomość kwadrans po czwartej nad ranem?

„Śpisz?” Biedny Ivo, chyba i jego dopadł nocny niepokój.

Na mojej zmęczonej twarzy maluje się pobłażliwy uśmiech. Powoli wybieram numer.

– Jednak nie. Dzięki Bogu, miałem wyrzuty sumienia, że cię budzę, ale już nie mogłem wytrzymać. Trudno było z tym czekać – dyszy w słuchawkę.

– Biegniesz? – pytam zdziwiona.

– Tylko dwie krótkie rundki wokół domu.

– Odbiło ci?!

– Sam już nie wiem – próbuje żartować, ale czuję, że coś jest nie tak.

– To może wpadniesz do mnie? Właśnie robię kawę.

Parska śmiechem.

– Dzięki, ale aż tak to mi nie odbiło. Zresztą, nawet, gdybym się rozpędził, pewnie dobiegłbym na jutrzejszą kolację. Wiesz, że nie przepadam za zimną kawą, a dwudniowa całkiem odpada.

– Dobra, z czym nie możesz czekać?

– Lepiej usiądź! – zdyszany krzyczy w telefon.

– A ty trochę zwolnij! Żebym cokolwiek mogła zrozumieć. Mów, umieram z ciekawości!

– Wczoraj, przed zamknięciem baru wpadł twój prześladowca – jego głos jest trochę spokojniejszy – tym razem nie pytał o ciebie, ale wiem, że węszył jak pies. Rozsiadł się przy stoliku, zamówił małe piwo, potem wyciągnął telefon i długo z kimś gadał. Szkoda, że nic nie słyszałem, ale było jeszcze trochę ludzi – przerywa na moment jakby chciał złapać oddech. - Dziwnie się zachowywał, był

jakiś niespokojny, wiecznie się rozglądał. Nie byłbym pewien, czy tylko z twojego powodu, czy...

– To jeszcze o niczym nie świadczy – wchodzę mu w słowo – może po prostu wpadł na piwo?

– No to uważaj! Teraz najlepsze! – mówi podekscytowany. – Wkrótce po tym jak skończył rozmawiać, wypił duszkiem piwo i wyszedł przed bar. Przez chwilę go nie widziałem, myślałem, że sobie poszedł, aż tu nagle stanął tyłem do futryny, zgadnij z kim?

– Daj spokój! Nie mam ochoty na zabawę w zgadywanki, zwłaszcza o tej porze!

– Z tą gliną! Z dociekliwym panem porucznikiem od zadań specjalnych!

– Z Colombo?! – pytam z lekkim niedowierzaniem.

– Zwał, jak zwał! Z tym, którego oboje dobrze znamy.

– I co?

– I nic. Pogadali sekundę i poszli. Miałem wrażenie, jakby chcieli, żebym ich widział, specjalnie stanęli przy oknie, centralnie na środku.

Zapada długa cisza. Właściwie nie wiem, co mam myśleć. Jestem zmęczona, rozdrażniona i jedyne o czym marzę, to napić się tej cholerne kawy.

– Jesteś tam? – Ivo brzęczy niewyraźnie.

– Chce mi się spać, a za chwilę muszę iść do roboty! – mówię z wyrzutem.

– Posłuchaj, a może ten facet wcale nie jest dziennikarzem? Może to glina?

– Nie wiem. Szczerze? Gówno mnie to obchodzi. Ale dzięki za info. Wiem, że się martwisz.

– Wpadniesz po pracy?

– Jeśli nie zasnę na biurku i dowlokę się z powrotem do domu, może tak.

– Przyjdź, pogadamy – rzuca proszącym tonem.

– Zobaczę Ivo, na razie.

– Trzymaj się, pa – rozłącza się.

Spośród góry brudnych naczyń, wydobywam dość spory kubek, jedyny jaki mam o takich gabarytach. Właśnie taka ilość będzie mi potrzebna na poranny rozruch. Włączam elektryczny czajnik, do kubka sypię dwie czubate łyżki, po chwili zalewam je wrzątkiem. Aromat kawy unosi się w powietrzu, wypełnia kuchnię, a potem całe mieszkanie. Uwielbiam ten zapach, jestem od niego uzależniona, podobnie jak od burbona, pracy w redakcji, samotności, cierpienia i zła.

A więc przecucia mnie nie myliły. Cień McCormicka wlecze się za mną jak pies, bezustannie od wielu tygodni, może nawet dłużej. Czego naprawdę chce ten facet? Kim jest? Zapewne wkrótce się dowiem. Intuicja, ta która zazwyczaj się nie myli, działa jak ostrzeżenie. Nasze nagłe spotkanie od początku wydało mi się podejrzane. Teraz nie jestem przekonana, czy byliśmy razem na roku, czy w ogóle

studiowaliśmy na jednej uczelni?

Dochodzi piąta, dopijam mocną, gorącą kawę. Parzy w język, ale kofeinowy głód jest silniejszy od rozsądku i bólu jaki pozostawia wrzątek. Z obawą zaglądam do lodówki. Nie pamiętam, kiedy ostatnio robiłam zakupy. Półki wewnątrz są puste. Tylko w plastikowym pojemniku na warzywa zachował się jakiś biały serek i owocowy jogurt. Dzień po upływie terminu przydatności nie świadczy o jego braku. Przynajmniej zjem śniadanie. Po raz pierwszy od długiego czasu.

Droga metrem dłuży się w nieskończoność. Przysypiam za każdym razem, kiedy pociąg rusza z kolejnej stacji. Kiedy staje, nerwowo otwieram oczy w obawie, że nie zdążę wysiąść. Nie mam pojęcia, jak uda mi się przeżyć dzisiejszy dzień. Z każdą chwilą czuję się coraz bardziej wyczerpana. Już nie potrafię przytomnie myśleć. Może powinnam poprosić o urlop? Tylko na dzisiaj, tylko po to, by wreszcie się wyspać.

Schodami wlokę się na górę. Ostre słońce razi w oczy, a buchający zewsząd żar parzy skórę. Od dzisiaj znowu uderzenie nowojorskiego lata czyli długa i okrutnie męcząca fala upałów. Czasami mam wrażenie, że to miasto się roztopi, że rozplniemy się w lawie plastiku i szkła.

Przede mną kilkaset najdłuższych metrów. Żmudna droga do mety. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek ta odległość wydawała się nie mieć końca. Szturchana przez pędzący śródmiejski tłum, resztką sił brnę do przodu, byleby przed siebie, by tylko przedostać się na drugą stronę przeszklnych drzwi redakcyjnego budynku. Już niedaleko, zaledwie parę metrów dzieli mnie od metalowego uchwytu, który otworzy wrota raj. Marzę o powiewie chłodnego powietrza, uldze jaką przynosi głośny dźwięk klimatyzatora.

Nagle ktoś zastawia mi drogę. Niezbyt przytomne oczy rejestrują zamglony obraz. Męskie buty z delikatnej brązowej skóry, wypolerowane na błysk. Beżowe cienkie spodnie w kant, przepasane paskiem w kolorze obuwia. Biała, lniana koszula z krótkim rękawem, jednodniowy zarost, niezbyt szczery, wymuszony uśmiech i równie nieszczerze spojrzenie nienaturalnie błękitnych oczu.

– Cóż za miłe spotkanie!

– Przepraszam, śpieszę się do pracy – cedzę przez zaciśnięte zęby, próbując go ominąć.

– Jeszcze siedem minut. Zdążysz wjechać na dwudzieste drugie piętro, nawet jeśli poświęcisz mi chwilę. – Głos McCormicka jest zmieniony, a z jego twarzy znika pozorny uśmiech.

Nie odzywam się, patrzę jakby odjęło mi mowę, jak sparaliżowana.

– Czego chcesz? – pytam po chwili.

– Musimy pogadać. Spotkajmy się dzisiaj wieczorem.

– Mowy nie ma! – rzucam, prawie wchodząc mu w słowo i robię

zdecydowany krok do przodu.

– Popełniasz błąd. – Chwyta mnie za ramię.

Parskam śmiechem i wchodzę do budynku. Szybkim krokiem zmierzam w kierunku windy. Czuję za sobą jego kroki i przyśpieszony oddech. Walczę ze sobą, by się nie odwrócić. Starając się zachować spokój, cierpliwie czekam na windę. Charakterystyczny dźwięk komunikuje o otwarciu drzwi. Jest pusto. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy wsiąść, czy pozwolić mu na niecałą minutę spotkania bez świadków. Właśnie tyle trwa podróż na piętro redakcji.

Jak wszedł do budynku? Może faktycznie pokazał policyjną legitymację, a może od zawsze tu był?

Zamykają się drzwi. Stoimy naprzeciwko siebie bez słowa. Wzrok mam wbity w podłogę. Nie chcę pokazać po sobie strachu, ani narastającej złości.

– Spotkaj się ze mną – naciska.

– Mam dość! Powiedz, o co ci chodzi i miejmy to z głowy!

– Uwierz, że to nie miejsce i czas.

– Spadaj! – rzucam, kiedy winda zatrzymuje się na piętrze.

– Widziałem cię tamtej nocy – słyszę już za plecami – wysiadłaś z taksówki...

Stoję nieruchomo. Odgłos zamykających się metalowych drzwi i charakterystyczny dźwięk mieszają się z jego słowami. Czuję chwilowy ucisk w gardle, a potem nieprzyjemny skurcz żołądka. Nie odwracam się. Wiem, że już go nie ma.



## EPIZOD XVII

Cztery przesiadki, kilkakrotny spacer i niecałe dwie godziny zajmuje podróż do Stamford. Musiałam się zgodzić, nie miałam wyjścia. Zadzwoił wkrótce po tym jak wysiadł na dole z windy, a ja zdążyłam dowlec się do biurka.

Nie mam pojęcia, dlaczego w końcu przystałam na pomysł z domkiem za miastem, ale był uparty i chyba przekonujący. Zresztą, tamtego dnia wszystko przestało mieć znaczenie. Dalsza obrona przed atakiem straciła sens.

Jakoś udało się przeżyć środowy koszmar. Nie spotkałam się z Ivem, nie dałam rady. Powalił mnie kamienny sen jak tylko padłam na łóżko w sypialni. Chyba po raz pierwszy w życiu przespałam ciągiem dziesięć godzin.

Jest piękne piątkowe późne popołudnie. Na chwilę wracam do domu. Muszę się przebrać i odświeżyć, zanim odwiedzę intruza za miastem. Nadal nie wiem, kim jest. Jeśli faktycznie gliną, która współpracuje z natrętnym Colombo, przestaję rozumieć sens tej farsy. Dlaczego od razu mnie nie zamknęli, albo przynajmniej przesłuchali w tej sprawie? I pomyśleć, że noc w mieszkaniu adwokata prawie zatarł czas.

Nie mam pojęcia, co planuje Jeremy McCormick, ale preludium naszej znajomości od początku nie wróży dobrze. To zapowiedź zła, które od czasu pierwszego spotkania wzbiera we mnie, potęgując wściekłość. Wystarczy tylko drobna prowokacja gestem lub słowem, by nastąpił wybuch. Jestem o niewielki krok od załążka zbrodni. Dobrze znam ten rodzaj niepokoju, czuję go całą sobą. Oto ponownie budzi się we mnie „obcy”, z każdą chwilą rośnie w siłę, by wreszcie przejąć całkowitą kontrolę nad umysłem i ciałem.

Kiedy wieczorem wyjdę z domu, a potem wyruszę w podróż do Stamford, już nie będę sobą. Stanę się „nim”, z całą jego niszczycielską potęgą i odwagą, która nie cofa się przed niczym. „Jego” nikczemność i podłość wprawia mnie w stan euforii, aż poczuję kwintesencję, smak zła w najczystszej postaci.

Biorę szybki prysznic i chociaż zazwyczaj tego nie robię, zakładam sukienkę. Wcielenie diabła zawsze ma wygląd anioła.

Niecodzienny makijaż jest jak maska. Można się pod nim ukryć. Czy ja to jeszcze ja? Ostatnie spojrzenie w wielkie lustro w przedpokoju. Inna, mniejsza torebka, pasująca bardziej do całości, a w niej tylko kilka niezbędnych drobiazgów. Zamykam drzwi i zbiegam po schodach.

Na zewnątrz jest przyjemnie. Temperatura nieco spadła i czasami powieje chłodniejszy wiatr. Idealnie jak na letni piątkowy wieczór.

Jestem spokojna, mam dobry humor i chociaż czuję się trochę jak dziwka umówiona z klientem na schadzkę za miastem, wiem, że to misja specjalna, cena za

zbrodnię.

Wsiadam do metra. Dwa przystanki i pierwsza przesiadka. Potem jeszcze trzy, zanim dotrę na miejsce. McCormick ma po mnie wyjść, tak ustalili, a ja przyjąłem propozycję z pokorą, jak przystało na ofiarę w pułapce.

Póki nie dowiem się wszystkiego, muszę grać. Czasem lepiej uzbroić się w cierpliwość, zaniechać pochopnych działań, które bywają jedynie natychmiastową reakcją obronną, nieprzemyślaną odpowiedzią na strach.

Czy się boję? Jeśli nawet odrobinę, nie wiem czy bardziej tego co usłyszę czy czynów do jakich jest zdolny każdy dobrze zbudowany, pałający żądzą facet, zwłaszcza taki, który coś ukrywa i ma wobec mnie swój własny plan. A może najbardziej boję się siebie?

Jeremy McCormick to postać zagadka. Pojawił się jak zły duch, zniecała wyrósł spod ziemi, prosto na mojej ścieżce. Kolejny życiowy oprawca, który ma wobec mnie niezbyt uczciwe zamiary. Nie muszę się godzić. Nie tym razem. Już nie jestem zagubioną nastolatką, uwięzioną w ciemnym pokoju internatu. Kimkolwiek jest on, lepiej niech ze mną nie zadziera. W przeciwieństwie do niego, nie mam planu na dzisiejszy wieczór ani proroczej wizji niedalekiej przyszłości, ale skoro już stanął na drodze, mimowolnie stał się częścią mojej historii, a ta zazwyczaj musi mieć swój początek i koniec.

Druga przesiadka. Dobry nastrój mnie nie opuszcza, choć niespokojne myśli błądzą po głowie. Niech są, mają wpływ na wzmożoną czujność. W sumie zaczyna mi się podobać. Niespodziewana i intrygująca sytuacja jest chyba ciekawym urozmaicheniem nudnej, przewidywalnej egzystencji. Wszystko może się zdarzyć.

Zostaję sama w pustym przedziale. W Nowym Jorku to rzadkość, zwłaszcza o tej porze. Jest zbyt wcześnie by opustoszało miasto. Piątkowy wieczór dopiero się zaczyna. Krótki odpoczynek od widoku zmęczonych twarzy ze wzrokiem utkwionym w ekran telefonu przynosi chwilową ulgę. Świat się otworzył, a jednocześnie zamknął nas w potrzasku. Na niewiele zda się ucieczka. W galaktyce jest mnóstwo przestrzeni, ale brakuje miejsca, gdzie można by się schronić.

Wysiadam, z trudem próbując przepchać się przez grupę wyrostków, jakby nie było innych drzwi. Ostatni raz zmieniam kierunek. Ta część podróży zajmie najwięcej czasu i chociaż zaczynają dopadać mnie wątpliwości, nie ma odwrotu. Docelowa prosta w drodze do Stamford.

Mam wrażenie, że wskazówki zegara nagle przyśpieszyły. Pociąg sunie po nierównych torach, jakby przyciągał go wielki magnes. Zmierzam prosto w paszczę lwa i niespodziewanie ogarnia mnie strach. Chyba wolę być zaskakiwana niż świadomie pchać się w kłopoty.

Drobne krople letniego deszczu rozpryskują się na szybie. Spoza białych, puszystych chmur wciąż próbują przedrzeć się promienie słońca, barwna tęcza zaznacza łuk na niebie. Wznosi się wysoko nad gęstą zielenią leśnych konarów.

Jest pięknie. Na moment zapominam dokąd i po co jadę, upajam się błogim widokiem. Może po prostu ominąć stację, zostawić wszystko i pojechać dalej? Nie wiem, jak długo zdołałabym uciekać przed ciemnym cieniem McCormicka? Myślę, że znalazłby mnie wszędzie.

Jeszcze dziesięć minut. Nerwowo zaczynam odliczać sekundy, wpatrując się w ekran telefonu. Po co właściwie włączyłam stoper?

Chowam aparat z powrotem do torebki, wydaję setkę wódki w fikuśnej buteleczce. Nawet już nie pamiętam, skąd tam się wzięła. Musiała tkwić od dawna. Torebki nie używałam od lat. Nie myśląc długo, odkręcam szkło i przechylam do ust. Nie ma świadków, a alkohol chyba nie traci ważności i na zawsze zachowuje moc, bo czuję jak pali.

Pusty peron dzisiejszej mety. Podnoszę się z wygodnego siedzenia i zmierzam w kierunku drzwi. Nikogo nie ma. Czyżbym pomyliła stację?

Bezmyślnie stoję przed tablicą z rozkładem, kątem oka obserwując odjeżdżający pociąg. Szkoda, że w tej butelce była tylko setka.

– Dobry wieczór.

Wzdrygam się na dźwięk męskiego głosu. McCormick stoi tuż za mną. Jak on to robi? Jakim cudem zawsze wyrasta spod ziemi? Może w jego przypadku to uwarunkowanie genetyczne, a może perfekcyjnie wyuczony trik, będący częścią misternie przygotowanego planu?

– Dobry wieczór – mówię zmienionym głosem, starając się zachować spokój i udając uśmiech. Mam wrażenie, że brzmie i wyglądam idiotycznie.

– Zapraszam. – Wskazuje ręką drogę.

Jest jakiś inny, poważny, bardziej pewny siebie. Zaczynam czuć się nieswojo. Nagle opuszcza mnie dobry humor. Mimo tego idę zdecydowanym krokiem, mistrzowsko ukrywając zdenerwowanie.

Długi peron zdaje się nie mieć końca. Wokół wciąż nie ma żywej duszy. Ogarnia mnie przedziwne uczucie strachu i rozbawienia jednocześnie. Napięta atmosfera i całkowicie wyludniona okolica nadają sytuacji zupełnie surrealistyczny wydźwięk. Obraz nas dwojga, idących w milczeniu po długim peronie graniczy z absurdem. Spotkanie tutaj jest tak niedorzeczne, że zaczyna mnie bawić. Chyba mi odbiło. Jak mogłam przystać na taką propozycję? Czyżbym na chwilę straciła rozum?

Schodzimy na dół, pokonując kilkanaście stopni. Widzę niezbyt szeroką ulicę otoczoną drzewami i zaparkowany czarny, terenowy samochód. Ma przyciemnione szyby. McCormick otwiera drzwi od strony pasażera i niezbyt serdecznym skinieniem zaprasza do środka. Waham się przez moment, a potem przytrzymując delikatny materiał sukienki tak, by się nie pogniotła, zajmuję miejsce. Z trzaskiem zamyka za mną drzwi. Powoli, pewnym krokiem okrąża przód wozu. Odkąd zaczepił mnie na peronie, unika mego wzroku.

Sprawnym ruchem umieszcza kluczyki w stacyjce, zapala silnik. Głośny warkot przerywa nieznośną ciszę. To nie randka. Nie było kwiatów, komplementów i zalotnego uśmiechu. Teraz mogę spodziewać się wszystkiego. Nikt nie wie, gdzie jestem, a ja nie mam pojęcia, w jaką podróż zabiera mnie właśnie Jeremy McCormick.

Od chwili, kiedy wyszłam z domu w mojej głowie piętrzy się sterta niepotrzebnych myśli, które błędzą zmieniając kierunki i tworząc bałagan. Popadam z jednej skrajności w drugą, walczę, próbując zapanować nad sprzecznymi emocjami.

– Już niedaleko – odzywa się nagle. – Powinno ci się spodobać – uśmiecha się kącikiem ust.

Nie wiem, dlaczego godzę się na to wszystko. Im dłużej przebywam w jego towarzystwie, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że popełniam błąd. Może to ostatni moment na ucieczkę? Powinnam otworzyć drzwi i wyskoczyć z samochodu. Powinnam wiać jak najdalej. Powinnam, ale wciąż tkwię wciśnięta w fotel, zabezpieczona pasami, które przecież sama zapięłam. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Z własnej woli wsiadłam w pociąg do Stamford i pozwałam wieźć się w nieznaną. Ten wieczór to abstrakcja. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jestem kompletnie zdezorientowana. Nie potrafię niczego przewidzieć i nadal nie wiem, kim jest siedzący obok facet.

Odruchowo wkładam dłoń do torebki, upewniam się, czy jest w niej telefon i gaz. Kupiłam specjalnie na dzisiejszą okazję. Kątem oka widzę jego grymas. Cały czas mnie obserwuje. Bezbłędnie odczytuje myśli. Jest mi głupio. Czuję się zmieszana niczym dziecko przyłapane na gorącym uczynku. Z jednej strony mam ochotę krzyknąć i kazać mu zatrzymać wóz, z drugiej, powstrzymuje mnie nieposkromiona ciekawość.

– Mieszkasz tu sam? – nagle odzyskuje głos. – Mam na myśli puste ulice.

– Przypadek – na jego twarzy maluje się ironiczny uśmiech. – To miasto liczy sobie ponad sto dwadzieścia tysięcy.

– Ogłoszono stan zagrożenia? – próbuję być zabawna. – Może grają mecz?

– To spokojna dzielnica.

– Rzeczywiście, wyjątkowo. Odkąd ruszyliśmy nie zauważyłam żywej duszy.

– Już mówiłem. Przypadek. – Znowu wykrzywia twarz w dziwnym grymasie. – Bez obaw. Stamford zajmuje pierwsze miejsce w stanie pod względem bezpieczeństwa.

– Sugerujesz, że się boję?

– Sugeruję, że powinnaś pozbyć się wątpliwości.

Parskam śmiechem. Jego ton i pewność siebie są nie do zniesienia. Co ja wyprawiam? Nie wiem, ile czasu zdołam udawać. Z trudem próbuję pohamować

gniew. W środku cała buzuję. Jestem wściekła, że przyjechałam, że zgodziłam się na ten cyrk. Towarzystwo McCormicka męczy. Nie potrafię tego racjonalnie wytłumaczyć, ale odczuwam dziwne napięcie, mimo że on zdaje się być całkowicie rozluźniony. Może oboje gramy.

– Jesteśmy – oznajmia na wydechu, unosząc nieznacznie kąciki ust.

Nie mogę go rozgryźć. Ironiczne uśmiešky, drwiące miny, zagadkowy, niejasny wyraz twarzy zarazem irytują i podsycają wyobraźnię. Odkąd się pojawił, mam wrażenie, że jestem bohaterką filmowego scenariusza. Oboje się bawimy, pytanie tylko, jak długo.

Czas nadrobić dziennikarskie zaległości. On zapewne wie o mnie zbyt wiele, ja o nim nic, oprócz tego, jak wygląda i że tamtej nocy był w nieodpowiednim miejscu. Jak mogłam nie zauważyć? Okolica wydawała się zupełnie pusta, jak teraz. Może się schował, w końcu ma to w zwyczaju.

– Chcesz zostać w samochodzie?

– Sama nie wiem – wzruszam ramionami. – Czekam, aż otworzysz mi drzwi.

Nagle wybucha śmiechem. Kolejna, trudna do przewidzenia reakcja działa niczym impuls. Zaczynam się bać. McCormick zmienia się z każdą upływającą chwilą. Szczególnie twarz, jest jak maska wykonana z plastycznego tworzywa. Trudno osądzić, który jej wyraz ma podłoże prawdy.

– Zapraszam – oznajmia z przekąsem.

– Dziękuję. – Zgrywam uprzejmą, racząc go szerokim uśmiechem.

Drewniany dom ma nowoczesną bryłę. Górę zajmuje jedno przestrzenne pomieszczenie z przeszkloną ścianą. Wszystko tonie w bujnej zieleni. Niezbyt duży ogród porastają kwieciste krzewy i kilka niskich, karłowatych sosen o dziwnej odmianie. Starannie przystrzyżony trawnik prowadzi prosto na taras. Stoi tam zestaw mebli ogrodowych. Wiklinowa, szeroka sofa, wyłożona miękkimi poduchami w szarą kratę. Obok dwa szerokie fotele i stół ze szklanym blatem. Nie słychać nic, oprócz śpiewu ptaków. Zaczyna zmierzchać, więc i one pewnie za moment ucichną. Pomimo że działka nie jest duża, w zasięgu wzroku nie widać sąsiadów, jakby nikt tu nie mieszkał. Nikt, za wyjątkiem McCormicka.

– Dojeżdżasz stąd codziennie? – pytam, kiedy otwiera drzwi.

– Nie. Wynajmuję mieszkanie w Nowym Jorku. Tutaj mam odskocznnię weekendową, chociaż nie zawsze udaje się znaleźć czas na przyjemności.

– Domek tak zwany wakacyjny.

– Nie przepadam za urlopem w mieście. Wolę zaciszne schronienie.

– Nieźle. I to wszystko z dziennikarskiej pensji? – Badam go wzrokiem.

– Powiedzmy – uśmiecha się. - Wina?

– Proszę.

Kiedy otwiera butelkę, mam czas przyjrzeć się wnętrzu. W wykonanym z szerokich bali salonie króluje minimalizm. Pokój i jasna kuchnia z wyspą stanowią

całość. Na środku stoi gigantyczny szary narożnik wykonany z materiału, na pierwszy rzut oka przypominającego płótno. Niski stół z ciemnego, dębowego drzewa tonie w puszystym białym dywanie z długiego włosia. W jedną ze ścian wkomponowany jest prosty kominek, obok którego stoją dwie wysokie kolumny, pełniące funkcję głośników. Nie mogę zlokalizować sprzętu grającego, bo na tym kończy się cały wystrój.

– Dziękuję. – Biorę kieliszek i przechylam do ust. Wino ma delikatnie cierpki, ciekawy smak z pikantną nutą. – Bardzo dobre. – Kiwam głową z uznaniem.

– Mój wujek jest właścicielem winnicy w Chile. Czasem udaje mi się załapać na kilka sztuk. To dobry rocznik – oznajmia z dumą i stuka w moje szkło.

– Twoje dzieło? – Rozglądam się wokół.

– O co chcesz zapytać? – Znowu robi tę minę. – Chyba nie o meble?

– Nie.

– Rozwiodłem się dwa lata temu. Dzieci brak. Weekendową odskocznię zatrzymałem w rozliczeniu. Koniec powieści.

– Żona zabrała resztę rzeczy? – pytam uszczypliwie.

– Sądzisz, że wystrój jest niewystarczający? – Mierzy wzrokiem pomieszczenie. Chyba zbyt poważnie potraktował pytanie.

– Nie. Dobrze okrojone umeblowanie może świadczyć o niewygórowanych potrzebach lub specyficznym guście.

– Lubię przestrzeń. Nie ma jej w zatłoczonym mieście, jakim jest Nowy Jork. Tam gnieźdzą się w dusznej klitce pełnej niepotrzebnych rupieci, których z braku czasu, nie mogę ogarnąć.

– Biegunowość światów. Tam się dusisz, tu oddychasz. Można tak żyć? Zważywszy, że większość czasu spędzasz w Nowym Jorku. Lubisz, kiedy otoczenie cię przytłacza? Każesz się, a potem przyjeżdżasz tutaj po nagrodę?

– Co to ma być?! – Wybucha głośnym śmiechem. – Próbujesz na szybko dokonać analizy? Bierzesz pod lupę mój mózg? – Upija kilka sporych łyków. – To nie takie proste.

– W życiu nic nie jest „takie proste”.

– Wszystko zależy od punktu widzenia.

– Ciekawa teoria.

– Sądzisz, że nie?

– Sądzę, że nie każdy ma tyle szczęścia, by egzystować bez komplikacji. Czasami po prostu na pewne sprawy nie mamy wpływu.

– Na przykład? – Wbija we mnie wzrok, a na jego twarzy na powrót pojawia się charakterystyczny grymas.

– Mówię o sytuacjach, kiedy życie stawia nas pod ścianą. Niby zawsze jest wybór, ale co, jeśli żadne z rozwiązań nie jest dobre? Albo, jeśli nie ma wyjścia, bo

za drzwiami jest mur?

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Tak się czujesz? Przyparta do muru?

– Bez przesady! – obruszam się. – Nie bądźmy aż tak dosłowni. To hipoteza – zmieniam ton, próbując się rozluźnić.

– Z każdej sytuacji jest wyjście. Pytanie, na ile bezpieczne.

– No właśnie. Pytanie, czy jesteśmy w stanie zaryzykować.

– Uwielbiasz ryzyko, prawda? – rzuca z pewnością w głosie nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Skoro wiesz, po co pytasz?

– Jesteś dziennikarką. Ryzyko jest wpisane w ten zawód.

– W takim razie i ty uwielbiasz. Podobno.

Znowu milczy.

– Dlaczego tu jesteśmy? To znaczy, dlaczego ja tu jestem? – wypijam kolejnego łyka, starając się nie patrzeć mu w oczy.

– Głodna? – zmienia nagle temat. – Przygotowałem pieczonego sandacza i trochę dodatków. Mam nadzieję, że lubisz ryby?

Nie czekając na odpowiedź, odchodzi w stronę kuchennej części salonu. Pochyla się przy włączonym piekarniku, a potem przekręca kurek. Zakłada dwie grube rękawice i wyjmuję okazałe naczynie. Pomieszczenie wypełnia przyjemny zapach. Dopijając wino, obserwuję jego staranne ruchy. Mam wrażenie, że nawet najprostsze czynności wykonuje z ogromną precyzją. Podchodzę bliżej i stawiam pusty kieliszek na wysokim barze, który stanowi przedłużenie granitowego blatu. McCormick w tym czasie wyjmuje wcześniej przyrządzoną sałatę z lodówki i nakrywa do stołu przy tarasowym oknie. W międzyczasie włącza muzykę. Nastrojowe dźwięki tłumią wszechobecną ciszę. Już dawno nie słychać świergotu ptaków. Za oknem zapada zmrok.

Dziwnie się czuję. Wszystko jest prawie idealne, jak na pierwszej randce, jednak oboje wiemy, że nie taki jest powód spotkania.

Dolewa mi wina. Aksamitny smak rozplywa się w ustach, pozostawiając odrobinę pikanterii.

– Zapraszam. – Skinieniem głowy wskazuje na stół, po czym nieznacznie odsuwa krzesło.

– Dziękuję. – Usadawiam się wygodnie, wciąż popijając wino. Prawie pusty kieliszek stawiam tuż przy kwadratowym białym talerzu. Perfekcyjnie gram swoją rolę. Zresztą, oboje gramy.

McCormick natychmiast pojawia się z butelką. Jest czujny i chyba chce mnie upić. Nalewa do połowy, potem wraca do części kuchennej, by po chwili zapłacić ładnie nakryty stół. Dobrze wypieczone dwa wielkie sandacze ze złocistą skórą leżą na srebrnym platerze pośród liści zielonej sałaty i plasterów cytryny. Obok w

szkle o dziwacznym kształcie mienia się kolorowe warzywa zanurzone w intensywnie pachnącym sosie. Są jeszcze pieczone pomidorki koktajlowe, szparagi i rumiane grzanki.

– Jestem pod wrażeniem – oznajmiam z uznaniem i ponownie wznoszę szkło.

Wino jest tak dobre, że nie potrafię się powstrzymać, pomimo że nie przepadam za tego rodzaju trunkiem, a także umiem przewidzieć skutki kosztowania go zachłannie i w pośpiechu.

– Smacznego. – Nakłada rybę na mój talerz. – Dodatki wedle gustu. Częstuj się.

– Przepraszam, wolę mniejszą – zamieniam nakrycia, bezustannie wężąc podstęp.

McCormick zaczyna jeść. Z zadowoleniem nabija na widelec kolejny kęs. Przez dłuższy czas się nie odzywa, jakby próbował zaspokoić pierwszy głód. Co jakiś czas tylko zerka na stół, a na jego twarzy maluje się coraz większa duma.

Czuję przyjemne działanie alkoholu. Upewniwszy się, że jedzenie przeznaczone jest nie tylko dla mnie, nakładam odrobinę sałatki, potem kilka pomidorków i dwa zielone szparagi. Kiedy biorę kawałek rzodkiewki, waham się przez moment. Co, jeśli jednak starannie to zaplanował? Jeśli wiedział dokładnie, które warzywa wybrać?

Chyba mam paranoję. Osobiste doświadczenia, wieloletnie obserwacje i redakcyjne zmagania zbierają okazałe żniwo. Z drugiej strony, po co zadawałby sobie tyle trudu? Sposobów na pozbycie się jednostki ludzkiej jest mnóstwo. Uśmiecham się pod nosem, ganiąc własne myśli.

– Bez obaw, nie mam zamiaru cię otruć – mówi nagle, przerywając konsumpcję.

– Mam nadzieję – staram się ukryć zaskoczenie.

Czyżbym była aż tak nieostrożna? Może za sprawą wina tracę nad sobą kontrolę? Od kiedy nie potrafię sprytnie kamuflować myśli? A może McCormick jest genialnym psychologiem?

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – rzucam niby obojętnie, ocierając serwetką kąciki ust.

– Smakowało? Może dokładkę?

– Dziękuję, wystarczy. Ryba była doskonała.

– Pozwól, że ja sobie dołożę. – Wstaje od stołu.

– No dobra. Jak długo ma trwać ta zabawa? Zaczynam się niecierpliwić.

– Powiedzmy, że do końca kolacji.

– Nie wiem, czy czuję ulgę.

– Jest jeszcze deser – oznajmia z triumfującą miną, wracając z kolejną porcją sandacza.



- Zawsze tak się starasz?
- Zawsze? – powtarza, świdrując mnie wzrokiem.

Jego twarz nabiera obcego wyrazu. Mam wrażenie, że tamten McCormick gdzieś zniknął, kiedy przed chwilą odszedł od stołu. Przede mną siedzi już zupełnie inny człowiek. Ogarnia mnie raptowny strach, przez ciało przechodzi krótki dreszcz.

- Co na deser? – staram się zmienić temat.
- Lody waniliowe z gorącym musem malinowym – mówi, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Zaczynam czuć się niezręcznie. Mam ochotę wstać i odejść, a raczej uciec w pośpiechu jak najdalej. Wszystko jedno, nie muszę wiedzieć nic więcej, nie muszę znać prawdziwych powodów naszego spotkania, nie obchodzi mnie McCormick i jego podstępna gra, byleby tylko znaleźć się tam, gdzie nie sięgają jego macki, byleby dał mi spokój.

- O czym myślisz? – pyta nagle, idealnie wyczuwając nastrój.
- Sam robiłeś mus? – Posyłam nieszczerzy uśmiech.
- Wszystko robię sam, lody też są mojej roboty, nawet sandacze złowiłem sam – mówi z pełnymi ustami.

– Zabawy z wędką. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Sport dla cierpliwych czy leniwych?

– Cierpliwość, opanowanie i wytrwałość to klucz do sukcesu, niezależnie od tego, jaki jest nasz cel. Jesteś laikiem. Jak większość, która nie ma o tym pojęcia bagatelizujesz sprawę.

- Wędkowanie to nuda dla zabicia czasu.
- Nie, moja droga. Wędkowanie to jedno z nielicznych hobby, wymagające pełnego skupienia i zaangażowania. Poza tym cudowny sposób na relaks i obcowanie z naturą. Szansa na ciszę, podczas której słyszysz własne myśli.
- Byłam pewna, że nie masz natury romantyka.
- Oczywiście, przecież mnie nie znasz.

Wstaje od stołu, zbiera brudne naczynia i odnosi do otwartej zmywarki. Kiedy ponownie krząta się przy kuchennym blacie, dopijam resztę wina. Wiem, że nie spuszcza mnie z oczu, bezustannie obserwuje, śledzi każdy ruch.

Patrząc w okno, biorę kilka głębokich oddechów. Zbieram siły, by dokończyć pojedynek, przecież nie mogę tak po prostu zwać, stchórzyć, dając mu satysfakcję. Nie jestem gorsza od niego. Powinien to wiedzieć.

Na zewnątrz już zupełnie ciemno. Odkąd przestała grać muzyka, śmiertelną ciszę co jakiś czas przerywa pohukiwanie sowy. Brzmi złowieszczo, niczym zwiastun nadchodzącego niebezpieczeństwa. Jak wszystko dzisiejszego wieczoru, nawet to wydaje się irracjonalne.

McCormick zapala świece, stawia na stole dwa szklane pucharki, po czym

otwiera następną butelkę. Nie czekając, zanurzam łyżeczkę w malinowym musie. Spływa na samo dno, rozpuszczając lody. Jest pyszny. Nabieram kolejną porcję, delektując się smakiem.

– I jak? – Pochyliła się nade mną, czuję na sobie jego oddech.

– Wspaniale. Chyba przestało mi się śpieszyć – stwierdzam z nutą kokieterii.

– Naprawdę? – Siada naprzeciw. – Nie odniosłem wrażenia, że sytuacja w jakikolwiek sposób cię krępuje.

– Nie chodzi o to.

– Rozumiem. Wina?

Staram się ukryć ironiczny uśmiech.

– Jeremy McCormick – cedzę, stukając opuszkami palców w pełen kieliszek.

– Kim jesteś? Bo na pewno nie kolegą z roku. Glina?

– Dobrze! – Parska śmiechem, kiwając przecząco głową. – Strzelaj dalej!

– Dziękuję za kolację. – Odkładam łyżeczkę do pustego pucharka. – Myślę, że najwyższy czas zakończyć przedstawienie. Pogadajmy poważnie. Czego chcesz?

– Ciebie – rzuca bez chwili namysłu.

– Mnie?

– Chyba wyraziłem się jasno.

– To szantaż? Wspominałeś coś o tamtej nocy – waham się przez moment. – Od kiedy za mną łąsisz?

Nagle milknie. Sprawia wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał. Ponownie wstaje od stołu, zabiera resztę naczyń.

– Od dziewięciu miesięcy, dwunastu dni i prawie dziewiętnastu godzin – słyszę z kuchni i czuję ucisk w gardle.

Jest mi słabo, a przed oczami wirują szare plamy. Mam kołowrotek myśli i zawroty głowy. Trudno ocenić, czy to działanie alkoholu czy reakcja szokowa na jego precyzyjną odpowiedź.

– Nic nie powiesz? – Staje obok.

– Przepraszam, zaschło mi w gardle. Mogę prosić o szklankę wody?

– Nie denerwuj się. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Nikomu.

Jego słowa dźwięczą w uszach niczym głośny alarm. Czuję, że nadszedł czas ewakuacji, ale nie mogę ruszyć nogami. Są jak z waty, jakby nie należały do mnie. Po raz kolejny w życiu jestem w pułapce. Znowu za drzwiami ciemnego pokoju, zamknięta pośród ścian szkolnego internatu, skąd nie dochodzi nawet szmer, gdzie nikt mnie nie usłyszy, bez szans na ucieczkę.

– Proszę. – Zbliżyła do moich ust szklankę wody, jakby chciał mnie napić.

Wyrywam mu szkło z dłoni i wypijam do dna, z hukiem odstawiam na stół. Dopiero teraz dociera do mnie, co się dzieje. W myślach analizuję każdy upity łyk. Nie, to niemożliwe. Przy mnie otwierał butelki, patrzyłam mu na ręce. To nie wino. Może deser? Uważałam od początku, na wszystko, a jednak coś jest nie tak. Nie

mogę zebrać myśli. On wie nie tylko o adwokacie. Rok bez tych kilkudziesięciu dni to sporo, a na moim koncie na darmo szukać szlachetnych uczynków.

– Byłeś tam, prawda? – pytam ze wzrokiem wbitym w stół. – On żył, kiedy wychodziłam – staram się skupić, nie patrząc mu w oczy.

– Piękny, krwawy prolog w twoim wykonaniu. Byłem pod wrażeniem. – Unosi do ust swój kieliszek. – Znalazłaś się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie, tak bywa. O mały włos pokrzyżowałabyś mi plany.

– Jak mnie znalazłeś?

– To nie było trudne. Bar twojego przyjaciela nagle stał się bardzo popularny.

– Przecież...

– Śledziłem adwokata, nie ciebie – wchodzi mi w słowo. – Nie moja wina, że tamtej nocy trafił właśnie do tego baru i że wpadłaś mu w oko.

– Nikogo nie widziałam. Nie musiałeś mnie szukać.

– Wystarczy, że ja widziałem.

– Nie rozumiem. A spotkanie z porucznikiem?

– Wywiad działa sprawnie – mówi z ironicznym uśmiechem. – Byłabyś dobrym detektywem. Zresztą, dziennikarz jest trochę jak pies. Spotkanie z gliną nie dotyczy tej sprawy.

– Więc do czego jestem ci potrzebna?

– Do życia – chwytam mnie za ramię. – Chcąc nie chcąc, los jakoś nas połączył, oboje maczaliśmy palce w tej samej zbrodni. – Pochyliła się, szepcząc mi do ucha, niemal czując jego usta na swojej skroni. – I jak, lepiej?

– Słucham?

– To wino, zawsze tak działa, jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony. Przepraszam, powinienem był cię ostrzec. Następnym razem będzie lepiej.

– To nie jest dobry pomysł – bełkoczę pod nosem.

– Wino, czy my? – filtruje mnie wzrokiem.

– Dobrze wiesz, o co chodzi!

– Obawiam się, że nie masz wyjścia. Niespełna rok wystarczyłbym poznać cię aż zanadto – odchodzi na moment. – Z Rickiem Goldmanem poszło ci zdecydowanie lepiej. Nie musiałem po tobie dopychać noża – uśmiecha się z drwiną. – Zawsze zgadzałem się ze stwierdzeniem, że trening czyni mistrza – parska szyderczo.

Czuję, jak krew uderza mi do głowy, jakby tylko tam pozostały jakiekolwiek żyły, dające ujście. Wciąż nie czuję nóg i mam problem z ich poruszaniem. Siedzę przytwierdzona do krzesła niczym skazaniec czekający na wykonanie wyroku. Myśli buzują, a mój przeciążony mózg jest bliski eksplozji.

McCormick kręci się po salonie. Kursuje między częścią wypoczynkową a kuchnią. Sprząta ze stołu, wkłada naczynia do zmywarki, zapala kolejne świece,

włącza nastrojową muzykę. Sprawia wrażenie, jakby o mnie zapomniał, jakby już mnie nie było. Na chwilę staje się niewidzialna.

Cudownie byłoby nagle zniknąć, wymazać gumką dzień, w którym poznałam tego człowieka. Cofnąć czas i na nowo zapisać karty. Szkoda tylko, że dawno przestałam marzyć, oczekiwać od życia niemożliwego, wierzyć w cud.

Problem polega na tym, że z zasady nie zawieram spółek i nie naginam ściśle ustalonych reguł. Skoro tak dobrze mnie zna, dlaczego ryzykuje? Może blefuje, a dopracowana aranżacja jest tylko perfidnie zaplanowaną prowokacją? Jest niezły, bo wciąż nie potrafię go wyczuć. Nie kupuję tekstu o totalnie zauroczonym świrze. McCormick nie jest typem psychopaty, choć może tym razem intuicja zawodzi, a ja najzwyczajniej w świecie dałam się zwieść pozorom? Jedno jest pewne. Pogrywa ze mną, a nie gra fair. Jeśli tak bardzo pragnie zabawy, będzie ją miał.

Powoli odzyskuję spokój i czucie w nogach. Mogę swobodnie poruszać palcami, do odrętwiałych łydek wraca krążenie. Przedemną na stoliku wciąż stoi kieliszek z niedopitym winem. Jakoś trudno mi uwierzyć, że to właśnie ono mogło wywołać tak silną reakcję.

Mimochodem spoglądam na zegar, kolejny ważny element tutejszego wystroju. Nie zauważyłam go wcześniej. Już po dwudziestej trzeciej. Czas upływa przez palce. Nie pomyślałam, że spędzę z McCormickiem cały wieczór, nie opracowałam planu powrotu, a nocowanie pod jednym dachem nie wchodzi w rachubę, chociaż pewnie taki jest zamysł.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Pojawia się nagle z kolejną butelką.

– Powiedzmy, że wolę słuchać. Takie tam, spaczenie zawodowe. Zresztą, wystarczy, że jedno z nas ma dużo do powiedzenia – stwierdzam z przekąsem.

– Mam nadzieję, że się jeszcze napijesz? – jak zwykle zmienia temat.

– Jeśli to wciąż ten niebezpieczny trunek, raczej podziękuję.

– Inne, delikatniejsze i nie zwala z nóg.

Wraca dziwny grymas, całkowicie zmieniając jego rysy twarzy. Który to już raz dzisiaj rozmawiam z kimś zupełnie innym.

– Odrobinę – staram się być miła.

Idzie do kuchni po czysty kieliszek, wracając napełnia do połowy. Podaje szkło i wznosi toast. Jest do tego stopnia obłudny, że zaczyna mnie mdlić.

– Jeśli to koniec atrakcji na dzisiaj, będę się zbierać – oznajmiam stanowczym tonem.

– Jest późno. Niezbyt mądra decyzja.

– Masz lepszy pomysł? – pytam z irytacją.

– Nie spodobała ci się moja propozycja.

– Nie było żadnej propozycji. Zwykły szantaż. – Wzruszam ramionami. – Muszę się zastanowić, skoro już stawiasz mnie pod ścianą. Swoją drogą, jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, też mam na ciebie haka. Może niepotrzebnie się

ujawniłeś. Trzeba było dalej mnie śledzić, obserwować, podglądać, bawić się w kotka i myszkę – podnoszę się z krzesła, wreszcie mój stan fizyczny i umysłowy pozwala na wyrównany atak. – Nie ludź się, że zdołasz mnie zastraszyć. Tego typu gierki mnie śmieszą. Jesteś żenujący, ty i twój żaloszny plan.

Zabieram z oparcia krzesła torebkę i ruszam prosto do drzwi.

– Nie tak szybko – zastawia mi drogę. – Wieczór jeszcze się nie skończył.

– Dla mnie tak.

– Przykro mi. Nie mogę cię wypuścić.

– Po cholerę była ta sztuczna oprawa?! Kolacja, wino, etykieta, pozory!

Trzeba było od razu mnie związać, zakneblować i uwięzić. Miałbyś władzę całkowitą, bo o to ci chodzi, prawda? – mam ochotę zabić go wzrokiem.

– Już mówiłem, nie chcę cię krzywdzić.

– Chyba będziesz musiał, bo nie mam zamiaru zostać tu minuty dłużej.

– Nie rób tego – w jego głosie nie słyhać prośby, to rozkaz.

Chwila wahania i przejmującej ciszy. Patrę mu prosto w oczy, które zmieniają się z każdą upływającą sekundą. Dopiero teraz dostrzegam w tym spojrzeniu nieprzewidywalność i chyba jednak szaleństwo. McCormick jest niczym kameleon. Już wiem, że nie ma sensu tracić czasu na bezskuteczną charakterystykę. Nie wiem, kim jest facet, któremu nieświadomie pozwoliłam wtargnąć w moje życie i pewnie nigdy się nie dowiem.

Nie czuję strachu. Lata doświadczenia, długi czas za zamkniętymi drzwiami ciemnego pokoju pomogły mi wypracować nawyk. Chwile potęgowania grozy wywołują uczucie zobojętnienia. Obojętność zabija lęk, jest niczym stan całkowitego upojenia alkoholowego, a jednak pozwala zachować ostrość umysłu. Wszystko mi jedno, niech próbuje, niech rozsmakuje się w swojej władzy i sile, aż do momentu, kiedy obudzę w sobie bestię. Gdybym wiedziała wtedy, że i we mnie mieszka zło, pewnie koszmar internatu nie trwałby tak długo. Gdybym tylko zdobyła się na odwagę, pozwoliła „obcemu” zapuścić korzenie, wgryźć się zębami w moje żyły, przeniknąć w głąb komórek, gdybym potrafiła się bronić, była taka jak Elizabeth, wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

Stoimy naprzeciw siebie, bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w rozszerzone źrenice. W tej chwili nawet najmniejszy, nieprzemysłany gest, zbyt głęboki oddech może sprowokować atak. McCormick jest niczym gepard w trakcie polowania, czekający na znak, na właściwy moment.

W głowie prześcigają się myśli, wirują jak na zbyt szybko rozkręconej karuzeli. Nie wiem, co robić. Mam ochotę sięgnąć do torebki, wyjąć gaz, a potem po prostu uciec, ale nie mogę działać instynktownie. Nie w tej chwili. Torebka wciąż jest zamknięta. Nie zdołam wykonać błyskawicznie kilku czynności naraz. Na świecie nie istnieje gatunek zwinniejszy od geparda.

Poza tym, ucieczka nie rozwiąże problemu, nie będzie sposobem na

pozbycie się intruza.

– Dobrze – rzucam nagle. – Zostanę – próbuję działać na zwłokę, mieć czas na podjęcie właściwej decyzji.

– Tak myślałem – stwierdza z pewnością w głosie. – Przecież nie jesteś głupia.

Odwracam się w milczeniu i czując, jak wali mi serce, powoli ruszam w kierunku sofy. Siadam na środku, zakładając nogę na nogę. Torebkę kładę obok, w bezpiecznej odległości. Czuję się spokojniejsza, mając ją pod ręką.

McCormick wraca po wino i kieliszki, po czym siada naprzeciwko. Butelkę stawia na niskim stoliku, podaje mi szkło.

– Byłoby szkoda zepsuć tak miło rozpoczęty wieczór – jego sarkastyczny ton dźwięczy mi w uszach.

– Rzeczywiście – rzucam bezmyślnie.

– Niech zgadnę, zastanawiasz się, jak wybrnąć z matni, bo chyba tak się teraz czujesz, w potrzasku – wypija łyka, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Nie czuję się skrępowana, raczej zmęczona.

Nie mogę się skupić. Atmosfera jest napięta, a ja mam wrażenie, jakby tuż nad głową zawieszono topór, który lada moment spadnie i wbije się w czaszkę. Chyba powinnam się pożegnać z McCormickiem, a tym samym, z życiem. Stąd już nie ma ucieczki. Jest tylko jedno rozwiązanie, albo on, albo ja.

Kątem oka zerkam na drzwi. Są zabezpieczone od środka, barykada na dwie mosiężne zasuwki. Nawet nie zauważyłam, kiedy to zrobił. Sprytnie.

Badam teren, choć trudno mierzyć wzrokiem tak, by nie zauważył. Drugie drzwi prowadzą do ogrodu, te chyba nie są zamknięte na klucz. Pytanie, czy stamtąd jest wyjście, czy wpadnę w kolejną pułapkę? A może od razu powinnam się poddać? Po co stres? Przecież od zawsze wiedziałam, że prędzej, czy później wszystko się skończy.

Szumi mi w uszach, a myśli nerwowo prześcigają się w głowie. Tylko bez pochopnych decyzji. Histeria może mieć śmiertelne konsekwencje, więc jeśli istnieje choćby minimalna szansa na przetrwanie, muszę spróbować. Może nie jestem zwinna jak gepard, ale nauczyłam się walczyć. McCormick wie, że trafił na godnego przeciwnika, dlatego wciąż obchodzi się ze mną dość łagodnie. Jestem zakładnikiem na własne życzenie. Odkąd przekroczyłam próg tego domu, wszystko pozostaje sprawą czystej kalkulacji.

Sączę wino, czekając na ostateczne rozdanie, wsłuchana w spokojne dźwięki nastrojowej muzyki, która wypełnia przestronny salon.

– Milczenie w twoim towarzystwie potrafi być przyjemne, dla mnie to miła odmiana, zupełnie nowe doświadczenie – stwierdza nagle.

Jest zamyślony. Już nie patrzy na mnie. Z pełnym kieliszkiem zawieszonym w dłoni, z błędnym wzrokiem wbitym gdzieś przed siebie, po raz kolejny się

zmienia. Puste spojrzenie mnie przeraża. Jeśli oczy są zwierciadłem duszy, co teraz kryje jego wnętrze? Jak zdefiniować osobowość, obnażyć prawdziwe ego? Człowiek o wielu twarzach nie może mieć w sobie ładu, równowagi czy samokontroli. Na dłuższą metę, nikt i nic nie jest w stanie zapewnić mu szczęścia. Ta chwila to złudzenie. Oboje staramy się odwrócić w czasie to, co nieuniknione.

- Dlaczego nic nie mówisz?
- Nie chcę psuć nastroju – cedzę obojętnie.
- Porozmawiajmy o pracy.
- Jeśli o twojej, umieram z ciekawości.

Parska śmiechem.

- Nadal mi nie wierzysz – stwierdza z osobliwym grymasem.

Kiwam przecząco głową.

– Trudno – wzrusza ramionami. – Pozostaje nam żyć nadzieją, że kiedyś to się zmieni.

Tracę rozeznanie. Czyżby sytuacja zaczęła mnie przerastać? On naprawdę liczy na pojednanie i dozgonną, beztroską egzystencję? Zatem choroba ma cięższy przebieg, niż przypuszczałam. Nie wybrnę z tego, pomimo dystansu, który wciąż staram się zachować. Strach miesza się z odrobiną współczucia. Dopiero teraz mam ochotę przyrzeć się mu dokładniej. Gra pozorów trwa.

Jest wysoki, dobrze zbudowany. Ma zadbane silne dłonie, mocne nadgarstki i umięśnione przedramiona, niechlujnie ułożone, lekko zmierzwiłone włosy, wysokie czoło, na którym odcisnęło się kilka głębszych zmarszczek, ciemną oprawę bezustannie zmieniających się oczu, dość zgrabny prosty nos, pełne usta i kościste policzki. Gdyby nie trudna do zdiagnozowania przypadłość oraz fakt, że jest nieprzewidywalnym i cholernie niebezpiecznym człowiekiem, Jeremy McCormick to idealnie skrojony materiał na życie.

Jesteśmy do siebie podobni. On też stał się ofiarą, bez szans na poprawne funkcjonowanie w ramach misternie skonstruowanego systemu, według ściśle ustalonych norm, reguł i zasad. Nawet go rozumiem. Krzywizna ludzkiej psychiki, na której odcisnęło się piętno nawarstwionych krzywd nie pozwala na normalność. Egzystencja w obliczu traumy przybiera wynaturzoną postać. Jedyne, z czym nie można walczyć, odporne na rewolucyjne, nowoczesne terapie, pigułki z dużą dawką pseudo szczęścia, na które nie ma recepty.

Oboje skazani, zepchnięci poza margines, wypluci przez pozbawione pierwiastka tolerancji społeczeństwo, balansujący na cienkiej krawędzi pomiędzy dobrem a złem.

Nagła cisza wyrzywa mnie z rozmyślań. Ucichły dźwięki płynące z wysokich głośników. Niektóre świece dawno się wypaliły, pozostawiając cienką smugę dymu i charakterystyczny zapach. Za wielkimi oknami środek czarnej nocy. Nie słyhać sowy ani innych odgłosów życia.

McCormick siedzi nieruchomo. Wygląda jak figura, na której właśnie zastygły ostatnie krople wosku. Czuję znużenie. Ciężkie powieki, niczym miękka kołdra, opadają bezwładnie, próbując okryć przymglone oczy. Z trudem panuję nad wycieńczonym ciałem. Bronię się przed snem.

Upływający czas jest odwieczną zagadką. Dlaczego właśnie dzisiaj pędzi, jakby dawno był spóźniony? Już po drugiej. Jeszcze chwila i znowu zaczniesz świtać. Kuriozalny wieczór, zaskakujący, pełen drobnych niespodzianek, skrajnych emocji i biernej wegetacji.

Mam ochotę położyć głowę na wygodnym oparciu kanapy. Organizm domaga się zmiany pozycji i zasłużonego odpoczynku. Wino daje o sobie znać, nabierając mocy.

Spoza przymkniętych powiek obserwuję swojego prześladowcę. Staram się nie spuszczać go z oczu, zachować czujność. Jednak dziś trudno wygrać ze zmęczeniem. Na moment przysypiam. Budzi mnie szmer przesuwanych butelek i szelest plastikowej folii.

McCormick krąży wokół kuchennej wyspy. Jego ruchy są ospałe. Powoli, ale wciąż z ogromną precyzją próbuje ogarnąć bałagan. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mu się wykorzystać moment. Drobną chwilą nieuwagi mogła być ostatnią.

Mam ułamek sekundy na otrzeźwienie. Potem może być za późno. Ostrożnie i niemal bezszelestnie przesuwam dłoń w kierunku leżącej obok torebki. Udaje mi się rozsunąć cienki suwak. Do połowy. Tyle wystarczy, by niepostrzeżenie zanurzyć rękę i wydobyć gaz. Chowam go pod poduszką w rogu kanapy, potem przysuwam się bliżej, by mieć go w zasięgu.

– Jeszcze wina? – Zerka na mnie zza baru. – A może masz ochotę na coś innego?

– Wystarczy – mówię oschłym tonem. – Jedyne, o czym marzę, to własne wygodne łóżko.

– Przykro mi. Mogę zaoferować swoje – uśmiecha się szelmowsko. – Też wygodne.

Przedstawienie dobiega końca, to początek ostatniego aktu. Czuję niepokój, lekki skurcz żołądka, a ciało na krótko przesywa dreszcz. Już niedługo. Wiem, że za moment opadnie kurtyna.

McCormick gasi resztę świec. Pomieszczenie ginie w półmroku. Wysoka lampa, stojąca przy tarasowych drzwiach, daje znikomą ilość światła. Stąd widać jedynie zarysowane niezbyt dokładnie, niekształtne cienie.

Odgłos powolnych kroków, jego ciężki, przyśpieszony oddech miesza się z dźwiękiem przesuwanych wskazówek zegara. Czuję, jak wali mi serce. Na krótką chwilę wraca strach, ten sam, który ukrywał się przez lata za drzwiami ciemnego pokoju. Próbuje paraliżować zmysły, zawładnąć bezsilnym ciałem.

Do tamtych czasów nie ma powrotu. Nic nigdy nie dzieje się dwa razy. Nie



w takim samym wydaniu. Zdecydowałam, że nie pozwolę, by ktokolwiek jeszcze raz mnie skrzywdził. W życiu wszystko musi mieć swoją cenę, czasami bardzo wysoką.

Nadszedł moment, na który czekałam, odkąd przekroczyłam próg tego domu. Musiałam dać sobie czas, mieć pewność. On nie jest w stanie mnie zaskoczyć, zastraszyć, zniewolić, uczynić więźniem swoich urojeń i chorych fantazji.

Nie ma we mnie lęku. Nie dziwi fakt, że znowu pojawia się nagle, znienacka wyłania z ciemności, niczym zjawa spowita szarą mgłą, która wypełniła wszechobecną pustkę. Staje naprzeciw, lekko pochylony. Już nie słyszę jego oddechu, nie ma powolnych kroków, szmeru przesuwanych butelek, szelestu folii, dźwięku uderzanego o siebie szkła, odgłosów istnienia. Nie słychać nic, oprócz złowroziej, przeraźliwej ciszy. Nawet zegar zatrzymał wskazówki, czas jakby stanął w miejscu.

On nie potrzebuje zaproszenia. Jego teren, jego reguły gry. Mija kilka dłużeń się minut. Wreszcie jest gotów, by usiąść obok.

## EPIZOD XVIII

– Podasz mi tę szklankę, czy nie?! – Ivo jest zniecierpliwiony. – Co się z tobą dzieje?!

– Co?

– No właśnie! Co?!

– Proszę. – Wstaję od stolika przy oknie, bezmyślnie pokonuję niecałe dwa i pół metra, po czym stawiam puste szkło na barze.

– Masz dość? – Wlepia we mnie oczy.

– Polej.

– Hej, co jest?

– Nic. Zmęczona jestem.

– Fakt. Wyglądasz okropnie – stwierdza z dezaprobatą. – Co ty wyrabiasz, dziewczyno? Widziałaś się w lustrze? Kiedy ostatnio spałaś? I kiedy nie piłaś?

– Za dużo pytań - cedzę, stukając palcem w kieliszek. – Podwójna czysta.

– Zrobię ci kawę.

– Spadam. Znajdę inny bar.

– Poczekaj. Niech będzie. Przynajmniej będę miał na ciebie oko – wzdycha ciężko, schylając się po butelkę. – Masz kłopoty? – pyta, nalewając.

– Ivo, sorry, przyszłam się napić i na ciebie popatrzeć. Nie mam ochoty na bezsensowną gatkę o pierdołach, wylewanie żali, wszystkie te gówniane, niepotrzebne bzdety, które i tak nikomu nie przynoszą ulgi. – Przechyłam kieliszek i wypijam do dna. – Nie musisz mnie niańczyć, wszystko w normie, czyli bez większych zmian.

– Po co się tak nawalasz? Owszem, uciekniesz, ale tylko na chwilę, tylko do porannego kaca, przecież wiesz – patrzy z politowaniem, próbując polerować szkło.

– Uwielbiam cię, nie pamiętam, żeby ktokolwiek był dla mnie równie czuły i taki troskliwy.

– Po co ten sarkazm?

– Daj spokój, mówię serio, wyjątkowo nie ma w tym ani grama ironii.

– Jasne, może kiedyś bym uwierzył.

– Wiesz, że dam sobie radę. Jestem ze stali.

– Nierdzewnej – wybucha śmiechem.

– A tak w ogóle? – podstawiam pusty kieliszek. – Co słyhać? Jakoś ostatnio przestałam rejestrować twoje miłosne przygody.

– Bo ostatnio przestałaś tu zaglądać. Przynajmniej z taką częstotliwością, co kiedyś.

– Wyczuwam pretensję. Więc jest coś na rzeczy? – Mierzę go wzrokiem, mrużąc oczy.

– Jeśli oczekujesz pikantnych kawałków, to cię rozczaruję. Niestety, sercowa posucha, zdążyłem się przyzwyczaić. Ale chyba zmienię robotę. Najwyższy czas się stąd wynieść.

– Stary ci podpadł, czy odwrotnie?

– Chcę wrócić na studia, przecież nie spędzę reszty życia za podrzędnym brooklyńskim barem, w którym głównie wieje pustką.

– Opcja ulepszenia życia na siłę czasami bywa złudna. Wiem, co mówię.

– Nie biorę za wzór twojego przykładu.

– Szkoda.

– Żyjesz specyficznie, ale to twoje wybory. – Nie patrzy na mnie, odwrócony tyłem udaje, że sprząta, widzę, że jest zmieszany. – Staram się nie oceniać...

– To nie oceniaj – wchodzę mu w słowo. – Filozofia i dobre rady zazwyczaj okazują się błędne, więc niech każdy pilnuje własnego nosa, nie wtyka go tam, gdzie nie trzeba.

– Nawet nie próbuję, nie warto – wzrusza ramionami – nie pozwoliłabyś wetknąć nawet szpilki – stwierdza z wyrzutem.

– O co ci chodzi?

Drzwi baru otwierają się z hukiem. Do środka wpada kilka rozkrzyczanych osób, tworząc spore zamieszanie. W ułamku sekundy, przepychając się, zajmują wolne krzesła, jakby posadzenie na nich tyłka oznaczało zakończony zwycięstwem bój. Z wrzaskiem zamawiają kilkanaście dużych piw, pewnie też na zapas, na wypadek, gdyby w państwie zabrakło nagle chmielu. Są głośni i nieprzyzwoicie rozbawieni. Pewnie knajpiany maraton rozpoczęli dużo wcześniej.

Ivo rzuca w moją stronę obojętne spojrzenie. Nie jest zadowolony, a może tylko mi się wydaje, może jednak czuje ulgę? Coś go gryzie, ma do mnie żal, ale nigdy nie był mistrzem w poruszaniu drażliwych tematów. Obserwuję jak porusza się za barem, czuwa przy dystrybutorze, z uwagą śledząc każdy mililitr leżącej się cieczy, pilnując należytego wykończenia z piany. Jest w swoim żywiole. Nalanie kilkunastu sporych kufli zajmie mu dłuższą chwilę.

Przesiadam się do wolnego stolika pod oknem, w rogu niewielkiej sali. Puste szkło zostawiam na barze. Teraz nie będę go rozpraszać, chociaż chętnie kontynuowałabym rozmowę i własną degustację. Może moment wytchnienia pozwoli nam ochłonąć.

Zamyślona wbijam wzrok w jeden z obrazów. Właściwie nie obchodzi mnie nasycone jaskrawymi barwami płótno. Pejzaż zlewa się w jedną kolorową plamę.

Myśli prowadzą do Stamford. Pusty wagon kolejki wzbudza uczucie niepokoju. Po co tam wracam, skoro nie da się cofnąć czasu?

Część wspomnień tamtego wieczoru przepadło na stałe. Nie pamiętam

powrotnej drogi do domu, ani początku spotkania, chociaż minęło zaledwie kilka dni. Za to wciąż czuję smak cierpkiego wina, woń świec, które po kolei gasną. Słyszę dźwięki nastrojowej muzyki, śpiew ptaków szykujących się do snu w swoich gniazdach, wreszcie ostrzegawcze pohukiwanie niespokojnej sowy.

Zmrok za oknem, chwile przerywane nagłą ciszą, w końcu odgłos zbliżających się kroków i postać, która jak zjawa wyłania się z ciemności. Migawki obrazów pomieszane w kalejdoskopie skrajnych emocji.

Wiedzieliśmy od początku. Od spotkania w budynku redakcji, krótkiej przejażdżki windą. To nie mogło się udać, nie było szans na scenariusz ze szczęśliwym zakończeniem. Wiedza McCormicka prowadziła nas na skraj przepaści, była jak wyrok ze skutkiem natychmiastowym. Zgoda na układ stałaby się akceptacją dożywotniego szantażu. Tylko masochista lub idiota przystałby na coś równie głupiego.

Chyba nie znał mnie za dobrze, mimo wszystko. Zbyt pochopnie i pewnie uznał za ofiarę. Zgubiła go nadmierna ufność, przeświadczenie o planie idealnym, przekonanie, że szantaż wraz z zastraszeniem stanowią efektywną metodę w drodze do celu. Jakże bardzo się pomylił.

Kiedy usiadł obok, niemal przylgnął do mnie ciałem. Poczułam jego ramię przy swoim ramieniu, biodro przy biodrze, umięśnione udo. Zesztywniałam. Bliski kontakt fizyczny od lat wywołuje we mnie chwilowy paraliż. Oddychał miarowo, spokojnie, podczas gdy ja starałam się zapanować nad drżeniem, narastającym skurczem w piersiach, uciskiem w przełyku i gardle. Chyba wyczuł mój niepokój, wewnętrzną panikę, to dodało mu śmiałości, utwierdziło w sile, wzmogło podniecenie. Prawą dłonią sięgnęłam pod poduszkę. Musiałam się przygotować, nastawić na walkę, przewidzieć kolejny ruch, poczekać na ostateczny atak.

Oczekiwanie stało się udręką, cisza potęgowała napięcie, a ciemność, która okryła wnętrze nadawała realiom przerażającego wymiaru.

Wreszcie się poruszył, ocknął niczym przebudzony ze snu. Dotychczas spokojny oddech stał się głębszy, głośniejszy. Kątem oka zerknęłam w jego stronę, starając się nie poruszyć głową. Patrzył przed siebie.

Nagle nieznacznie uniósł rękę, a potem powolnym ruchem położył na moim kolanie. Poczułam, jak krótki dreszcz przeszywa ciało, zacisnęłam mocniej dłoń na pojemniku z gazem. Teraz już nie mogłam zapanować nad drżeniem i oddechem, nad sercem, które waliło niczym młot, próbując przedrzeć się przez kości mostka i wydostać na zewnątrz. Jeszcze ułamek sekundy, musiałam czekać. Pozwolić na kolejny niefortunny gest w przyływie ekstazy.

Ruszył dłonią ku górze, niezdarnie zadzierając delikatny materiał letniej sukienki. Pomyślałam o Elizabeth, o jej niewiarygodnej sile. Trzeba mieć nerwy ze stali by w obliczu gwałtu, wytrwale, z niebywałą precyzją zaplanować moment ataku. Tym razem nie mogłam się pomylić, nie wykorzystać jedynej i zapewne

ostatniej szansy.

Subtelnie rozchyliłam uda. Na chwilę się zatrzymał, w ciemnościach mignął mi błysk pożądliwego spojrzenia. Wahał się przez ułamek sekundy, jakby nagle wrócił mu rozsądek, ale żądza okazała się silniejsza, już nie potrafił jej powstrzymać. Poczułam jego wilgotne palce. Milimetr za daleko.

Wycelowałam dokładnie między oczy. Mocno nacisnęłam kciukiem na spust i opróżniłam chyba cały pojemnik, prawie wciskając mu go w twarz. Zerwałam się z kanapy, jak opętana rzuciłam do wyjścia na taras, zaczynając czuć silne działanie gazu. McCormick dopadł mnie tuż przy drzwiach, od tyłu chwycił za gardło. Wbiłam paznokcie w jego przedramiona, ale był niczym konający zwierz w ostatnim stadium walki. W jednej chwili życie przeleciało mi przed oczami. Czy to już, pomyślałam. A więc tak ma wyglądać pożegnanie? Właśnie tutaj pchał mnie ślepy los, do Stamford, do domu tego człowieka? Poczułam zawroty głowy, nudności, brak tlenu w płucach wypełnionych wszechobecnym gazem. Nogi ugięły się pode mną i kiedy powoli zaczęłam osuwać się na ziemię, on nagle zwolnił uścisk. Ciszę, którą dotychczas przerywał niezbyt donośny odgłos szarpaniny, wypełniło przejmujące charczenie. Półprzytomna spojrzałam na podłogę. Leżał zwinięty w kłębek, obejmując szyję, resztką sił łapiąc oddech.

Ledwie powłócząc nogami, niemal na czworakach dotarłam do stołu. Chwyciłam pustą butelkę po winie i bez chwili namysłu wróciłam, by rozbić ją na jego głowie. Padł, nie wydając żadnego dźwięku.

– Sorry, ale widzisz co się dzieje, poleć ci coś? – Ivo pochyła się nade mną.  
– Tak – bełkoczę bezmyślnie, przed oczami mając wciąż obraz McCormicka.  
– To samo?  
– Co? – spoglądałam nieprzytomnym wzrokiem.  
– Wódka? Podwójna? – rozkłada ręce, kiwając głową.  
– Nie, nie – posyłam wymuszony uśmiech. – Szklanka burbona, pełna.  
– Jezu, dziewczyno – jęczy pod nosem – jednak musimy poważnie porozmawiać. – Przygląda się dłuższą chwilę. – Dobra, przyniosę, ale ty poczekaś, aż sobie pójdą – zerka porozumiewawczo, wskazując na coraz bardziej rozbawione towarzystwo.

– Nigdzie mi się nie śpieszy.

Wiodę za nim wzrokiem, aż znika za barem. Ponownie skupiam myśli, wpatrzona w kiczowate dzieło. Muszę tam wrócić, jeszcze tylko na chwilę. Dokończyć to, co zaczęłam.

– Proszę – Ivo pojawia się znienacka, po czym stawia przede mną szkló wypełnione po brzegi bursztynową ciecżą. – Oby wyszło ci na zdrowie. – Puszcza oko.

– Dzięki.

Czekam aż odejdzie, a potem biorę kilka potężnych łyków. Może tak będzie łatwiej. Może uda się uciszyć przynajmniej odrobinę wrzasku, który słyszę. Gdybym tylko mogła, wykrzyczałabym ból, wypłuła zakażone nim wnętrzności.

Długo stałam pochylona nad skulonym ciałem. Tak, jakbym chciała się upewnić. A może napawać widokiem swego dzieła, celebrować zwycięstwo. Przestałam odczuwać lęk, pieczenie otartej szyi, ucisk krtani. Ustąpiło drżenie, bezwład kończyn, zawroty głowy. Nawet duszące opary, wiszące nade mną niczym gęsta chmura, straciły niszczycielską moc.

Zrozumiałam, że poszło zbyt łatwo. To nie mógł być koniec. Przecież McCormick wciąż żył.

Bez wahania otworzyłam tarasowe drzwi. Zachłannie wciągnęłam powietrze, wypełniając płuca, a potem ruszyłam do ogrodu. Z prawej strony, tuż przy linii działki stał niewielki domek gospodarczy. Drzwi były uchylone. Upewniłam się, że wciąż jestem sama, po czym zajrzałam do środka. Zachowując czujność, zaczęłam rozglądać się w pośpiechu. Nie szukałam niczego konkretnego, liczyłam na spontaniczny pomysł, a ten, jak zwykle pojawił się zniemacka, zupełnie nieświadomie, niczym instynkt w walce o przetrwanie.

Nie mam pojęcia, dlaczego wbita w wysoki pień siekiera, przykuła moją uwagę. Czym kierowałam się, kiedy z siłą wyrwałam narzędzie, a potem, niczym precyzyjnie zaprogramowany robot, wróciłam do salonu.

McCormick poruszył się nieznacznie, na chwilę otworzył oczy. Chyba wyczuł zbliżające się niebezpieczeństwo, zrozumiał, że popełnił błąd, pojął niszczycielską moc, którą we mnie obudził.

Nasze spojrzenia zderzyły się na moment. Tyle starczyło, bym w nienaturalnie rozszerzonych źrenicach ujrzała strach. Pomyślałam, że oto odwróciły się role. Jakbym patrzyła w lustrzane odbicie, przyglądała się przerażeniu, które towarzyszyło mi przez lata. To właśnie widział mój oprawca, widok lęku wyzwalał w nim ekstazę, potęgował poczucie siły, absolutnej władzy, spełnionej misji, wprawiał w zachwyt nad satysfakcjonującym wynikiem swego dzieła.

Powoli uniosłam do góry ręce, wzięłam głęboki zamach i zadałam cios prosto w głowę. Tuż przed uderzeniem chyba zamknął oczy, a może cięcie ostrego klina, które z precyzją rozdzieliło czaszkę na dwie równe połowy, z siłą przymknęło powieki.

Bez trudu usunęłam topór, po czym nieśpiesznie wróciłam do ogrodu. Już nie musiałam się martwić, że mi przeszkodzi. Ruszyłam w stronę szopy, odłożyłam narzędzie na pień. Jeszcze nie koniec przedstawienia. W głowie rodził się dalszy plan, historia McCormicka musiała mieć swój piekielny finał, a ja musiałam zatrzeć ślady.

Pod stertą rupieci wypatrzyłam metalowy, zielony kanister. Ostrożnie wydobyłam spod okazałego stosu. Był pełen. Zerknęłam na drewniany trzon siekiery, a potem na obuch zakończony ostrym jak brzytwa klinem, na którym zastygła krew. Otworzyłam pojemnik, delikatnie uniosłam i obficie polałam pień. Przed wyjściem rzuciłam zapaloną zapalniczkę.

W domu wciąż leżały zwłoki, niepodważalny dowód zbrodni. Na szkle widniały ślady, labirynt linii papilarnych, odcisk szminki, resztki zastygłej śliny z całą masą zakodowanych informacji.

Pochyliłam się nad stygnącym ciałem, przez chwilę wpatrywałam w brunatne plamy zakrzepnięte niczym skorupa na skroniach, zmasakrowanej twarzy, szyi i podłodze.

Wylałam zawartość pojemnika. Ogień buchnął niemal od razu, rozświetlając salon. Patrzyłam jak pożera McCormicka, trawi wnętrzności, delektując się ucztą. Z każdym ułamkiem sekundy rozsmakowywał się w swojej sile, rozprzestrzeniał wśród tańczących płomieni, jak wygłodniały szaleniec zachłannie walczący o przestrzeń, opętany chęcią niszczenia, jakby chciał pochłonąć wszechświat zanim ktoś go zatrzyma.

Z trudem odblokowałam drzwi. Metalowe zasuwki paliły w palce, żar parzył w twarz, uniemożliwiał oddech. Wybiegłam na ulicę. Trzask trawionego przez ogień drewna jeszcze długo dźwięczał mi w uszach, zanim zagłuszyły go wyjące syreny.

Nic nie czułam, jakby czas i dawne przeżycia zdusiły wszystkie emocje. Nie było we mnie lęku, żalu, poczucia winy. Nie było nic, za wyjątkiem pustki i chyba odrobiny satysfakcji. Zadośćuczynienie za ból, słodki smak zemsty za wyrządzone krzywdy, smak wolności sprawiały chwilowe wrażenie ulgi. Już jej nie czuję. Nasyciłam się tylko na chwilę. Teraz wiem, że nigdy nie zaznam spokoju. Nawet najmocniej zadany cios, najokrutniejsza wersja agonii, najgłębiej wydrążona rana nie wynagrodzi mi przeszłości.

Śmierć stała się moją tarczą, pokrewną, bliźniaczą duszą, zwykłą reakcją na wewnętrzny smutek, taką samą jak tabletki paracetamolu, jak dotyk dłoni na powitanie, ale nie przyniesie ukojenia.

– Poszli. – Ivo wzdycha, opierając się o stolik. – Już myślałem, że do kolejnego kufła piwa dokupię nocleg pod barem. Napijesz się jeszcze? – Spogląda na pustą szklankę.

– Chętnie. - Posyłam wymuszony uśmiech.

– Jesteś dzisiaj jakaś inna.

Robię pytającą minę.

– Nie wiem, taka cholernie smutna.

– Nie, Ivo, to świat jest cholernie smutny. Mój nastrój nie jest nawet skutkiem ubocznym, po prostu idzie w parze, to symbioza, pełna asymilacja, dryf z nurtem ponurej egzystencji.

– Bełkoczesz od rzeczy – przerywa mi – masz doła i tyle. Alkohol tylko go pogłębi.

– Upadłam wystarczająco nisko. Chyba niżej nie można.

– Co ja mam z tobą zrobić? – Rozkłada bezradnie ręce. – Gdzie się podziela istota z sercem z kamienia, zgubiłaś zbroję? – próbuje żartować.

– Najwyraźniej. Kamień mi ciąży.

– Chodź do baru. Właśnie przysiadł się jakiś przystojniak. Dobrze ci zrobi towarzystwo.

– Pod warunkiem, że nie będziesz proponował mi kawy i nie powiesz, że burbon się skończył.

– Dobra, dobra. – Wzrusza ramionami. – Chcesz, to zalej się w trupa.

– Zaraz przyjdę.

Patrzę jak odchodzi. Znowu otwierają się drzwi. Przy stoliku obok siadają dwie elegancko ubrane kobiety. Wpadły na drinka po ciężkim dniu w korporacji. Zamawiają martini. Żałosny standard. Skrojone na miarę paniusie z kieliszkiem w kształcie kreacji, plus oliwka równie stonowana co kolor obcisłej garsonki. Ideał niweczony przez piskliwy, mało ambitny wywód. Powszechny temat, jedyny jaki może się znaleźć na babskim języku, niewierny facet. Zaczyna mnie mdlić. Siedzę zbyt blisko, by nie być skazana na pozbawiony poziomu, żenujący dialog.

Dlaczego nie gryzie mnie sumienie? Wiara w działanie w słusznej sprawie bez względu na środki, w czynienie dobra za pomocą zła, potrafi być zgubna. Wiem, że w końcu ktoś położy temu kres. Może błyskotliwy Colombo dozna wreszcie olśnienia i połączy puzzle układanki w całość? Nie ma śladów, narzędzia zbrodni, winnego. Póki, niczym zjawa spod ziemi, nie wyrośnie przede mną kolejny nawiedzony świadek, mogę spać spokojnie. Tylko po co? Przecież i tak wciąż proszę się o śmierć, igras z ogniem życia.

Zabijanie chyba sprawia mi przyjemność. Równie dobrze mogłabym pozbawić życia samą siebie, ale czuję, że to nie koniec misji. Jeszcze nie teraz. Nie mam poczucia odwetu, stuprocentowego rewanżu za upokorzenia i straty. Smak zemsty jest niepełny, jak dobry obiad bez deseru. Kiedy już los się wypełni, kiedy wyrównam ze światem rachunki, odejdę bez wahania, bez względu na kolejny ból, na jego niezmierną skalę.

Spoglądam w stronę baru. Ivo popisuje się umiejętnościami, zabawia posępnego gościa, starając się za wszelką cenę wywołać na ponurej twarzy uśmiech. Poczciwy Ivo, jest tak przeraźliwie naiwny, że czasami czuję żal. Nawet



nie wie, z kim przyszło mu się bratać, komu powierza najskrytsze tajemnice i bezgranicznie ufa. Wiem, że zrobiłby dla mnie wszystko. Powinnam usunąć się jak najdalej, zakończyć farsę opartą na kłamstwie, gdzie tylko ja zbieram profity. Powinnam, ale nie potrafię, póki nie przestanie być potrzebny.

Ponownie pochylam się nad szkłem. Próbuję ujrzeć odbicie w resztkę złocistego burbona. A jeśli McCormick kogoś uprzedził, powiadomił o naszym spotkaniu? Może już powinnam wysunąć dłonie, przygotować do zakucia w kajdanki? Poczekam, uzbroję się w cierpliwość. Ktoś taki jak on, byłby głupcem, gdyby paplał jęzorem. Przecież sam musiał zacierać ślady, uważać na karty przeszłości. Chyba, że wszystko było blefem, na który dałam się nabrać, bo niby co miała znaczyć nagła zażyłość z porucznikiem? Czyżbym padła ofiarą misternie skonstruowanej pułapki? Zatem podałam im siebie na tacy, do tego z kolejnym trupem na koncie.

Nie boję się wyroku i kary. Mała, cuchnąca stęchlizną cela stanie się moim wybawieniem, krótkim przystankiem na końcu drogi. Może wreszcie poczuję ulgę. Tylko śmierć przynosi spokój.

Ivo woła zza baru, macha ręką w geście zaproszenia. Rozczuła mnie jego promienny uśmiech, twarz pozbawiona złości i agresji. Chyba tylko za nim będę tęsknić.

Ociężale podnoszę się z krzesła. Powoli podchodzę, próbując zapanować nad myślami, pokonać narastające przygnębienie. Muszę wziąć się w garść, zapomnieć, choćby na moment oderwać od wspomnień.

Zajmuję miejsce na wysokim stołku, tuż obok przystojniaka, zgodnie z sugestią Iva. Działam wbrew woli, wbrew sobie, na przekór chęciom i utartym zasadom, tylko po to, by zrobić komuś przyjemność. Chociaż tyle jestem mu winna. Podsuwa napełnioną do połowy szklankę. Po raz kolejny raczy mnie serdecznym uśmiechem. Z trudem odwzajemniam radość, nie dzielam jego euforii. Nigdy nie umiałam cieszyć się chwilą.

– Twoje zdrowie – puszczam oko, podnosząc szkło.

– Uważaj – grozi mi palcem – mam cię na oku.

Parskam śmiechem, po czym wypijam do dna. Czuję na sobie wzrok markotnego sąsiada. Nie mam ochoty odwdzięczać się spojrzeniem, nie interesuje mnie nowa znajomość, ta, ani żadna inna. Faceci, zwłaszcza przystojni, do tego przybici, są jak kula u nogi. Ciężą dopóki się im nie polepszy. Potem już tylko my ciężymy im. Życie jest pełne brutalnej prawdy. Zbyt wielkie pokłady żalu stanowią mur, przez który nie można się przebić, blokadę, której nie sposób ominąć.

Nigdy nie opuściłam ścian internatu, wciąż tkwię za drzwiami ciemnego pokoju, uwięziona na wieki, bez szans na wolność, otwarte ramiona drugiego

człowieka, na miłość. Wiem jedno. Jeśli zacznę z tym walczyć, przegram. Sama dla siebie stanę się celem, który należy unicestwić.

Kątem oka widzę, jak się przygląda, ośmielony kolejnym mocnym drinkiem. Przeszywa na wskroś natarczywym spojrzeniem. Intensywny zapach wody kolońskiej drażni mniej niż mętny wzrok. Jestem spięta, jak zawsze w takiej sytuacji. Nie pomaga nawet alkohol. Na to nie ma lekarstwa. Wyjść, czy zostać? Przecież wiem, co za chwilę się stanie. Zdążyłam nauczyć się świata, albo to świat nauczył mnie. Moment wahania, który nie trwa zbyt długo. Przesuwam po barze puste szkło, mrugając porozumiewawczo. Nie obchodzi mnie skwaszona mina Iva. Oto nadszedł czas, by zapomnieć, zatopić żal w kolejnym kieliszku. Zabijanie jest jak narkotyk, kiedy widzisz towar, nie możesz przestać.

Wreszcie odwraca się w moją stronę. Już za późno na ucieczkę. Nie dowlokę się nawet do drzwi, po to tylko, by go chronić.

– Napijesz się ze mną?

